



OSKAR SZWABOWSKI

NIE-LUDZKA WSPÓLNOTA CIERPIENIA.
NIE-LUDZKIE RELACJE I KRUCHOŚĆ

**Nie-ludzka wspólnota cierpienia.
Nie-ludzkie relacje i kruchość**

Oskar Szwabowski

**Nie-ludzka wspólnota cierpienia.
Nie-ludzkie relacje i kruchość**



Poznań 2023

Projekt okładki:
Wydawnictwo Rys

Recenzja:
prof. dr hab. Krzysztof T. Konecki

Korekta:
Sebastian Surendra

Copyright by:
Oskar Szwabowski

Copyright by:
Wydawnictwo Rys

Publikacja współfinansowana przez
Instytut Pedagogiki Uniwersytetu Pomorskiego w Słupsku

Wydanie I
Poznań 2023

ISBN 978-83-68006-01-8
DOI 10.48226/978-83-68006-01-8

Wydanie:



Wydawnictwo Rys
ul. Kolejowa 41
62-070 Dąbrówka
tel. 600 44 55 80

e-mail: tomasz.paluszynski@wydawnictworys.com
www.wydawnictworys.com

Spis treści

Nota techniczna.....	9
Wprowadzenie	11
Uwaga na temat języka	22
Uwaga o miłości.....	25
Dorastanie	29
Prosta narracja.....	29
Pisanie	31
Prosta narracja.....	31
Sen o Emmie.....	39
Klara – pies, którego nie było.....	41
Pączek nadziewany śmiercią.....	45
Zabicie psa	51
Bambuś: pies Bartleby	55
Pan Gołąb.....	65
Kastracja i trudna relacja	69
Gratek staje się Mruczysławem	73
Gucio i nawiedzenie przez grzyba	77
Ksenia – odporność na zranienia	83
Juliuszek odchodzi.....	91
Pojawienie się Grozy	127
Gucio wycofaniec	133
Emma – wyrzut sumienia.....	137
Borys – imigrant wojenny z Ukrainy.....	145
Dzieciak Salomea	149
Rudzio	153
Strażnik	155
Chore serce Wilka	157
Ksenia i trujący kwiat	161
Koszmary	165
Krew w kupie.....	167
Straszny SMS.....	169
Zaginiona temperówka.....	171
Śmierć psa.....	173
Szykretka, co żyła na ulicy	175
Wspólnie	177
Własność i narodowa tradycja	187

Zakończenie	193
Uwagi o autoetnografii	201
W stronę wspólnoty cierpienia	203
Zdjęcia.....	214
Podziękowania	229
Bibliografia	231

dla wszystkich bezimiennych i z imieniem
bezdomnych i mającym swoje miejsce
żyjącym z nami, odchodzącym i ponownie żyjącym
dla tych, co tego nie przeczytają
bo mają inne sprawy
inne sposoby przeżywania i wyrażania siebie
i dla tych ludzi
co tworzą nie-ludzkie wspólnoty nie z konieczności ale z uwagą

„Kto wie? Być może nawet trochę złota w tych zapiskach?”¹

„wybebeszony
przez pamięć –
pokryty strupami
zastanawiam się”²

¹ R. Barthes, *Dziennik Żalobny*, Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, Kraków 2019, s. 19.

² M.K.E. Lahman, *The Dead Chick*, „Qualitative Inquiry”, 25(9-10), 2019, s. 830.

Nota techniczna

Książka składa się z trzech części. Część pierwsza i trzecia stanowią dociekania metodologiczno-filozoficzne. Są one ze sobą powiązane pod względem stylu produkcji wiedzy i mogą zaspokoić klasycznie uformowanego akademickiego czytelnika. Część druga to opowieści o moim byciu z nie-ludźmi³ w kontekście kruchości istnienia. Stanowi ona autonomiczną część i jest w pełni zrozumiała. Pisałem zawarte w niej historie tak, by przemawiały i prowadziły dalej – ku kolejnym, nienapisanym. Dlatego nie jest konieczne czytanie części pierwszej i trzeciej – zwłaszcza jeśli wolicie żywić się opowieściami na własny sposób.

³ Stosuję zapis nie-ludzkie zwierzęta, aby podkreślić dyskursywną praktykę wykluczenia i dzielenia. Niekiedy stosuje się zapis zwierzęta poza-ludzkie, ale jest on bardziej neutralny, zanika w nim charakter rozcinania i definiowania w odniesieniu przez brak, a tym samym odmowę równości.

Wprowadzenie

Pomysł na książkę pojawił się podczas jednego ze spotkań Autonomicznego Kolektywu Autoetnograficznego. Mieliśmy za zadanie napisać tekst o formacyjnym doświadczeniu. W tym czasie odszedł od nas Juliuszek, co było dla mnie druzgocące. Sam kontakt z Juliuszem był dla mnie transformujący. Jego bycie i teraz jego nie-bycie. Tekst, który napisałem, był przykładem ewokatywnej autoetnografii⁴. Nie wiedziałem, co z tym niby-artykulem zrobić. Obudować go teoretycznie, tak aby został zaakceptowany przez polską akademię? To byłoby pisanie innej opowieści. Mogłoby osłabić głos. Wyciszyć i zepsuć efekt, który chyba udało się osiągnąć. Wplatanie teorii i innych głosów również zmieniłoby tekst – i też nie wiadomo, czy nie na gorsze. W każdym razie każda interwencja sprawiałaby, że powstałoby coś innego. A byłem zadowolony z osiągniętego efektu – chyba lektura rozrywa, tak jak śmierć Juliuszka mnie rozerwała. Boli, tak jak bolało doświadczenie, a potem przeżywanie go podczas tworzenia opowieści.

Podczas spotkania AKA Anna Kacperczak podsunęła mi pomysł książki. Dopisać inne opowieści jako osobne rozdziały, a teoretyczne rozważania zamieścić na końcu lub początku. Książka miałaby też zapewnić większe oddziaływanie opowieści, która jako artykuł mogłaby utonąć wśród innych. W humanistyce i naukach społecznych książka wciąż jest wydarzeniem. Uznałem to za godną rozważenia propozycję. I tak powoli wyłaniać się zaczęła koncepcja tego, co teraz trzymacie w dłoniach.

Na początku zastanawiałem się, czy nie napisać tylko o Juliuszku. Bałem się jednak ruszać tego, co zostało zapisane. Rozdział *Juliuszek odchodzi* to druga wersja tekstu i jednocześnie tekst założycielski tej książki. Przenika on do innych opowieści, spleta ich nastroje, nadaje ducha całości. To odejście, ten brak, to nieuleczalne cierpienie – widmowa obecność Juliuszka sprawiała, że wybierałem takie, a nie inne historie. Pisałem takim stylem, a nie innym. Oczywiście widmo Juliuszka nawiedza książkę jeszcze w inny sposób – jak to widma mają

⁴ Zob. C. Ellis, *Evocative Autoethnography: Writing Emotionally about Our Lives*, [w:] *Representation and the Text: Re-Framing the Narrative Voice*, red. W.G. Tiemej, Y.S. Lincoln, State University of New York Press, New York 1997; A.P. Bochner, C. Ellis, *Evocative Autoethnography. Writing Lives and Telling Stories*, Routledge, New York–London 2016.

w zwyczaju. Jest to też widmo radosne, i nie tyle pomimo kruchości, ale właśnie z jej powodu. Rana nas otwiera i umożliwia połączenia, które wcześniej były nie do osiągnięcia.

Rozpocząłem pisanie po śmierci Juliuszka. Pisałem cały dzień, i następny, i następny. Zanosząc się od płaczu. Scena za sceną, krew spływała na białą kartkę. Rana się otwierała. Pisałem w nadziei uleczenia. Kilka dni nieustannego bycia w tekście – i dalszego bycia z Juliuszkiem, w inny sposób, ale zawsze – i na zawsze. Krew dalej spływała. Na chwilę, przez chwilę, czułem się lepiej – jakby oczyszczony, jakby pogodzony. Po pisarskim transie wydawało się, że już nieobecność nie jest tak przerażająco intensywna, że fizycznie się ją odczuwa z całą ostrością rozcinającą mięśnie, przecinającą żyły, wybebeszającą, że nagle, bez ostrzeżenia, zginało się z bólu i nie mogło wydusić słowa. Łzy same spływały. To jakby minęło. Nieobecność stała się bardziej oswojona, delikatniejsza. Myślałem, że ją wypisałem i mogę być z Juliuszkiem we wspomnieniach bez bólu. Mogłem już przecież jakoś funkcjonować. Wykonywać obowiązki. Wszystko było jakby cięższe, jakby materia nabrała masy, powietrze było gęstsze, a ciało bardziej kruche. Dawałem jednak radę, jakoś się żyło – chyba pisanie mnie uleczyło.

Chyba jednak niewiele pomogło. Wracając później, po kilku tygodniach, do pisania, moje rana otworzyła się na nowo. Łącząc mnie na powrót z cierpieniem nie-ludzi i ludzi – z dziwną uniwersalnością naszej kondycji naznaczonej przemijaniem i bólem, gdzie troska, miłość stają się sposobami wzajemnego wsparcia. Podstawą nie-ludzkiej, kruchej wspólnoty. Ponownie płynęła krew, ponownie spływały łzy – intensywność była przeszywająca, rozdzierająca. Nie pisałem już jednak dla uleczenia. Porzuciłem to pragnienie. Teraz pisałem dla zachowania pamięci. Celem stało się powstrzymanie Juliuszka przed całkowitym odejściem. Przywołanie widmowej formy bycia, która ma nawiedzać czytelników i ranić – by przez ranę otwierać na innego. By był jako przypomnienie, jako napomnienie. I jako oskarżenie. I jako zbawienie. Bo to niósł – chociaż to raczej ja oskarżałem, a on wybaczwał w kociej mądrości. Bo cenił krok lekki i urok życia.

Rozpocząłem pracę spisywania historii innych nie-ludzi, z którymi jestem powiązany. Z którymi mieszkam lub mieszkałem, dzieliłem jakoś świat. Oczywiście w tej mojej uwadze znajdują się tylko najbliżsi

nie-ludzie; wiele istnień dalej pozostaje w cieniu antropocenu⁵. Niemniej starałem się przekroczyć typowo ludzkie spojrzenie i otworzyć na „epifanię kociej/psiej/ptasiej mordki”.

Spisywałem opowieści wydobywane z pamięci, jak i te, które się wydarzały. Przeskakując między bohaterami, między wydarzeniami. Pisanie to było nerwowe i wyczerpujące. Przygnieciony ciężarem tego, co wydobywałem – jak i światem pozatekstowym – odłożyłem poszatkowany tekst. Przez wiele miesięcy do niego nie zaglądałem. Od czasu do czasu robiłem notatki: w zeszytach, kalendarzach starych i nieaktualnych, na luźnych kartkach. Wiele z tego przepadło. Najlepsze i najwnikliwsze wejrzenia, myśli, zdania. Niekiedy o wszystkim zapomniałem.

W każdym razie książka powstawała przez długi czas. W procesie przerywanym zastygnięciami. Zakończona została decyzją – po prostu uznałem, że wystarczy opowieści i teorii też jest wystarczająco, by mogła tworzyć złudzenie całości.

* * *

To jest książka pisania z nie-ludźmi o wspólnocie cierpienia. O przemijaniu. O utracie. O śmierci. Zygmunt Pucko stwierdza, że nieustannie doświadczamy utraty, a ona też kształtuje nasz sposób odbierania świata, naszych system odniesień⁶. Jako jedno z najtrudniejszych doznań jest wyzwaniem, z którym musimy sobie radzić. Utrata nie jest jedynie momentem, pojedynczym wydarzeniem, ale czymś splecionym z nieustannym stawaniem-się. Tracenie, zmienianie konfiguracji, rozpady złożeń i wyłanianie się nowych nie oznaczają wyparcia utraty. Sama utrata nie jest jedynie czymś negatywnym. Nie oznacza wymazania, ale przejście do bytowania w inny sposób. Zastanawiam się, jak pozytywnie można podejść do tego doświadczenia. Nie tyle jako tracenie siebie, ale doświadczanie utraty najbliższych nie-ludzi. Obserwowanie ich starzenia się, ich choroby, ich śmierci.

* * *

⁵ A. Marzec, *Antropocień. Filozofia i estetyka po końcu świata*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2021.

⁶ Z. Pucko, *O utracie. Szkice filozoficzne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021, s. 7.

To jest książka pedagogiczna. Po pierwsze, stanowi zapis zmieniania się podmiotu pod wpływem kontaktu ze zwierzętami pozaludzkimi. Stanowi dokument o tym, jak uczyły mnie życia nie-ludzkie istoty. Po drugie, jest interwencją w przestrzeń społeczną, ma nauczać wrażliwości i przemieniać osoby czytające ten tekst.

Brian Hare i Vanessa Woods wskazują, że jedną z mrocznych stron człowieka jest jego zdolność do dehumanizacji – która wyodrębniając pewne grupy spod parasola humanizmu, człowieczeństwa, pozwala na okrutne ich traktowanie. Określanie obcych jako zwierząt prowadzi do dyskryminacji oraz konfliktów. Wyklucza się różne grupy przez powiązanie ich z małpami, szczurami itd. Tę naszą okrutną tendencję trudno uciszyć. Niemniej, pokazują oni sposoby na to, aby ciemną stronę rozjaśniać i intensyfikować naszą życzliwość. Po pierwsze, warto wspierać edukacyjne działania mające na celu uświadomienie, że nie-ludzie mają swoje myśli i życie emocjonalne. Zасыpywać granicę między ludźmi a innymi zwierzętami – a tym samym między jedną grupą a drugą. „Ci, którzy dostrzegali większą różnicę między zwierzętami i ludźmi, byli bardziej skłonni do dehumanizowania imigrantów (...) osoby, które uważały, że zwierzęta są bardziej podobne do ludzi, były mniej skłonne do odczłowieczania imigrantów”⁷.

To jednak nie wszystko, Hare i Woods wskazują, że sama przyjaźń z pozaludzkimi zwierzętami sprawia, że stajemy się bardziej życzliwi. Włączenie psów do rodzin w egalitarnych kulturach intensyfikuje egalitarność i współpracę. „W poszukiwaniu sposobów na zniwelowanie różnic między nami samymi a tymi, których możemy uznać za obcych – zarówno ludzi, jak i zwierzęta – przyjaźń, która łączy nas z psami, może okazać się najpotężniejszym i najbardziej dostępnym z narzędzi”⁸.

Liczę na to, że moje opowieści przyczynią się do zakopywania różnic. Liczę też na to, że opowieści, jako pedagogiczne interwencje, rozwiną wrażliwość – i może zaowocują nawiązywaniem nowych międzygatunkowych przyjaźni, prawdziwych miłości rozkwitających w duchu wspólnoty cierpienia.

⁷ B. Hare, V. Woods, *Przetrwają najżyczliwsi*, tłum. K. Kalinowski, Copernicus Center Press, Kraków 2022, s. 209.

⁸ Ibidem, s. 212.

Nie jestem biologiem, a co najwyżej amatorem podglądającym życie domowych zwierząt. Przy odrobinie życzliwości można uznać moje anegdoty za element „nauki obywatelskiej”⁹. Z drugiej strony, obserwacje opiekunów i ich ujęcie zwierząt zdają się wyprzedzać ostrożną naukę i jej niechęć do mówienia o życiu wewnętrznym innych istot niż ludzkie. Tego typu dowartościowanie wiedzy zdobywanej przez bezpośrednie doświadczenie pojawia się w licznych pracach tych autorów i autorek, którzy zacierają granicę między ludźmi a nie-ludźmi. Zniesienie tej granicy jest jednym z celów moich opowieści.

Można kwestionować naukowość tego projektu. Wiele zależy od tego, jak rozumiemy naukę. Sama ona przechodzi transformacje. Możliwe, że nie-ludzie zmuszają nas do pisania i myślenia w inny sposób niż typowo ludzki. Na pewno podważają chłód rozumu i uniwersalność ludzkiego rozumowania.

Możliwe, że pisanie o relacjach ze zwierzętami pozaludzkimi wymaga stosowania realizmu magicznego, stylu, „w którym to, co nadprzyrodzone i tajemnicze, nie jest przeciwstawione światu doświadczenia codziennego jako osobna sfera rzeczywistości, lecz stanowi jego integralną część składową”¹⁰. Jest to opowieść splatająca w jedno to, co (nie)możliwe, aktorów ludzkich i nie-ludzkich, wprowadzając widma i zaburzając zachodnią logikę z jej arcyłudzkiem tokiem opowieści. Tego typu zatarcie granic między światem „rzeczywistym” a „niereczywistym” wydaje się w pełni uzasadnione, zwłaszcza gdy piszemy o kotach: „To nieuchwytnie zwierzę pod wieloma względami stoi w pół drogi między rzeczywistością a światem nieznanym, co czyni go istotą dwuznaczną i tajemniczą”¹¹. Magiczność tych, z którymi się stykamy, intensyfikowana jest przez konieczność wychodzenia poza ludzkie sposoby mówienia, myślenia i bycia. Obcując z mieszkającymi u mnie kotami i psami, nieustannie doświadczam przecucia innej rzeczywistości. Świata, który jedynie widmuje pod opuszkami palców, kiedy głaszczę ich niesamowite ciała.

⁹ T.D. Wyatt, *Zachowania zwierząt*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2022.

¹⁰ A. Podgórnai, *Realizm magiczny jako strategia postkolonialna – recenzja*. „Er(r)go” nr 8, z. 1, 2004, s. 189.

¹¹ L.A. Vocelle, *Miau. Kompletna historia kota*, Marginesy, Warszawa 2022, s. 137.

Dla osób spragnionych jasnych odniesień mogę powiedzieć, że korzystam z autoetnografii¹². Wiem, że jak myślimy o tym podejściu, to od razu pojawia się skojarzenie z humanizmem. To ludzkie ja rozprawiające o ludzkim doświadczaniu ludzkiej kultury. I rzeczywiście Ellis i Bochner, założyciele tego wyrotowego ruchu (tak jakby) naukowego¹³, są bardzo humanistyczni. Niemniej, pojawiają się próby przekraczania tej perspektywy – łączenia autoetnografii z posthumanistycznymi koncepcjami¹⁴. *Auto* nie oznaczało dla mnie jedynie ludzkiego ja – ale jest to *self* – które składa się z różnych sił. To jest zresztą ABC autoetnografii. Self to jest też coś, co jest produkowane w trakcie zapisu. W ramach kolektywnego pisania staje się to jeszcze bardziej widoczne¹⁵.

Maksymilian Chutorński¹⁶ rzucił mi wyzwanie, abym napisał autoetnografię ze swoimi psami. Oczywiście ani psy, ani koty nie miały ochoty zajmować się pisaniem, bo mają ciekawsze rzeczy do roboty. Nie oznacza to, że nie opowiadały historii, że ich nie współtworzyły. To, że nie używają ludzkiego języka, nie znaczy, że są nieme, pozbawione głosu i niezdolne do komunikacji¹⁷. Przypisywanie braku głosu nie-ludziom

¹² C. Ellis, *The ethnographic I. A methodological novel about autoethnography*, Left Coast Press, Walnut Creek, 2004; T.E. Adams, S.H. Jones, C. Ellis, *Autoethnography*, Oxford–New York 2015.

¹³ Pisząc tak, nie chcę wpisywać się w głosy odmawiające naukowości autoetnografii, ale też nie chcę jej wpisywać w naukę, jaką znamy, redukować do jednej z metod prowadzenia badań. Autoetnografia jest dla mnie ruchem kontrkulturowym, jakby przesunięciem, zwróceniem uwagi, że te pojęcia-klisze, którymi ludzie uniwersytetu lubią wymachiwać niczym narodowiec flagą 11 listopada, nie stosują się tak łatwo do tej kontrkultury.

¹⁴ Zob. K. Gale, J. Wyatt, *Autoethnography and Activism: Movement, Intensity, and Potential*, „Qualitative Inquiry”, 25(6), 2019.

¹⁵ Szerzej na ten temat zob. M. Pławski, O. Szwabowski, C. Szczepaniak, P. Wężniewska, *Friendly writing as non-inquiry: the problems of collective autoethnographic writing about collective autoethnographic writing*, „Qualitative Inquiry”, 25(9-10), 2019; P. Wężniewska, O. Szwabowski, C. Szczepaniak, M. Pławski, *The praise of collective autoethnography*, „Cultural Studies – Critical Methodologies”, 20(4), 2020, s. 336-349

¹⁶ M. Chutorński, *Nie (tylko) ludzkie wymiary edukacji. W stronę pedagogiki nieantropocentrycznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin, 2020, s. 209, przypis 49.

¹⁷ E. Meijer, *Język zwierząt*, Marginesy, Warszawa 2021.

świadczy raczej o naszych ograniczeniach¹⁸. Uczestniczyły w pisaniu nie tylko jako bohaterowie, którym chciałem oddać głos, jednak przez pryzmat ludzkiego podmiotu jako centralnego zapisywacza i odczuwacza.

Wiemy, że każde pisanie jest cyborgowe¹⁹. Zawsze więcej niż ludzkie. Samą autoetnografię pisze się zawsze z innymi rzeczami²⁰. Sam zresztą piszący człowiek jest mało ludzki. Moja autoetnografia jest monstrialna, otwarta na podatność na zranienia²¹, które łączą nas w kruchości, przez ranę.

Moja autoetnografia stara się być postludzka. O ile wciąż pozostaje to piszące-ja, to nie chce ono zawłaszczać, ale być pośrednikiem, rodzajem tłumacza między ludzkim a nie-ludzkim, opowiadaczem historii, które przekraczają ludzką wyobraźnię. Na ile się to udało, to trudno powiedzieć. Niemniej staram się zawierzyć samym opowieściom. Inspiruję się cynicznym podejściem, gdzie opowieść ma teoretyczny i pedagogiczny charakter, a sam filozof powstrzymuje się od teoretyzowania²².

* * *

Pisać, by podtrzymywać pamięć, ale też by ranić. Nacinać ochronne skóry oddzielające od świata, rozcinać, by otwierać wrażliwą, czułą tkankę – by łączyć inaczej, intensywniej, intymniej i bardziej ryzykownie. Zranienie, które jest zmieniające, transformujące naszą wrażliwość, nas, świat. Myślę, że to pozostawianie nieuleczonym umożliwia wyłonienie się rodzajom współbycia na tyle czułym, że przekraczają gatunkowy szowinizm i publiczną pedagogię neoliberalną.

Moje autoetnografie bycia z nie-ludzkimi innymi w zamierzeniu mają sprawiać ból, rozrywać zalepione rany. Sam też tak pisałem –

¹⁸ C. Safina, *Dzikość. Jak kultury zwierzęce wychowują rodziny, tworzą piękno i osiągają pokój*, tłum. A. Wojtasik, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2021.

¹⁹ L. Muhr, A. Rehn, *On Gendered Technologies and Cyborg Writing*, „Gender, Work and Organization”, 22(2), 2015.

²⁰ K. Gale, J. Wyatt, *Autoethnography...*

²¹ L. Henriksen et al., *Writing bodies and bodies of text: Thinking vulnerability through monsters*, „Gender, Work & Organization”, 29(2), 2022.

²² D.R. Dudley, *A History of Cynicism*, Methuen And Company Limited, London 1937; L. Shea, *The Cynic Enlightenment. Diogenes in the Salon*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 2010.

rozrywając się, nie pozwalając na oswojenie się ze stratą, na wycofanie przed grozą nie-istnienia. Pisanie to samo w sobie było bolesne. Niekiedy myślałem, że nie dam rady. Nie tylko pisać, ale być. Normalność rozmyślała się i traciła znaczenie. Ten dystans do tzw. normalności jest w jakimś stopniu wyzwalający i konieczny. Oderwanie się od tyranii codzienności, nawyków i sensów zastanych pozwala na odebranie nauki od nie-ludzi. Bo to jest książka o edukacji. O stawaniu się z innymi innym. To próba współtworzenia innych opowieści²³, które mają przyczyniać się do tworzenia nowej wspólnoty postludzkiej.

* * *

Moje pisanie jest inne niż Davida Goodego²⁴. Po pierwsze, nie uznaję, że istnieje możliwość pochwylenia wydarzenia, opisanie surowych doświadczeń²⁵. Każdy opis jest wytworzeniem, produkowaniem, a nie odtwarzaniem²⁶. Po drugie, jako autoetnograf staram się ukazać kulturowe uwarunkowania bycia z pozaludzkimi zwierzętami. Tego, co kulturowe, nie można zawiesić – można ujawnić, częściowo rozsypać i spleść inaczej. Zgadzam się z Goode’em w tym, by jak najwięcej głosu oddawać samemu wydarzeniu. Tylko że zbyt duża koncentracja na szczegółach, odwzorowaniu może ożywić ducha pozytywizmu, który zamanifestuje się poprzez pozytywistyczny styl. A nie o lustro chodzi, a o zmianę, o interwencję²⁷.

To pisanie jest polityczne. Próbuję upomnieć się o innych, o wykluczonych. Zwłaszcza, że np. zły stosunek do kotów był powiązany z walką z innowiercami oraz kobietami²⁸ – rozwinąć wrażliwość, em-

²³ Konieczność innego opowiadania, wypracowania nowej opowieści jest podkreślana przez wielu posthumanistów. Zob. np. M. Rogowska-Stangret, *Opowiedzieć świat inaczej. o praktykowaniu utopii w antropocenie*, [w:] ZOEpolis. *Budując wspólnotę ludzko-nie-ludzką*, bęc zmiana, Warszawa 2020.

²⁴ D. Goode, *Playing with My Dog Katie*, Purdue University Press, West Lafayette 2007.

²⁵ B. Massumi, *Semblance and event: Activist philosophy and the occurrent arts*, The MIT Press, Cambridge 2011.

²⁶ N.K. Denzin, *The dead of data?*, „Cultural Studies ↔ Critical Methodologies”, 13, 2013.

²⁷ N.K. Denzin, *Performance Autoethnography. Critical Pedagogy and the Politics of Culture*, Routledge, London–New York 2018.

²⁸ L.A. Vocelle, *Miau...*

patii przez odwołanie się do żywego doświadczenia²⁹ i na bazie której można budować inne wspólnoty.

* * *

Wspólnoty, która nie tworzy się przez wykluczenie śmierci, ale się na nią otwiera. Nie chodzi o usuwanie smutku, żałoby, ale o pisanie w niej i na niej budowanie posthumanistycznej etyczności³⁰. Urszula Kluz-Knopek wskazuje, że usuwanie smutku, żałoby, choroby i śmierci wytwarza twarde wspólnoty i twarde podmioty, wydajne, produktywne, nie-ludzkie w swej ludzkości³¹. Usuwające swą wstydliwą kruchość stają się dobrymi obywatelami i konsumentami podporządkowanymi plastikowej rzeczywistości. Silność, twardość podmiotów to bezrefleksyjność, zasklepienie się na innego, wyzbycie się wrażliwości³². Idąc tropem Roberto Esposito, wykluczanie śmierci, słabości, choroby, uodpornianie wspólnoty sprawiają, że zostajemy zwolnieni z zadłużenia wobec innego. Zamyka nas, usztywnia i niekiedy zwraca się przeciwko nam. To już nie konieczność obdarowywania, ale zimne, twarde ciało faszystowskie³³. Tymczasem musimy nauczyć się umierać, by nauczyć się żyć³⁴. Musimy otworzyć się na kruchość, chwiejność, słabość, aby otworzyć się na innych³⁵. Tego wszystkiego nauczył mnie Juliuszek – chociaż wciąż śmierć innych mnie przeraża. Nawet w momencie pisania końcowych słów. A może o to chodzi – by pozostać w napięciu, kruchym, drżącym, zranionym, nieustannie otwartym na inne słabe bycie, które z troską celebруемy w jego, w naszej, tymczasowości.

* * *

²⁹ O rozwijaniu empatii zob. K.T. Konecki, *Empathy! So What?*, „Przegląd Socjologii Jakościowej”, t. XVIII, nr 4, 2022, s. 194-233 (<https://doi.org/10.18778/1733-8069.18.4.08>). W stosunku do zwierząt: M. Bekoff, *Manifest zwierząt*, Marginesy, Warszawa 2019.

³⁰ M. Rogowska-Stangret, *Być ze świata, słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2021.

³¹ U. Kluz-Knopek, *PlayDead.info*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk, b.r.w.

³² K. Maliszewski, *Bez-silna edukacja. O kształceniu kruchego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.

³³ R. Esposito, *Pojęcia polityczne*, Universitas, Kraków 2015.

³⁴ U. Kluz-Knopek, *PlayDead.info*.

³⁵ K. Maliszewski, *Bez-silna edukacja...*

Chciałbym pisać „jak zwierzę”. Pisać w ciemności, bez zabezpieczeń – otwarty na dzikość bytu, z napiętymi mięśniami, wyostrozonymi zmysłami. Pisać bez pewności, bez logiki – myśląc blisko bestialskiego stawania się razem. I wpołnago umierania. Pisać „jak zwierzę” to znaczy pisać niebezpiecznie. Tadeusz Sławek ujmuje to następująco:

„jak zwierzę” jest frazą ułożoną przez człowieka, a zatem powiedzmy, że „jak zwierzę” to osiągnięcie pewnej granicy, peryferii człowieczego, gdzie nie działają już zwykłe sposoby zabezpieczania się, czy wręcz ubezpieczania się na życie, „Jak zwierzę” odbezpiecza, nie nazywając ich pospiesznie, „wielkie tajemnice” i zmienia tryb naszego myślenia. Nie wystarczy filozofować w zgodzie z prawidłami logiki („odróżniać zbyt mocno”), wygodnie zabezpieczającymi nas przed ześlizgnięciem się na niebezpieczne manowce paradoksów. Teraz myślenie nie należy do dobrze oświetlonych salonów; przeciwnie – dokonuje się wobec ciemności. (...) „Jak zwierzę” znaczy więc daleko od filozofii, ale nie od myślenia dotyczącego nagiego niebezpieczeństwa bycia. To dobitna krytyka Oświecenia szukającego zabezpieczeń i snującego bogate plany na przyszłość. W kręgu bycia „jak zwierzę” (a ten rodzaj bycia może nas wyciągnąć z opresji czysto ludzkiego świata) nie ma przyszłości, jest tylko czas. Przyszłość zaludniają nasze złudne i zwodnicze pragnienia, czas jest bezlitośnie samotny i bezwzględny – po prostu przychodzi, „Jak zwierzę” – umieramy, bez górnolotnych słów i idei. Najprościej mówiąc, przychodzi na nas czas³⁶.

Pisanie bez zabezpieczeń w obliczu ciemności, śmierci obojętnej

Pisać „jak zwierzę” – ale czy my, zwierzęta ludzkie, możemy pisać inaczej? Może pisać więcej niż ludzko, mniej, obok, z? Na pewno prowokując jednak pewnego rodzaju inne myślenie, inną filozofię. „Nienaukowe” to znaczy bez masek gazowych chroniących przed zapachem śmierci i oddzielając nas od jej doświadczania – naukowości pozytywistycznej wyjaławianej rzeczywistość, życiowe doświadczania³⁷.

³⁶ T. Sławek, *Śladem zwierząt. O dochodzeniu do siebie*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2020, s. 14.

³⁷ Ibidem, s. 14-15.

Stąd wybór autoetnografii – autoetnografia cyniczna bis, to znaczy zezwierzęcona – posthumanistyczna, gdzie self tarza się w trawie, wygrzewa w słońcu i ucieka przed ludzkimi postaciami rzucającymi niebezpieczny cień. Cieleśna, słowa są wydalane – przechodzą przez jelita. To też autoetnografia wypłakana – pisana powoli – zrywami – aż do nie-ludzkiego wyczerpania, aż do granicy, gdy ciało składało się do snu. A inne nie-ludzkie istoty otulały, mruczały terapeutycznie. I pozwalały pisać dalej – w naszym zwierzęcym imieniu.

Z wielu doświadczeń z nie-ludźmi wybieram te, które dotyczą śmierci, odchodzenia, choroby, leku przed wspomnianymi doświadczeniami, zjawiskami. To fakt śmierci, doświadczenie odejścia Juliuszka jest podstawowym doświadczeniem, nad którym nadbuduję resztę tekstu. Z tej perspektywy piszę jak zwierzę i myślę nie-ludzko. Nie jest to więc zapis stawania się sforą jako taką – to opowieść o nie-ludzkiej wspólnotcie i próba jej filozoficznego znarratywizowania. Oczywiście, wszystkie doświadczenia rozgrywają się w tym horyzoncie. I odnosząc horyzont do zdarzenia, można powiedzieć, że wspólnota jest krucha, a nie (tylko) na niej oparta. Ciągłe się rozpada. Kruchość też nie może być fundamentem czy dać prawa dla określonej, pewnej, struktury. Raczej jest zraniona, w niustannym ruchu, otwarta przez ranę. I nie jest harmonią, nie jest brakiem konfliktów – raczej niustanną negocjacją, rozwiązywaniem ich i transformowaniem. Włączeniem nowych elementów i traceniem pewnych. konfigurująca się w dzikim pędzie wścieklej kotki, szalonego psa i rozkojarzonego człowieka.

* * *

Pisać „jak-zwierzę”, ale też pisać ze zwierzętami, to tworzyć opowieści, które wykraczają poza znormalizowaną, technokratyczną naukę – z jej fetyszem jasności, tworzenia granic i ładu. To pozostawanie w objęciach literatury, metafor, wreszcie samej opowieści, od której nie należy odbiegać za bardzo. Przestrzega nas przed tym Haraway: „(...) nie należy odbiegać od samych opowieści o zwierzętach. Przesłanie musi być integralną częścią opowieści”³⁸. W ramach tych opowieści,

³⁸ D. Haraway, *Manifest gatunków stowarzyszonych*, [w:] *Teorie wywrotowe*, red. A. Gajewska, tłum. J. Bednerek, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2012, s. 253.

na co też uczula nas filozofka, ludzkie i nie-ludzkie wyłaniają się w relacji, która nieustannie się tworzy. Też w trakcie samego pisania.

* * *

Niekiedy wątpię, czy dam radę skończyć książkę – ilekroć wracam do pisania, koci szpon rozrywa mi wnętrzności. Widmowe mruczenia sprawiają, że z trudem powstrzymuję łzy. Chociaż mam zapisanego Juliuszka na ciele, chociaż minął już prawie rok od jego odejścia – to wciąż... I ta rana otwiera na niewysłowione cierpienie. Wczoraj widziałem czarnego kota obok akademika, w którym zamieszkuję podczas zjazdów. Zimno, że trudno wytrzymać. Kot jak cień. Świadomość ogromu bezdomności, bezbronności kotów – rozrywa.

grudzień, noc, lodowa biel
czarny kot idzie
samotne światy cichną

Zamarza się bezsłownie. Odchodzi się bez śladu. Muszę pisać, by upomnieć się o niewidoczne. Zrobić własny głos miauczeniem i wyciem. Pisać „jak zwierzę” to pisać nieobojętnie – to budzić empatię. I zadawać rany. Otwierać sklepienie i zamknięte. To uśmiercać świat ludzki, znany, codzienny i przyczyniać się do jego zmartwychwstania³⁹ – nie w formie ludzkiej, ale innej wspólnoty, która wychodzi od świata, a nie ode mnie.

Uwaga na temat języka

W swoich opowieści mówię o nie-ludzkich dzieciach. Czy mamy do czynienia z upupieniem, z infantyлизacją? Czy nie jest to ustanawianie, poprzez język, niewłaściwej relacji? Niekoniecznie musi być to infantyлизacja⁴⁰ czy narzucenie pewnej maski-podmiotowości, która nie uwzględnia manifestacji piesj/kociej mordki.

³⁹ Ibidem.

⁴⁰ Temple Grandin zauważa, że zwierzęta domowe nie dorastają, pozostają wiecznymi dziećmi, są wiecznymi szczeniakami. T. Grandin, C. Johnson, *Zwierzęta czynią nas ludźmi*, Media Rodzina, Skórzewo k. Poznania 2011.

Po pierwsze, wiele zależy od tego, jak rozumiemy słowo „dziecko”. Wykazywałem już jego nie-ludzkie oblicze, same dzieci są nie-człowiecze, są z pogranicza, są pewnym rodzajem monstrem⁴¹. Tak ujęta podmiotowość odpowiada pograniczności nie-ludzi. Po drugie, używanie słowa „dziecko” wskazuje na pewną zależność – psy i koty są od nas zależne, wymagają naszej pomocy, opieki. Słowo „dziecko” wskazuje na konieczność troski. I na swoista niesamodzielność, która nie musi oznaczać odmowy autonomii, co raczej świadomość jej granic – wynikającej z jednej strony z naszej aktywności, z udomowienia tych istot; z drugiej, z niesamodzielności każdej istoty, która jest zależna od sieci, w które wchodzi. Po trzecie, jest to rodzaj działania językowego, który ma wytworzyć przestrzeń intymności oraz zobrazować więź uczuciową z nie-ludźmi – i może też wywołać to w czytających.

Innym problemem jest to, że to ludzki język. Używając go, antropomorfizuje się zwierzęta pozaludzkie. Goode rozważa ten problem. Niektóre krytyki antropomorfizacji nie tyle bronią wyjątkowości nie-ludzi, ile ludzkiej unikalności⁴². W zamian tego proponują mechanizomofrizm⁴³. Stojąc na stanowisku darwinowskim i widząc ciągłość ewolucji, nie uznają, że należy wprowadzać ostre cięcia – zwłaszcza takie, które odmawia nie-ludziom wielu rzeczy, które dostrzega się podczas obserwacji ich życia. Dzielimy ze sobą wiele, ale też nas wiele dzieli⁴⁴. Błędem byłaby redukcja nie-ludzi do ludzi, zagadanie ich opowieści. Ten lęk nieustannie mi towarzyszył. Niemniej, biorąc pod uwagę, że mam do wyboru tematyzowanie pozaludzkich zwierząt jako maszyn albo jako naszych braci i nasze siostry, to wybieram tę drugą opcję. Po części z przyczyn politycznych – traktowanie nie-ludzi jak maszyn legitymizuje przemoc wobec nich.

Podobnie zauważa Krzysztof Konecki: antroporfizacja nie jest błędem, ale koniecznym narzędziem poznawczym umożliwiającym nam komunikowanie się z ludźmi i nie-ludźmi⁴⁵. Konecki dostrzega, że od-

⁴¹ Zob. D. Gruntkowska, O. Szwabowski, *Dziecko jako byt pogranicza. Romantyczne ujęcie dziecka w kontekście edukacji*, „Filozoficzne Problemy Edukacji”, 4, 2021.

⁴² D. Goode, *Playing with My Dog Katie*, s. 97-98.

⁴³ Ibidem, s. 84.

⁴⁴ Ibidem, s. 3.

⁴⁵ K.T. Konecki, *Ludzie i ich zwierzęta*, Scholar, Warszawa 2005, s. 16-17.

rzucenie antropomorfizmu i przyjmowanie animalistycznej perspektywy sprawia, że możemy traktować nie-ludzi w sposób nieetyczny.

Wiele komunikacji zachodzi poza słowami. Goode wspomina o wspólnym języku, jaki wykształca się w zabawie człowieka i psa, które to porozumienie nie potrzebuje „formalnej identyfikacji w języku”⁴⁶. Bill François opisuje komunikację międzygatunkową, która nie wymaga wspólnego języka. „Jeden gatunek interpretuje dźwięki wydawane przez drugi, nie do końca je rozumiejąc, lecz dobre intencje pozwalają pokonać bariery językowe”⁴⁷. Nie chodzi tylko o dźwięki, ale też język ciała. Uczymy się czytać inne gatunki, a one czytają nas – i jakoś się porozumiewamy. To, że w książce używam ludzkiego języka i ludzkiej perspektywy, sprowadzam inne światy do swojego, jest czymś nieuniknionym. Jak zauważa Marcin Maria Bogusławski, „nie do uniknięcia jest antropocentryzm poznawczy”⁴⁸. Ten rodzaj antropocentryzmu można nazwać miękkim. Nie hierarchizuje on, nie wskazuje, że nasze, ludzkie, poznanie jest najlepsze. Stwierdza raczej banalny i smutny fakt, że inne poznania są dla nas niemożliwe. Nigdy nie będę wiedział, jak to jest poznawać świat z perspektywy kota, psa, myszy, nietoperza. Te sposoby poznawania są inne, ale nie gorsze⁴⁹.

Tego typu antropocentryzm wskazuje też na równie banalny fakt, że mogą informować o moich efektach poznania tylko w ludzki sposób. Również tutaj jestem ograniczony. I światy, i historię, które przedstawiam w tej książce, są pisane z mojej perspektywy. Mówię za innych. Usprawiedliwiam się tym, że oni nie są w stanie przemówić w tym języku.

⁴⁶ D. Goode, *Playing with My Dog Katie*, s. 104.

⁴⁷ B. François, *Elokwencja sardynki*, tłum. E. Janota, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2020, s. 181.

⁴⁸ M.M. Bogusławski, *Wariacje (post)humanistyczne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020, s. 71.

⁴⁹ Jestem przeciwny zaś postawie antropocentrycznej, która wartościuje byty, która stawia to, co ludzkie w centrum świata i dowartościowuje tylko ludzkie poznanie. Ludzkie poznanie jest ograniczeniem, jest czymś, co można próbować rozprasać, jakoś zawieszać, ale nigdy nie uda nam się komunikować np. z kotami na ich warunkach z prostych biologicznych ograniczeń – nie czujemy ich mowy.

Uwaga o miłości

Jürgen Körner, pisząc o miłości do zwierząt, zauważa, że jest to próba przezwyciężenia obcości, przerzucenia mostu, ale nawet ona „natrafia na nieprzekraczalną granicę – niedostępną odrębność zwierząt”⁵⁰. O ile można kwestionować zarysowany przez niego podział jako lekko przestarzały, to wysuwa on stwierdzenia wymagające uwagi. Według niego miłość nie tylko nie usuwa odrębności, ale też poddaje zwierzę kontroli. Miłość do zwierząt cechuje pozór wynikający z braku oporu tychże. Nie-ludzie nie mogą zakwestionować naszej narracji. niczym Piętaszek robią i stają się tym, co mówię⁵¹. „Ponieważ zwierzę nie może nam przeczyć, jest idealnym obiektem projekcji wszystkich naszych niespełnionych fantazji i uczuć oraz wszystkich wytęsknionych przeżyć”⁵². W tej iluzji tak naprawdę, mówi Körner, poszukujemy wypełnienia braku – zwierzę jest substytutem. Miłość nie jest więc otwarciem, ale podstawieniem. Nie jest stworzeniem wspólnoty z nie-ludźmi, ale narcystycznym przyglądaniem się w lustrze, pewnym narkotycznym rekompensowaniu niepowodzeń w życiu.

Te uwagi mogłyby doprowadzić do ponurego stwierdzenia, że pod płaszczykiem miłości dokonują zawłaszczenia i podporządkowania nie-ludzi. Że nie-ludzie są pretekstem do opowieści o moich niespełnionych pragnieniach – o mnie i tylko o mnie to są historie.

Po pierwsze, można argumentować, że miłość jest powiązana z brakiem, pragnieniem bycia i życia pełniejszego. Bez miłości odczuwa się wielką pustkę, a znaczenia i sensory wyciekają i rozplývają się w braku. Pragnienie lepszego życia nie oznacza, że instrumentalizuje się innych – a precyzyjniej: nie musi tego oznaczać. Bo w braku nie chodzi o wypełnienie siebie, ale o splatanie świata z nieredukowalnymi elementami. To nie pragnienie ujednolicenia, wchłonięcia, skonsumowania, ale wspólnego posiłku.

Warto też zwrócić uwagę, że to, że coś mówi coś o nas, nie oznacza, że to coś jest pozorem. Nasze związki mówią o nas. Mało tego, związki są stwarzaniem tego, czego pragniemy – swoistym pisaniem

⁵⁰ J. Körner, *Nasi bracia pies i kot*, W.A.B., Warszawa 1999, s. 10.

⁵¹ J.M. Cotzee, *Foe*, tłum. M. Konikowska, Znak, Kraków 2007.

⁵² J. Körner, *Nasi bracia...*, s. 118-119.

świata. Pisanie z miłością to pisanie z troską, o innych, o środowisko. To pisanie, które ocala różnice.

Pisanie w miłości to pisanie utopijne. Preformatywne. Miłość-utopia to taka wizja relacji, gdzie nie chodzi o władzę, ale o wspólne – lepsze – bycie. Istotną kwestią jest rozkwitanie, a nie rozwój⁵³.

W odmienieniu do „krytyki” miłości do zwierząt dokonanej przez Körnera można dodatkowo stwierdzić, że to, że inny zawsze jest pewną projekcją, dotyczy w jednakowym stopniu ludzi i nie-ludzi. Nigdy nie mamy dostępu do „prawdy” innego, on zawsze nam się wymyka.

Körner zdaje się po prostu zakładać, że zwierzęta inne niż ludzie nie są zdolni do miłości. To założenie uzasadnia ograniczoną sprawczością, a niekiedy wręcz odmawia jej nie-ludziom. Tak jak jestem pewny sprawstwa bytów innych niż ludzie⁵⁴, tak nie mam wątpliwości co do miłości między gatunkami. Trzeba tylko nauczyć się innego języka. Salsia obejmuje mi dłoń, liże i mruczy, delikatnie gryzie. Mrusio wtula się w twarz. Groza delikatnie kładzie się obok.

„Nikt, kto kiedykolwiek miał szczęście bycia kochanym przez psa, nie pomyślałby, że jego miłość jest mniej warta”⁵⁵.

Można też powiedzieć, że Körner nie potrafi rozdzielić miłości międzyludzkiej od międzygatunkowej, nie-ludzkiej. Dokonał tego John Gray. Według niego ludzka miłość jest ułomna, bywa formą ucieczki od siebie, przesączona bywa nienawiścią. Tymczasem „[m]iłość między ludźmi i zwierzętami jest wolna od takich skaz”⁵⁶. Jest ona rodzajem tajemniczego połączenia, specyficznej, magicznej więzi, podczas której zachodzi dziwny rodzaj komunikacji.

W tej perspektywie pisanie z nie-ludzką miłością to po pierwsze pisanie pozaludzkie, nieredukowalne do racjonalnego wywodu, ale uruchamiające ciało, afekty, płynące dziwnymi drogami. Po drugie, to też pisanie uzdrawiające i edukujące. Pisanie z miłością, dające jej

⁵³ Teologia wyzwolenia przeciwstawia rozwojowi wyzwolenie. Możliwe, że nowe wspólnoty, wspólnoty miłości, to zerwanie z panującym porządkiem i wytworzenie utopijnego świata. rodzaj upiornego współzbawienia. G. Gutiérrez, *Teologia wyzwolenia*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1976.

⁵⁴ Szerzej na ten temat w zakończeniu.

⁵⁵ B. Hare, V. Woods, *Przetrywają najzycielsi*, s. 213.

⁵⁶ J. Gray, *Kocia filozofia*, Fundacja Kultura Liberalna, Warszawa 2022, s. 141.

wyraz, otacza czytających. Gray dostrzega transformacyjny charakter miłości między ludźmi a innymi zwierzętami, ja zaś doświadczyłem i doświadczam tej mocy przemiany. Gray, rekonstruując miłosną relację Mary Gaitskill z jej kotem, stwierdza: „Kluczowe jest tutaj nie to, czy Gattiono nadal żyje, lecz to, że kiedyś istniał i swoim istnieniem czegoś dokonał. Przywiązanie pisarki do kota nie przypominało związków z ludźmi. Nie było w nim skomplikowanego sprzężenia próżności i okrucieństwa, żalu i wyrzutów sumienia, które zwykle towarzyszą międzyludzkiej miłości. Wspomnienie o kotku zmieniło jej uczucia względem zmarłego ojca, dzieci, którymi się opiekowała, i zastrzeżonego w Iraku studenta medycyny. Miłość przekraczająca granice człowieczego świata pomogła jej w bardziej bezpośredni sposób przeżywać miłość do innych osób”⁵⁷. Nie chodzi więc w pisaniu miłosnym o redukcję, ale właśnie o otwarcie się na innego i inne, co przekształca ludzkie i międzyludzkie. Pisanie nie-ludzko-miłosne, będąc powiązane z pisaniem jak zwierzę, stanowi sposób tworzenia wspólnoty nie tylko ludzkiej. A tym samym znacznie lepszej wspólnoty, bo wyedukowanej przez zwierzęta – wrażliwszej, prostszej, bardziej płaskiej i codziennej. I otwartej, o czym będę (współ)pisał w zakończeniu.

Język miłości jest międzygatunkowy. W książce wyrażam go językiem ludzkim. Pod słowami jest sierść, ciepłe ciało, wymiany spojrzeń...

Konrad Lorenz stwierdza, że pisanie o zwierzętach pozaludzkich wymaga miłości. Bez niej nie jest możliwa odpowiednia obserwacja. Nie jest to zaburzenie spojrzenia, ale podstawa dostrzegania, odpowiedniego, nieuprzedzonego ujmowania zwierząt innych niż ludzie. Przeciwwstawiając się pozytywistycznej, zimnej obiektywności, Lorenz wskazuje na radość i bliskość obcowania: „(...) samo teoretyczne zainteresowanie zwierzętami nie wystarczyłoby, gdyby nie miłość, która sprawia, że czujemy bliskie pokrewieństwo z nimi”⁵⁸.

Emocje stają się kluczowe w pisaniu o zwierzętach, przekraczają urzeczowienie, mechanicyzm, a jednocześnie mobilizują do walki o ich lepsze życie⁵⁹. O nasz lepszy świat, który wyłania się z uzbrojonej miłości.

⁵⁷ Ibidem, s. 152-153.

⁵⁸ K. Lorenz, *Rozmowy ze zwierzętami*, tłum. B. Tarnas, W.A.B., Warszawa 2014, s. 11.

⁵⁹ A. Matsuoaka, J. Sorenson, *Introduction*, [w:] *Critical Animal Studies*, Trans-Species Social Justice, London—New York 2018.

Miłosne-pisanie-jak-zwierzę ma moc desocjalizacyjną. Oznacza to, że po pierwsze, nie jest odtworzeniem kulturowych, społecznych relacji miłości ludzkiej. Miłość przenikająca pisanie jest efektem spotkania i współbycia z nie-ludźmi. To jest relacja, której się uczymy poza arcyłudzkiem społeczeństwem i jego kulturą. Po drugie, to miłość mająca moc niszczenia kulturowych i społecznych sposobów patrzenia i nadawania znaczeń. Epifania kociej mordki i relacja, którą otwiera, jest wyjściem poza to, jak zostaliśmy nauczeni patrzeć na zwierzęta pozaludzkie. To ustanawianie nowych relacji, innych niż te, które uznaje za właściwe społeczeństwo ze swoją kulturą arcyłudzką. Pisanie z miłością to pisanie przeciwko ustanowionym relacją, sposobom poznawania i klasyfikowania tego, co nie-ludzkie.

Zasada, by pisać o zwierzętach pozaludzkich z miłością, nie oznacza oczywiście, że miłość jest czymś, co pojawia się od razu, ani czymś, co poprzedza relacje. Miłości do nie-ludzi się uczymy, więc jest to proces desocjalizacji i resocjalizacji do potwornego społeczeństwa. Postulat ten oznacza, że gdy już zaczynamy pisać, to powinniśmy być nastrojeni odpowiednio – nasze słowa muszą płynąć z naszego już nie-(tylko)-ludzkiego serca.

Dorastanie

Prosta narracja

Zawsze otaczały mnie zwierzęta: ptaki, ryby, psy, koty, gryzonie, sarny. Wiewiórki przychodziły na taras, wróble wygryzały kit z okien, w akwarium gupiki mieniły się kolorami. Przed drzwiami witały mnie koty. Pies ujadał na łańcuchu. Sarny pasły się na polanie za przystankiem autobusowym. Czasami dziki, całą rodziną, przechodziły brukowaną ulicą. Od zawsze otaczały mnie zwierzęta. Stawałem się z nie-ludźmi. Na obrzeżach miasta było ich więcej niż ludzi – może dlatego jestem trochę zdziczały.

* * *

Odkąd pamiętam zawsze mieliśmy psy. Ojciec lubił wilczury. Senne wspomnienie wizyty weterynarza i skulonego szczeniaczka w przedpokoju. Miodowe światło. Za oknem noc. Krótka rozmowa. Widzę teraz tylko poruszające się usta. Sylwetki zarysowane. I nie wiem, na ile ten obraz pochodzi ze wspomnień, a na ile skonstruowałem go na podstawie opowieści. Bo tego psa pamiętam tylko z historii ojca. Nie żył długo. Zmarł na nosówkę. Możliwe, że nawet go nie widziałem. Przecież wtedy raczej nie poruszałem się na własnych nogach. A może mama trzymała mnie na rękach, słuchając smutnych słów lekarza. Powążnego, bezradnego. Pakującego swoje rzeczy.

A rano już nie było kudłatej kuleczki.

A pierwszą rzeczą, jakiej dowiedziałem się z zakresu dbania o psy, było to, że nosówka to wyrok śmierci. Jest bardzo niebezpieczna. Trzeba szczepić.

Nie pamiętam, czy rozumiałem, czym jest śmierć. Czy odczułem utratę. Nie pamiętam, jak miał na imię.

* * *

Drugiego psa pamiętam też raczej ze zdjęć. Kilka rozmytych wspomnień ze spacerów. Niewyraźny zarys sylwetki. Kojec w ogrodzie.

Ujądanie nocą. Omar – owczarek, którego srebrny medal i certyfikat wisiał w przedpokoju na ścianie. W tym samym miejscu, gdzie w sennym wspomnieniu pierwszego wisiała kropłówka. Chociaż może wcale nie wisiała.

Ojciec był z niego dumny. Omar nosił wielkie gałęzie. Chodziliśmy do lasu, gdzie zbiegał po stromym zboczu i dźwigał z powrotem kłody drewna. Podcinał nimi, więc trzeba było uważać. Troszczył się o mnie, kiedy raczkowałem. Nosił za pieluchę i nie pozwalał odchodzić za daleko. I pamiętam, jak szarpał się na łańcuchu. Trochę się go bałem.

Zginął pod kołami samochodu. Nie było nas wtedy w kraju. Wersja jest taka, że zwolnił go z łańcucha sąsiad. My byliśmy na jakiejś wycieczce – z tydzień, może dwa. Psa karmiła rodzina. Tyle. Nikt się nie przejmował jego osamotnieniem. Tym, co czuł, jak znosił samotność na łańcuchu. Chyba nie szło mu to radzenie sobie za dobrze, skoro uciekł – i zginął na ulicy, którą odjechaliśmy.

Był pies, nie ma psa. Nie płakałem. We swoich wspomnieniach raczej się go bałem. Chodził na kolczatce. Raz zagryzł psa sąsiadów – małego, szczekliwego kundelka. Pomyślałem wtedy, że dobrze. Nie będzie więcej mnie obszczekiwał. Ojciec dziwnie wtedy na mnie spojrział. Nie rozumiałem, dlaczego wyglądał na przejętego. Dłoń miał pokrwawioną. Próbował odciągnąć Omara. „Krzyczałem, aby zabrał psa”, mówi ojciec. Trochę jakby był w szoku. Nie rozumiem. To był głupi kundel. Zawsze jazgotał i próbował ugryźć.

Po śmierci Omara ojciec był przybity. Niedługo pojawił się nowy wilczur. To był sposób, w jaki mój tata radził sobie z utratą – zastępował pustkę. Taką strategię próbował mi przekazać. Podmieniaj – i udawaj, że nic się nie stało. Przestała ona działać, gdy nawiązałem bardziej intymną więź z nie-ludźmi. Są oni nie do zastąpienia. Nic nie wypełnia pustki po nich.

* * *

Wspomnienia. Kolczatka, łańcuch, grube, krótkie smycze, drewniana buda, szarpiący się pies – rany na szyi. Pamiętam. Nie było w tym nic niestosownego. Nic złego. W okolicy wszyscy mieli psy na łańcuchach. Owczarki. Sporo owczarków. Dzięki temu czuli się bezpieczni w tych domkach na skraju lasu, przy brukowanej ulicy bez oświetlenia,

gdzie zaledwie kilka rodzin mieszkało przez cały rok. W ciemności pies ujadający na smyczy. Zęby. Piana na pysku. Żelazny, gruby łańcuch owinięty wokół drzewa. Buda pokryta śniegiem. Błoto wokół budy. Garnek z resztkami.

Pisanie

Kiedy piszę ten fragment, wracając do dzieciństwa, przywołując relacje z pierwszymi zwierzętami, w piwnicy siedzi kot na izolacji, nowy – Groza. Młoda kotka. Ja jestem na górze, ona sama. Pisanie jawi mi się w tym momencie jako nie tyle łączenie, ile odłączenie.

Emma – stara jamniczka zabrana od rodziców – szczeka i piszczy na dole. Nie da rady wejść po schodach. Piszę, a to skradziony wspólny czas. O ile w przypadku Grozy można mieć nadzieję na przyszłość, to w przypadku szesnastoletniego jamnika raczej nie.

Pisząc, łączę się ze starym ja i z duchami, które dawno odeszły, wyblakły. Z trudem je przywołuję – izolując się od obecnych powiązań. Chociaż one powracają, nakładają się. Niekiedy przeszkadzają w pisaniu.

Prosta narracja

Fokus, ostatni owczarek, jakiego ojciec wziął, był włochatą kulką, która buntowała się na spacerach. Siadał i płakał, że dalej nie pójdzie. A chodziliśmy całą rodziną. Wieczorami wśród ogrodów. Podjadaliśmy owoce z drzew i krzaków wystających poza ogrodzenie. Ja czasami jechałem na rowerze.

* * *

Fokus siedzi na środku piaszczystej alejki. Popiskuje cicho. Oddalamy się, a on się nie rusza. Zostaje uznany za leniwego psa. Trochę ciamajda. Ojciec ciągle porównuje go z Omarem. Fokus to ledwie cień prawdziwego psa.

* * *

Fokus mieszka na tarasie. Jeszcze starym, nad garażem, który stanowi graciarnię. Boje się go, bo skacze, dziwnie się zachowuje. Z perspektywy czasu widzę to jako zachętę do zabawy. Z perspektywy dziecka widzę ogromnego psa, który biega, powarkuje, skacze – a jest większy i silniejszy. Z perspektywy dziecka widzę zagrożenie. Nigdy z Fokusem nie nawiązałem głębszej relacji. Nawet kiedy umierał – wychudzony, zżerany przez raka. Nie potrafiłem go zrozumieć. Za bardzo też się nie starałem. Dystans przesączony lękiem oddzielał nas.

* * *

Fokus mieszkał na tarasie. Najpierw małym, potem dużym. Wchodził na dach garażu, skakał na drzwi przedsiionka. Mieszkał przy budzie, przywiązany łańcuchem do drzewa. Fokus zapomniany, zaniedbany. Pamiętam odchody gromadzące się czy to na tarasie, czy to wokół budy. Brak spacerów, brak większych kontaktów. We wspomnieniach widzę psa, który nie chce pilnować domu, ale chce być członkiem stada. Który nie jest straszny, ale radosny – poszukujący innych. I który nie otrzymuje tego, czego pragnie. Na marginesie, jakby niezauważany. Ze swoją minką, z podwiniętymi faflami, taką głupowato-zabawową minką – dostrzegam go takiego na tle szarego błota, brązowej kory drzewa i białego, podrdzewiałego łańcucha. W pewnej pustce, która go otacza. Jest jego światem długości kilku metrów.

* * *

Wilczury były psami ojca, a on nie miał czasu: siedł do pracy o świcie i wracał późnym wieczorem. Kiedy mama zaczęła pracować wraz z nim, to rzadko ich widywałem. Po powrocie ze szkoły karmiłem Fokusa kanapkami i siedłem robić makaron.

* * *

Przez jakiś czas były jeszcze koty. Potem pojawiła się jamniczka Sonia – to był mój pierwszy pies. Z nim chodziłem na spacer. Ona

stała się członkiem rodziny. Wszędzie z nami jeździła. Fokus zostawał przywiązany do drzewa. Ktoś mu przynosił jedzenie. Nie pamiętam, abyśmy chodzili na spacer z Fokusem i Sonią razem. I nie wiem dlaczego. Bo to, że nie jeździł z nami na wycieczki, wydawało się oczywiste – no jak taki duży pies w samochodzie?

Sonia mieszkała w domu, swobodnie biegała po ogrodzie. Fokus przyglądał się ze swojego miejsca. nie był wobec niej agresywny. Pozwalał, by wyjadała mu z miski. I pozwalał chodzić jej po swoim błotnistym terenie. Ale był wilczurem – psem przypisanym do łańcucha. Jego pracą było pilnowanie domu, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że się do niej nie nadaje. Nie to co Omar, mówił ojciec.

Dopiero gdy zauważaliśmy rany na szyi Fokusa, został zwolniony z łańcucha. Biegał po ogrodzie swobodnie. Ojciec zrobił nową bramkę, żeby nie uciekł. Dopiero kiedy zachorował na raka, wpuszczono go do domu.

* * *

Rana na szyi Fokusa została odkryta po tym, gdy zostawił mi ranę na ramieniu. Przytuliłem go i przez przypadek podrażniłem bolące miejsce. Odpowiedział kłapnięciem, tak że rozdarł mi koszulkę i ranił skórę. Raniąc mnie, zwrócił uwagę na swoje cierpienie. Odpowiadając kłapnięciem na czułość, nie tyle zerwał relację, ile ją zmodyfikował. Nieokazjonalna czułość, ale większa troska.

* * *

Psy zawsze były z nami. Kota – szarego – chociaż poprawnie to burego – miałem na ścianie. Obraz? Zdjęcie? Trudno powiedzieć. Bardzo mi się podobał ten kot towarzyszący mi podczas zasypiania i witający mnie, gdy się budziłem.

Koty przywiózł sezonowy sąsiad. Zostawił je na działce. Ja i córka sąsiadów zachwyciliśmy się zwierzakami. Powiedział, że jeśli chcemy, to możemy się nimi zajmować. Pojawiał się raz na jakiś czas, ale gdy się sezon skończył, to koty zostały same.

Ja i córka sąsiadów się nimi zajmowaliśmy – dwa koty, bury i czarny. Pierwszego nazwałem Szaruchem, drugiego Czarnuchem. Szybko przenieśli się do mnie na działkę, stali członkami sfory. Psa się nie bały.

Koty mieszkały sobie u nas na działce. Karmiliśmy je – i w sumie tyle. Nie pamiętam, abyśmy zawozili je na jakieś szczepienia. Nigdy nie byliśmy z nimi u weterynarza. I chyba nie tylko dlatego, że to formalnie były zwierzęta sąsiada, ale dlatego, że to były koty. Sąsiad prawie się nie pojawiał. A jeśli się zjawiał, to nie wykazywał zainteresowania – coś tam mamrotał, że dobrze, że się nimi zajmujemy.

Koty siedziały u nas. Na fotelu, który wystawiony został na taras. Fokus się ich bał. Nic im nie robił. Jak się za bardzo interesował, to na niego prychały i uciekał. Skakały po płocie. Szaruch był bardziej zwinny. Często pomagał Czarnuchowi – z którego sobie wszyscy żartowali, że jest zezowaty. Spały w garażu. Przybiegały na posiłki. Zostawiały zagryzione szczury przed drzwiami. Bawiły się myszami, które zawędrowały na działkę. Odbierały nas z przystanku i na niego odprowadzały.

* * *

Obraz: wraz z koleżanką z sąsiedztwa próbujemy bawić się z kotami – wozić je w wózku dla lalek. Nie podoba im się – to wyskakują. Uciekają przed nami. Nie okazują agresji.

* * *

Inny obraz: koty w mroku. Nie ma jaszczke latarni przy brukowanej drodze, to z autobusu wychodzi się w gęstą ciemność lasu. Ruch w tym mroku budzi czujność – zwłaszcza, gdy się zbliża. Miauczenie informuje, że to swoi. Koty przyszły na przystanek nas przywitać. To staje się rytuałem. Odprowadzają na autobus i witają, gdy się wraca. Rodzice są pod wrażeniem. Ciągłe o tym rozmawiają, że to takie niesamowite. Niemożliwe. Wiemy, że koty nie przywiązują się do ludzi.

Obraz skojarzony: dorośli mówią, że koty przywiązują się do miejsca, a nie do ludzi, nie są lojalne, zależy im tylko na jedzeniu, nie są wdzięczne. Mówią to i potakują z powagą. Jest na ich twarzach mądrość. Kolektywna. Światło w pokoju jest przymglone. Mają na sobie

garnitury. Wyprostowani mężczyźni z podwójnymi podbródkami. Żony w trwałych patrzące na siebie i z przejściem wykrzykujące: racja, racja.

* * *

Obraz kolejny: ja ze sztachetą. Gonię dwóch chłopaków – jeden w moim wieku, drugi starszy. W mojej pamięci sztacheta jest wielka. Powód to ich oskarżenia wobec moich kotów, że niby zagryzły kury. Przyszli i grozili, że zabiją Szrucha i Czarnucha. Pamiętam, że goniłem ich pod górę. Zatrzymał mnie jakiś dorosły. Rodzice byli źli. Chyba rzeczywiście to była sztacheta, a nie jakiś kijek. Wtedy ojciec stawiał płot z drewnianych belek, które leżały na podwórku. Musiałem się tłumaczyć. Chyba dobrze wytłumaczyłem, bo nigdy więcej nie było oskarżeń wobec kotów i gróźb ich likwidacji. I chociaż to nie były moje koty, i chociaż spędzały czas na dworze, mieszkały w ogrodzie i większość relacji sprowadzała się do ich karmienia, to jakoś czułem się za nie dopowiedziany – tak jak wtedy rozumiałem odpowiedzialność.

* * *

Koty tak jak się pojawiły, tak nagle przestały. Najpierw chyba zniknął Czarnuch. Szaruch się kręcił, ale coraz rzadziej. Nigdy, aż do dzisiaj, nie zastanawiałem się, co się z nimi stało. Tak przynajmniej mi się wydaje. Chociaż raz, gdy wracałem do domu, kilka lat po tym, gdy koty odeszły, w zaroślach zobaczyłem szarego kota. Bardzo zniszczonego. W jego spojrzeniu było coś znajomego. Napisałem o tym spotkaniu wiersz, ale zaginął. Tak jak kot z zarośli.

* * *

Zwierzęta zawsze mnie otaczały. W pewnym momencie były jedynymi moimi towarzyszami. Nie było żadnych równolatków na działkach. Z niektórymi zresztą przestałem utrzymywać kontakty. Już wtedy przeczuwałem, że ludzie są znacznie niżej na poziomie rozwoju. Okrutni, złośliwi – i mało interesujący. Nie potrzebowałem ich towarzystwa. Lubiłem wakacje, bo wtedy nie trzeba było przebywać z ludźmi ze szkoły, co stanowiło przykre doświadczenie. Zwierzęta

raczej przykrości nie sprawiały. Nawet gdy Fokus mnie ugryzł, to szybko mu wybaczyłem.

* * *

Zwierzęta coraz bardziej stawały się dla mnie istotne. Sonia była chyba pierwszą taką osobą, pierwszym nie-ludzkim członkiem rodziny. Możliwe, że nasze relacje byłyby lepsze, gdyby nie pewne iluzje, wiedza o tym, jak należy wychowywać i ustalać związki z nie-ludźmi. Nauka czystości polegała na wciskaniu nosa w odchody. Bicie psów też nie było czymś nie do pomyślenia. Wprawdzie gazetą – co nie boli – czy szmatą. Taka normalność. Pies ma się bać, bo inaczej cię zdominuje. Pies zna język siły⁶⁰. Pies to bestia. Ludzie zbyt wiele swoich cech przypisują innym stworzeniom.

Ojciec musiał oddać pierwszego swojego psa, bo ten warczał na babcię, gdy go biła szmatą. Za agresywny. Babcia zresztą nie lubiła zwierząt. Zwłaszcza w domu – brudzą, wszędzie sierść. Gdy przychodziłem z Sonią w gości, to nie była zbyt szczęśliwa. Też się Soni dostawało za wskakiwanie na fotel czy po prostu za to, że jest i ma sierść. A sierść to wchodzi wszędzie, jest gorsza od kurzu.

Ojciec nigdy nie karciał psów za brudzenie, za wchodzenie na sofę, fotel czy spanie w łóżku. W stosunku do jamników chyba nawet zapomniał, że porządne wychowanie to dominacja. A kluczem do sukcesu jest złamanie psa.

Powoli pewne iluzje się rozwiewały. Łańcuch przestał być oczywistością. Niemniej, psy wciąż traktowane były nie jak osoby. Nikt się nie wśluchiwał w ich potrzeby. Zdawało się, że spełnianie podstawowych obowiązków jest wystarczające. Nie pytaliśmy się, czy Fokus jest szczęśliwy. O szczęśliwości Soni to ja zaświadczałem, gdy padała po długich spacerach. Jest szczęśliwa, mówiłem, bo pies po długim spacerze musi być szczęśliwy. I długi spacer to jest podstawa psiego szczęścia. Emma nie lubiła długich spacerów. Podobnie Fokus. Co do Soni to chyba się nie myliłem.

⁶⁰ O tym, jak takie podejście do tresowania wynikało z niezrozumienia psa i mitu opartego na badaniach wilków w stanie niewoli, zob. J. Bradshaw, *Zrozumieć psa*, Czarna Owca, Warszawa 2020.

* * *

Fokus zmarł na raka. Jakiś czas po tym, jakieś dwa lata po (nie pamiętam dokładnie), rak zabrał Sonię. Koty dawno gdzieś przepadły. Nie zastanawialiśmy się chyba. A może pytałem rodziców, dlaczego nie ma, gdy je wołam. Z Fokusem nigdy nie miałem bliskich relacji. Było mi smutno, gdy chorował. Odejście przyjąłem ze spokojem. Te wszystkie odejścia – jakbym ich nigdy nie przeżył. Co do Soni to długo chorowała. Sam musiałem podjąć decyzję o jej śmierci. A następnego dnia pojawiła się Emma. Wykorzystałem strategię ojca – zastąpić. Po Soni chwilę płakałem.

* * *

Pewnego dnia, gdy wracałem do domu, przy bramie na działki zobaczyłem w krzakah starego kota. Szary, bardzo podobny do Szarucha. Nasze spojrzenia się spotkały. Jakbyśmy się znali. Kot był stary, ze śladami minionych walk.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, po czym poszliśmy w swoje strony. Więcej go nie widziałem, chociaż się rozglądałem. Zastanawiałem się, czy Szaruch, po burzliwym życiu, a był z niego niezły zawodnik, zwinny twardziel, przyszedł się pożegnać. Ten kot, który wtedy pojawiał się na chwilę, raczej był u kresu. Napisałem nawet o tym spotkaniu wiersz – wspomnienie Szarucha. Przepadł wraz z komputerem – spłonął burzowej nocy.

I o wszystkim zapomniałem.

Żyłem dalej wśród zwierząt – ale niekoniecznie z nimi. Tak jakby ci wszyscy towarzysze i towarzyszki były uwzględniane jako dodatek, jako coś, co nam przynosi radość – coś, co liczy się dla nas. I dlatego się liczy.

Muszę przyznać, że ojciec gotował psom jedzenie. Gdy trzeba było, kupował specjalistyczną karmę. Z gotowych karm tylko te, które lubiły. Cieszył się, gdy smakowało zwierzakom to, co zrobił. Nigdy też nie brakowało pieniędzy na weterynarza. Z Fokusem objechał kilku, nim uznał, że jednak nic się nie da zrobić. Do Soni ściągał lekarza w nocy, nawet słowem nie wspominając, ile to kosztuje – a kosztowało bardzo dużo.

I wiedział, że za mało uwagi, czasu poświęcał Fokusowi. Praca go pochłaniała. Nikt go nie zastępował w obowiązkach. Gdy Fokus umarł,

ojciec był bardzo przybity. Zaszył się w sypialni i z niej nie wychodził przez resztę dnia. Ja nie uroniłem nawet łzy.

Możliwe, że to bycie obok, a nie z, dotyczy bardziej mnie. I nie dotyczy do końca Soni. To, że nie rozpaczalem po jej śmierci, wynikało nie z prostego zastąpienia jej nowym jamnikiem. Trochę zbyt szybkiego. Zdążyłem się wypłakać przez cały rok, kiedy walczyliśmy o jej życie. Byłem przygotowany na jej odejście – weterynarz powiedział, że jeżeli znowu pojawi się taki stan, to trzeba będzie ją uspić. Przeżyła kilka miesięcy z wyrokiem. Wiedziałem, że każdy dzień może być ostatnim. Co niby dotyczy każdych istot – ale dopóki wyrok nie zostanie wypowiedziany, pielęgnujemy iluzję nieśmiertelności czy też żywimy nadzieję w przewidywalność samego istnienia, że panuje w nim porządek i do śmierci się dorasta.

* * *

Stawałem się ze zwierzętami. Z nie-ludźmi dorastałem. Im dłużej z nimi byłem, tym bardziej pogłębiała się moja wobec nich odpowiedzialność. Nie wahałem się bronić moich kotów, chociaż nie jestem typem, który lubi się bić. Nie wygnałem nikogo, bo był chory. Byłem trochę ograniczony, bo jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy wielu rzeczy. Łańcuch stanowił przez długi czas coś normalnego. Żywnienie odpadkami też. Dzisiaj, gdy patrzę na siebie wtedy, to wiem, ile błędów się popełniało, ilu relacjom nie pozwoliło rozkwitnąć. Na ile mordek psich i kocich naprawdę się nie otworzyło. A tym samym ile utrat i ran się nie doświadczyło.

Sen o Emmie

Przez długi czas, po wyprowadzeniu się z domu, męczył mnie koszmar. W różnych wariantach – główny temat jest ten sam. Powraca i powraca. Zaginął mój pies – Emma. Próbuję go odzyskać, klucząc po mieście: niekiedy mrocznym, niekiedy po prostu dziwnym. Pustym lub tłoczonym. Labirynty ulic, ściany kamienic – zapętlone, nieskończone, powroty i ponowne zagubienia.

Budzę się zmęczony, wystraszony.

We śnie krzychałem. Nawoływałem Emmę. Realny świat odpowiadał ciszą. podtrzymywał brak, którego doświadczałem we śnie. Przedłużenie utraty.

* * *

Odwiedzam rodziców. Emma za każdym razem wskakuje mi na kolana. Liże mnie po twarzy. Głaszcze ją podczas wizyty. To ten moment, dla którego przyjeżdżam. Nie za bardzo chce mi się rozmawiać z ojcem. Mama próbuje, ale jej nie wychodzi. Co chwilę zapada milczenie. Mówię do Emmy. Dla niej tu jestem. Biegnie za mną, gdy wychodzę. Słyszę jej szczekanie, gdy idę alejką w stronę przystanku.

W nocy mam znowu koszmary. Tracę ją. Znika. Nie odnajduję jej. Biegnie w oddali, nie reagując na moje wołanie.

* * *

Mieszkamy z żoną w różnych wynajętych mieszkaniach. Lepszych i gorszych. Małych pokojach przerobionych na kawalerki. Otoczeni książkami trącamy się nieustannie. Nie ma za bardzo miejsca dla psa.

Dwa razy muszę Emmę wziąć do siebie. Na kilka dni. Emma szczeka nieustannie. Jest niespokojna. Woli chyba mieszkać z rodzicami. Nie jest przyzwyczajona do bloku, ruchliwej klatki, sąsiadów. Każdy dźwięk komentuje ujadaniem. Jeszcze nas eksmitują.

Za drugim razem, wtedy mamy już naszego psa – Wilka, próbuje go pogryźć. Trzeba nieustannie ich pilnować. Nie może go znieść.

Na szczęście Wilku jest po operacji nóżek, więc nie może wskakiwać na fotele i sofę. Emma siedzi na fotelu i warczy.

Woli mieszkać z rodzicami. I na pewno nie z Wilkiem. Tak myślę. Tak też mi jest wygodniej.

* * *

Kolejnym razem, gdy trzeba się nią zająć, trafia do babci. U rodziców jest coraz gorzej. Przychodzę bardzo rzadko. Nie ma miejsca, by usiąść. Trochę głaszcę Emmę. Ale odchodzi wraz z rodzicami.

Odcinam się od tego świata i tym samym od niej. Jest jego elementem, ostatnią, emocjonalną linką. Czymś, co sprawia, że jeszcze mnie obchodzi, co tam się dzieje. Nie może mnie to więcej obchodzić.

* * *

Niekiedy nawet jej nie zauważam. Tak jak rodziców. Jak wszystkiego z ich świata. Pojawiam się, ale zawieszam to, gdzie jestem. Nic nie widzę, niczego nie czuję. Krótkie wizyty. Jak nie wizyty.

I sny się skończyły. Nie mam już koszmarów, bo stały się rzeczywistością. Oddaloną o ileś tam minut drogi samochodem.

Klara – pies, którego nie było

W moich wspomnieniach rzadko pojawia się Klara. Staram się o niej zapomnieć, wymazać ją, bo to pies, którego zdradziłem. Klara to przykład naszej – mojej i rodziców – nieodpowiedzialności. I tego, jak je zawiodłem. Kiedy mówię o niej, to zawsze z poczuciem wstydu. Chociaż niby nie ja ją oddałem. I nie ja ją wziąłem. No i chyba nie było wyjścia. I może jest jej teraz lepiej. Może tak było najlepiej dla wszystkich. Ale, ale nie czuję się z tym wszystkim dobrze. Nie ja podjąłem decyzje, tylko na nią pozwoliłem. I wiem, że raczej nie podjęto jej, kierując się dobrem psa.

Prawie nie wspominam o Klarze. Prawie jej nie wspominam.

Wymazana, zapomniana, powraca teraz, w szczątkowych wspomnieniach, bo już wtedy prawie nie mieszkałem z rodzicami. To bardziej był pies rodziców.

* * *

Podczas mojej nieobecności ojciec kupił psa. Wyżeł – dziewczynka, szczeniak, siewczyni chaosu. Emma z trudem ją znosiła. Przygasała. Na początku próbowała ją ustawiać, ale szybko nowy pies wyrósł, stał się większy i dla zabawy taranował jamnika.

Tego typu szczeniaczek wymaga wiele uwagi. Ojciec przez jakiś czas chodził z nią na długie spacery. Wydawał się szczęśliwy. Zawsze lubił duże psy. Niestety, nie robi tego codziennie. A Klara rośnie, rozsadza ją energia, demoluje dom.

Poza tym jest kochanym psem. Lubi towarzystwo ludzi. Jest ufna. Też czasami z nią chodzi. W autobusie siedzi mi na kolanach. Popiskuje, gdy mijamy weterynarza. Zabieram ją na spotkanie ze znajomymi. Ze wszystkimi próbuje się zaprzyjaźnić. Cieszy się nowymi miejscami, nowymi wrażeniami.

* * *

Klara ufa. Wie, do kogo zwrócić się o pomoc. Gdy wypija z garnka olej po frytkach, budzi mnie – dręczą ją wymioty. Pragnie, bym coś z tym zrobił. Środek nocy – głaszczę ją. Musi dotrzeć do rana. Rano już jest dobrze. Noc jednak nieprzespana, bo trzeba było pocieszać cierpiącego pieska.

Klara szaleje w ogrodzie. W pewnym momencie przychodzi do mnie, kuśtykając. Podaje łapkę. Ma wbity w poduszkę kolec od róży. Niepewnie wyciągam go. Boję się, czy mnie nie ugryzie, gdy zaboli. Nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego merda ogonem, trąca mnie łbem i zadowolona biegnie szaleć dalej.

* * *

Nie mieszkam z rodzicami. Ojciec nie zajmuje się Klarą. Ta się nudzi. Otwiera drzwi – czasami są otwarte całą noc. Mama się nie rusza, więc nie może ich zamknąć. Ojciec przygnieciony mrokiem nie ma sił. Pies ma wiele sił, tyle energii, której nie ma z kim zmarnować na zabawy, spaceru.

Ojciec zamyka ją jak Fokusa na tarasie. Ona płacze, szczeka. Wraca do domu.

Z powodu nieregularnych spacerów i zaniedbania zaczyna załatwiać się w domu. Emma też. Przy każdej wizycie trzeba sprzątać.

Klara cieszy się, gdy mnie widzi. Trochę poświęcam jej czasu. Nie za dużo. Nie tyle, ile trzeba. Gdy ojciec trafia do szpitala, trzeba codziennie przyjeżdżać. Jedna wizyta dziennie to za mało. Są chętni do zaopiekowania się jamnikiem. Nie ma chętnych do zaopiekowania się wyżłem. A to nie jest pies kanapowy. To nie jest mały pies. Ma swoje potrzeby. Próbuje je zrealizować na swój sposób, co przekłada się na demolowanie domu.

Słyszę, że trzeba ją oddać. Tak być nie może. Nie ma kto się nią zająć.

Próbuję, ale to mnie wyczerpuje. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić. Nie mam argumentów na obronę. Milczę. Czeka. Klara biega po ogrodzie. Domaga się pieszczot. Jest wygłodzona zabawy, kontaktu z człowiekiem. Ujada, gdy zamykam drzwi.

* * *

Wiele racjonalnych argumentów przemawia za tym, że się ją oddało. Mama się nie rusza, ale ojciec też nie za bardzo jest zdolny do zajmowania się nią – są miesiące, że tylko śpi i je. Ja zaś mieszkam w wynajętych kawalerkach, w ciasnych klitkach, gdzie z trudem się mieścimy. A nikt inny z rodziny nie chciał się ją zająć. Podobno tam, gdzie trafi, są przestrzenie, będzie miała dużo swobody. Jest też młoda – przyzwyczała się.

Nie mówię tak ani nie. Rzeczy się dzieją. Wymazuję Klarę z pamięci.

* * *

– Klary nie ma. Zaginęła. Co się z nią stało? – ojciec mówi przytłumionym głosem. Jest trochę otumaniony od leków. Wrócił ze szpitala.

Nic nie mówię. Mama nic nie mówi.

– Trzeba ją znaleźć. Odszukaj Klarę, proszę. Gdzieś się zgubiła.

Przytakuję. Odwracam wzrok. Po chwili wychodzę. Zamykam drzwi.

Pączek nadsiewany śmiercią

Nie pamiętałem, jak to jest mieć szczeniaka i nie posiadać ogrodu. Pamiętałem, że młody, nowy pies ma moc przeganiania smutku. To był sposób, w jaki do tej pory radziłem sobie z utratą. Uznałem, że pomoże też Dominice uporać się ze śmiercią Cerberka. W pewnym sensie ją do tego namówiłem, może nawet trochę przymusiłem. Zobaczysz, będzie dobrze, i tak dalej – powtarzałem, przekonywałem, nalegałem. Chyba tak. Też chyba chciałem mieć psa. Naszego, wspólnego. Nie pamiętałem jednak, jak to jest mieć szczeniaka, ani nie byłem świadomy, jak mi brakowało obecności nie-ludzi.

Pies ze schroniska odpadał, bo to nigdy nie wiadomo, jak będzie znosił samotność, a my przecież musimy chodzić do pracy, na uczelnię. Nie byłoby nawet u kogo go zostawić, gdyby źle przeżywał rozłąkę. A szczeniaka to można wszystkiego nauczyć. Większa pewność. Znowu ja, znowu przekonywałem. I też wiadomo będzie, co wyrosnie, czego można się będzie spodziewać.

Wierzyłem wtedy, że rasa istnieje, a psy są egzemplarzem w serii. Zdefiniowanej, rozpoznanej – niczym modele komputerów. Niewiele nas może zaskoczyć. Niewielkie są odstępstwa od normy. Wierzyłem w to, chociaż moje doświadczenie powinno nauczyć mnie czegoś innego. Jamniczka Sonia niepodobna do jamniczki Emmy; wilczur Fokus odległy od wilczura Omara. Ojciec w przypadku Fokusa mówił, że to efekt braku treningu. Nie miał czasu dla Fokusa, dlatego z niego był leń i ciamajda. Ale jakby to tłumaczyło różnicę między Sonią a Emmą – pierwsza w lesie ginęła i wracała po długim czasie zziajana; druga trzymała się blisko, chodziła wolno. W każdym razie szukaliśmy odpowiedniej rasy – tak, aby pasowała do naszego trybu życia.

I tak wybraliśmy pieska chihuahua. Bo nie potrzebuje dużo ruchu, bo mały. I nie pamiętam jeszcze dlaczego. Dzień przed wyprawą do hodowli oglądaliśmy *Chihuahua z Beverly Hills*. W ten sposób przygotowaliśmy się na to, co ma nadejść. Na to się jednak nigdy nie można przygotować.

Świat się zmienił – i już nigdy (przynajmniej nie do czasu, kiedy piszę te słowa) nie wrócił do poprzedniej formy. I w sumie dobrze, bo wcześniej był jakiś cichy, pusty, bezcelowy. Troski miałem tylko

ludzkie i odnosząca się do ludzi – mało istotne, nieciekawe i nieangażujące. W stosunku do ludzi nigdy nie odczuwam odpowiedzialności za ich los. Również moje współczucie jest przytępione. Nie ma niewinnych ludzi. I powinni jakoś dawać sobie radę sami.

Nigdy nie miałem za dużo kontaktów z ludźmi, a większość relacji wspominam jako nieciekawe, mówiąc delikatnie. Wychowałem się wśród zwierząt. Mentalnie z dala od miasta, fizycznie na jego obrzeżach. Nie ciągnęło mnie do mojego gatunku. Wilku wypełnił brak, powiązał mnie z gatunkiem, który zawsze był mi bliski.

Szczeniak oznacza chaos, a szczeniak chihuahua – totalny chaos. W naszą radość, zdenerwowanie i zmęczenie wywołane żywiołową istotą, szukającą okazji do zniszczenia, szybko wkrađło się mroczne zmęczenie, lęk przed utratą. Młody wdarł się w nasze życie i od razu niemal ukazał swoją kruchość.

* * *

Wilku uparł się na zjadanie dywanów. Mieszkanie wynajmujemy, więc to jest problem. Zjada dywan w salonie i w sypialni. W sumie to mamy jeszcze tylko kuchnię i łazienkę – a tam nie ma dywanów. Czasami próbuje niszczyć inne rzeczy. Biega się, krzyczy, grozi, prosi, błaga, namawia, rozprasza, zabawia – daje gryzaki, przysmaki, kości, chleb suchy, cokolwiek. Cokolwiek, by powstrzymać destrukcje. A przy okazji swoich rajdów sika i robi expressowe kupki. Gdy pada zmęczony, to my też. Zasypiamy wszyscy. A potem od nowa. W tym czasie prawie nic nie piszę. Niewiele też oglądam, bo wszelkie zainteresowanie czymś innym niż Wilkiem może spowodować koniec mieszkania, koniec świata, albo koniec Wilka – zwłaszcza, gdy zaczyna ciągnąć kable od komputera.

Mało sypiam, bo mamy jednoosobowe łóżko, bardzo ciasne – Wilka lokujemy obok, w budce, ale nie podoba mu się to. Walki o spanie w budzie szybko przegrywamy. Mamy więc trzy osoby na jednoosobowym łóżku. O seksie lepiej nie mówić – nie ma czasu i nie ma sił. Dzieci są straszne. Wilku jest niczym wampir – radośnie wysysa z nas energię i chyba dlatego wydaje się nie do zmęczenia.

* * *

Jednego wieczoru zostaję z Wilkiem sam. Chyba pierwszy raz na dłużej. Tymczasem słodki szczeniaczek dostaje ataku szału niszczenia. Rozrywa podkłady zamiast na nie sikać. Biega od dywanu do dywanu. Nie daję rady go opanować. Przypominają mi się wszystkie mity o wychowaniu bestii, ale on wszystko traktuje jak zabawę. Wreszcie padam. Powalam mu się wyszaleć. Nie mam innej opcji. W końcu co mu się może stać, a dywany... no chyba trochę z nich zostanie.

Nie pamiętam teraz dokładnie, czy to po tym wieczorze, czy trochę później – gdy już nie pilnowałem go nieustannie – zaczęły się wymioty. Raczej niedługo po tym. Tuż przed przeprowadzką, a może w jej trakcie.

Wymioty – nic wielkiego. Może za dużo zjadł. Może za szybko. Gorzej, gdy nie kończy się na jednym, tylko powtarza się. I to po każdym posiłku. I bez posiłku. Trzeba do weterynarza. Jedzie Dominika, ja nadzoruję remont, organizuję zbliżającą się przeprowadzkę. Nie za bardzo się przejmuję, bo w mojej głowie majaczy mądrość zaczerpnięta od mądrych ludzi: „pies zawsze się wyliże”.

* * *

Wymioty okazują się poważną sprawą. Nie wiadomo dokładnie, co jest ich przyczyną. Badania, leki – na razie żadnych postępów. Wilku jest młody, malutki – trzeba uważać. Chudnie. A nic nie pomaga.

Wtedy, w pierwszych miesiącach jego życia, pojawił się mroczny cień. Realna groźba śmierci.

Dominika spędza każdy dzień u weterynarza – kroplówki, badania, nie wiem, co jeszcze. Ja siedzę i próbuję ogarnąć kwestię przeprowadzki, remontu. Oboje jesteśmy wycieńczeni. Wilku zrobił się spokojny. Pozbawiony sił. Coraz bardziej chudy.

* * *

Dzięki postawie Dominiki następuje przełom. Okazuje się, że Wilku coś połknął i najprawdopodobniej to jest przyczyną. Organizm nie może tego wydalić. Przykleiło się do żołądka. Potrzebna jest operacja – jak najszybciej. Patrzenie, jak zasypia po narkozie, przyprawia mnie o dreszcze. Robi mi się słabo, gdy oddaję bezwładne ciało Wilka.

* * *

Czekanie. O której mają zadzwonić? Już po operacji? Jeszcze trwa? O niczym innym nie można myśleć. Niczym innym nie można się zająć.

* * *

Następne, co pamiętam, to kroplówka na wieszaku, podłoga pokryta ręcznikami. Już w nowym miejscu – jeszcze nie do końca skończonym. Wilku wstaje, odchodzi kilka kroków, siusia. Wciąż trzeba z nim jeździć do weterynarza. Wtedy nie mamy jeszcze samochodu. Pamiętam wycieńczenie, balansowanie na skraju fizycznego i psychicznego wyczerpania. Telefony w nocy do weterynarza. Nieustanny lęk, czy wszystko będzie dobrze.

* * *

Chyba nie miałem siły, aby się martwić. Nie, niedokładnie tak. Byłem przerażony, ale jednocześnie nie doświadczałem realności tego wszystkiego. Przełączyłem się na tryb zadaniowy. Przecież prawie nie spałem. W nocy kroplówki. Rano dalej remont i przeprowadzka. Leki. Obserwowanie. Wilku wyglądający jak szkielet z dużą głową i patyczkowatymi nogami.

Dziwny moment. Jak ze snu. Nierealny. Teraz obrazy powracają: rozmazane, pocięte. Telefon w środku nocy do weterynarza. Kroplówka, która nie chce lecieć. Skulani na ziemi, a Wilku dyszy z wytrzeszczonymi oczami. Obrazy się zlewają – jak wspomnienia. Wiem, że to nie sen, bo wciąż trzymam w szufladzie biurka plastikową zaślepkę, która z Wilka wyciągnęli. Ze śladami zębów, lekko nadtrawioną – chyba nadtrawioną. Wspomnienia się zlewają – jak obrazy. Pierwsza operacja, ale nie ostatnia. Stajemy się częstymi gośćmi.

Wilku w kołnierzu. Wilku w kalesonkach. Wilku jedzący papkę. Wilku na sterydach. Wilku na antybiotykach. Wilku...

* * *

Zbieram mocz rano. Źle zakręcam opakowanie. Rozlewa mi się w kieszeni jedynej kurtki, jaką mam. Trudno. Chyba nie czuć.

Wyniki wciąż złe. Jakies leki – kolejne antybiotyki. Wilku ma podrażniony żołądek.

Możliwe, że pasożyty.

Wszyscy łykamy antybiotyki przez trzy tygodnie.

Nie wiemy, o co chodzi.

W operowanej nodze robi się jakiś stan zapalny...

* * *

Moment, gdy zaczął wymiotować – kiedy nie był w stanie przyjmować pożywienia. Ten moment sprawił, że Wilku otoczony jest nieustannie widmem śmierci. Nawet gdy się już wreszcie wszystko unormowało, moja obawa, że go utracę, nie minęła. Paranoiczna kontrola, czy czegoś nie je, czy znowu czegoś nie połknął – każde gorsze samopoczucie, każde wymioty przyprawiały mnie o drżenie. I dalej przyprawiają.

Nasza relacja zawiązała się w cieniu utraty. Ledwo Wilku u nas zagościł, zaczął się żegnać. To otarcie się o niebycie związało mnie z nim silnie – chociaż niekiedy zapominałem, że wszyscy jesteśmy krusi, tymczasowi i nasze życie to przeciwstawianie się rozpadowi; niekiedy zapominałem, że nigdzie nie jest zapisane, że śmierć tylko powiązana jest ze starością. Wilku, niestety, potrafił o tym przypominać.

* * *

Nasza opieka sprawiła, że był jak pączek. Nieustannie tulony, rozpieszczany. Chcieliśmy mu wynagrodzić, że całe psie dzieciństwo spędził jako pacjent. Ja też chciałem mu wynagrodzić moją obsesyjną kontrolę. Ciągnięcie na smyczy, aby czegoś nie wachał, bo znowu zje, znowu zachoruje, znowu będzie źle...

* * *

Zastanawiam się, jak patrzeć na Wilka, aby nie obawiać się jego kruchości. Mogę tylko zapominać o śmierci. Wypierać fakt. Nawet

niekiedy zapominam, że ona żyje w czasie, starzeje się i to w innym tempie niż ja. Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Zabicie psa

Wybieram drogę do domu ciągnącą się wzdłuż warsztatów i później uczelni ulokowanych wokół wielkiego placu porośniętego wysokimi trawami. Jest początek roku akademickiego. Niedawno położono nową nawierzchnię. Ruch jest tam mały, chociaż widzę studentów na placu. Samochody poustawiane wzdłuż drogi, tak że jak zawsze po wakacjach jest tylko jeden pas wolny.

Jestem trochę zmęczony. Dlatego wybrałem tę drogę, bo wymaga mniejszej uwagi. Słucham RATM. Dość głośno. Mam uchyloną szybę, by nie parowały okna. Skręcam w ostatnią prostą. Słyszę jakieś nawoływania, więc zwalniam. Sam nie wiem czemu. Rozglądam się. Tłum studentów na placu. Jakiś dzieciak bawiący się za żywoptem. Po drugiej stronie, w głębi parkingu jednej z uczelni jakieś dwie kobiety krzyczą i machają na gogoś ręką.

Zwiększam prędkość. Widzę miejsce do zaparkowania. Nagle czuję, jak samochód podskakuje. I słyszę wrzask. W jednym lusterku, po lewej stronie, widzę dzieciaka trzymającego się za twarz. To ten, który bawił się za żywoptem. W drugim, po prawej, widzę czarnego, małego pieska biegnącego w dziwny sposób – nasze spojrzenia się spotykają: zdezorientowanie, szok, wyrzut.

Zatrzymuję się i wychodzę. Nie wiem, co się stało. Pytam dwie studentki stojące na chodniku.

– Ktoś potrącił psa.

Mrozi mnie. Rzucam przekleństwo. Studentki obwiniają właścicieli, że bez smyczy, żeby tak puścić. Nie wiem, czyja jest wina. Nie wiem, co robić.

Zatrzymuje się samochód. Jakaś kobieta. Krzyczy, żeby jechać za nimi do weterynarza.

Jedziemy bardzo szybko. Trzymam się ich. Gubię się na parkingu, gdy szukam miejsca. Nie ma nikogo. Nie wiem, gdzie tutaj jest jakkolwiek gabinet. Rozglądam się niepewnie. Wracam do domu.

– Przejechałem psa – mówię do Dominiki i zaczynam płakać. Ona szuka weterynarza w pobliżu. Dzwonimy, może pokryjemy koszty operacji. Jeszcze żył, gdy go widziałem.

Psa przywieziono. Nie udało się go uratować.

Głaszczę Wilka, który się przytula i liże mnie po twarzy. Opowiadam wszystko Dominice. Nie widziałem nic. Musiał wybiec pomiędzy samochodów. Nie wiem, czy jechałem szybko. Zwolniłem przecież, uznałem, że nie ma zagrożenia, potem przyspieszyłem. Ale ile mogłem się rozpedzić. To krótka droga. Samochód to diesel, słaby silnik. Nic nie wiedziałem. Myślałem, że wjechałem w jakąś dziurę. Myślałem, że kobiety wołają kogoś na parkingu. Po co wołały? Gdyby nie wołały, to bym nie wybiegł. Gdybym nie zwolnił, gdybym nie przyspieszył.

Wciąż opowiadam, wszystkim opowiadam, raz po raz odtwarzam scenę. Szukam rozgrzeszenia. Odpuszczenia. Czuję się winny. Powracam do momentu, gdy widzę tego czarnego, małego piska. Jego spojrzenie – oskarżenie.

Źle mi się jeździ. Prowadzę cały spięty. Gdy coś uderzy w koło przechodzi mnie dreszcz. Sprawdzam lusterka. Wlokę się wszystkimi drogami, a gdy wracam do domu, to wybieram drugą drogę. I niemal się snuje. Rozglądam się nerwowo. Parkując w pierwszym wolnym miejscu, a nie starając się zatrzymać jak najbliżej.

Na spacerach z Wilkiem czuję się jak przestępca. Unikam innych ludzi. Nieustannie kontroluję Wilka. A on prowadzi mnie na trawę, gdzie tamten piesek biegł po tym, jak wpadł pod koła – jak go przejechałem – i wacha. Biorę go na ręce. Nie wachaj, nie chodź tutaj.

* * *

Dostaję wezwanie na policję. Pytają, czy przejechałem psa celowo. Opowiadam, jak było. Nie widziałem. Nagle, pomiędzy samochodów wybiegł. Myślałem, że wjechałem w dziurę. Potem zobaczyłem. Myślałem, że może dzieciaka jakoś uderzyłem, bo się trzymał za twarz. Nie, pies nie był na smyczy. Nie, nie uszkodził pojazdu. Tak, jest mi przykro. Nie wiem, ile jechałem. Nie pamiętam. Nie sprawdzałem. Wcześniej zwolniłem. Naprawdę, nie dostrzegłem żadnego zagrożenia. Uznałem, że można bezpiecznie jechać. Nie wiedziałem, że te kobiety wołają kogoś z pola. Byłem przekonany, że kogoś z parkingu. Stały daleko. W głębi. Przy drzewie. Dzieciak, nie wiem, może z sześć lat.

* * *

Wina i wściekłość.

Obwinianie siebie. Obwinianie kobiet.

Nie ma ulgi.

Pomimo kilku lat, które minęły od wypadku. Wciąż nie ma ulgi. Bywają dni, że paraliżuje mnie za kierownicą. Wjechanie w dziurę przypomina – i niekiedy dostrzegam ciebie w lusterku. I tamto spojrzenie. Spojrzenie psa, którego zabiłem.

* * *

Idę z Wilkiem przez pole. Wieczorna runda. Spotykam kobietę z małym pieskiem. Szaleje, biega po ulicy. Jąkając się, mówię, że lepiej psa trzymać na smyczy. Tutaj przecież jeżdżą samochody. Podczas roku akademickiego to ruchliwe miejsce. A i w innym okresie niektórzy wykorzystują skrót.

– To ich problem. Muszą uważać – mówi.

Nie wiem, co powiedzieć. Coś tam bełkoczę. Nie zawsze da się. Nie zawsze wszystko widać. A piasek mały.

– Pan swojego nie puszcza?

– Nie, to nie jest bezpieczne.

Spoznęła na mnie dziwnie. Wzrusza ramionami. Woła swojego pieska. On z trawnika wbiega na ulicę. Akurat dzisiaj jest mały ruch.

* * *

Wcześniej, przed potrąceniem psa. W tym samym miejscu. Trawnik przy drzewie naprzeciw placu. Wilku wacha, a ja palę. Nagle szarpie, smycz wypada mi z dłoni. Środek dnia. Wielki ruch, bo jedni studenci kończą zajęcia, drudzy zaczynają, szczyt, to i niektórzy jadą skrótem – spieszą się. A Wilku biegnie w stronę placu, w stronę ulicy i nie reaguje na moje wołanie.

Udaje mi się go złapać w ostatniej chwili. Chyba, nie jestem pewien, dzięki komuś. Serce mi łomocze. Świat powoli wraca do normalnych kształtów i rytmu. Kilka osób na mnie patrzy. Widząc, że nic się nie stało, tracą zainteresowanie. A ja zapalam następnego papierosa. Dłonie mi się trzęsą. Wilku przez chwilę rozgląda się wystraszony. Chwila

i znowu wacha intensywnie, raptowanie zmieniając kierunki. Prowadzę go z dala od ulicy, od ruchu samochodów. O tej porze to nie jest łatwe.

* * *

Cieszę się, że się wyprowadzamy. Trudno mi w tym miejscu. Ilekroć jadę, ilekroć wychodzę – czuję się jak przestępca. Odczuwam spojrzenia innych. Staram się unikać ludzi. Czasami jadę autobusem.

Nie za dobrze sypiam. Zaciskam dłoń na smyczy. Rozglądam się. To ruchliwe miejsce, niebezpieczne, przypominające o winie.

Nie ma żadnej kary. I nie ma rozgrzeszenia. Opuszczenia win. I wciąż nie wiem, czy mogłem postąpić inaczej. Wtedy, za kierownicą. Wydaje mi się, że nie. To był wypadek – splot niefortunnych decyzji i ich braku. Gdybym nie zwolnił, gdybym nie przyspieszył, gdyby nie wołały, gdybym wybrał inną drogę...

Bambuś: pies Bartleby⁶¹

Zatrzymujemy się wśród pól niedaleko schroniska w Choszcznie. Miejsce prawie na końcu miasta. Mały piętrowy budynek i rzędy klatek. W cieniu niskiego drzewa stoi czarny pies z młodą dziewczyną. Niby labrador, chociaż nie przypomina. Bliżej mu do wilczura. Takie odnoszę wrażenie na pierwszy rzut oka. I pojawia się myśl, że Wilku go raczej nie zaakceptuje, że ta cała prawie dwugodzinna wyprawa skończy się porażką: nie będzie żadnej adopcji.

Na pomysł, aby wziąć drugiego psa, wpadła Dominika. Wszystko przez to, że raz na spacerze znalazłem zagubionego yorka, którego wziąłem do domu. Wilku go bardzo polubił. Gdy po godzinie z kawałkiem udało się ustalić właścicielkę i piesek został odebrany, nasz popadł w melancholijny nastrój. Widać było, że tęskni, że czegoś mu brakowało.

Nie byłem jednak przekonany co do idei adopcji. Dwa psy to dwa razy więcej obowiązków. Obawiałem się też reakcji Wilka, który bywał agresywny w stosunku do innych. Nie podąłem decyzji. Zdałem się na los. Powiedziałem, że zobaczymy, jak nasz chihuahua zareaguje na labradora. Gdy się zatrzymaliśmy i spojrzałem przez boczną szybę, byłem przekonany, że los mówi „nie”. Trochę za mało wyglądał na labradora.

Pies schroniskowy nie reagował za bardzo na swoje schroniskowe imię, które nam wydało się trochę rasistowskie – Bambo. Czarny labrador z białym krawatem, i takie też koloru paluszkami u masywnych łapek i bródką. Okrągły korpusik na cienkich nóżkach. Gdy go pierwszy raz zobaczyliśmy – nie zareagował. Spoglądał smutnie przed siebie, ze zwieszonym ogonkiem. Zabawkę, którą mu przywieźliśmy, zignorował – schowałem ją ponownie do torby. Szedł monotonnym rytmem ze zwieszoną głową. Wilku biegał dookoła, nie zwracając uwagi na Bambusia.

Spacer przebiegł dość spokojnie poza jednym drobnym incydem, gdy się nam smycze splatały i Wilku się wystraszył. Szliśmy

⁶¹ Pierwotnie większość tego rozdziału stanowiła część książki o Bartleby (O. Szwabowski, *Nawiedzenie, czyli efekty Bartleby'ego*, Warszawa 2023). Została jednak usunięta w trakcie nanoszenia zmian po recenzjach. Dokonałem jedynie rozszerzenia tej opowieści, zachowując odniesienia do osobliwego kopisty.

piaszczystą drogą wśród pól. Było gorąco, więc robiliśmy przerwy na picie i przysmaczki. Bambuś mechanicznie pił wodę. Wilku nie okazywał agresji. Nawet delikatne zainteresowanie. Tymczasem Bambo wykonywał rutynowy spacer. Bez żadnych emocji, jakby go z nami nie było.

Zatrzymaliśmy się niedaleko schroniska. Opiekunka Bambo musiała iść do biura, to zostawia nam go. Trzymam smycz, a Bambuś siada i patrzy w dal. Ciągle spokojny. Ciągle wycofany. Zagaduję go, ale tylko spogląda z jakimś dziwnym smutkiem. Mam mętlik w głowie. Gdy wychodziłem z samochodu, byłem przekonany, że go nie weźmiemy. Teraz nie wiem. Bambo siedzi, a gdy wraca opiekunka, to tylko rusza głową. Emanował z niego jakiś dziwny spokój. Spokój rezygnacji? Zachowywał się tak, jakby wokół niego świat nie istniał albo go nie dotyczył. Na koniec, gdy się żegnaliśmy, spojrzałem mu w oczy i dostrzegłem głęboki smutek. I nie wiedząc czemu, obiecałem, że jutro go stąd zabiorę. Nie wiem, czy mnie słyszał. Nie wiem, czy uwierzył. Siedział i patrzył przez siebie. Powtarzałem obietnicę, głaszcząc go czule – tak jakbym chciał przekonać samego siebie.

Gdy wracał do bidula, Wilku obserwował zaniepokojony jego powolny, pogodzony ze wszystkim krok. Spojrzał na mnie i na Dominikę pytająco. Chciał się oddalić jak najdalej od dziwnych budynków, jednocześnie jakby chciał, abyśmy powstrzymali Bambula przed wejściem do nich.

Nie miałem wątpliwości, rozwiały się. Potem kilka razy pojawiły się na chwilę, gdy moje próby zrozumienia prowadziły w mroczne rejony. W tamtym momencie wiedziałem jednak, że muszę go stamtąd zabrać.

Najchętniej zrobiłbym to od razu. Ale trzeba wszystko przygotować.

Tej nocy śpię niespokojnie. Moje myśli krążą wokół czarnego, spokojnego psa.

* * *

Nie dyskutowaliśmy długo. Bierzemy Bambusia. Na razie tymczasowo, tak zapisaliśmy w umowie. W sercach, Dominika i ja, mieliśmy już chyba coś innego wyryte: trwałe zobowiązanie. Coś mu się stało, ktoś odebrał mu radość, naznaczył cierpieniem, sstrachem i – pomimo przyjacielskiego usposobienia – nieufnością.

Radość pojawiała się, by zaraz zniknąć. Po chwili pieszczot zaczął dyszeć niespokojny, opuszczał ogon i chował się. Niekiedy, gdy raptownie uniosłem dłoń, kulił się. Tak jak za pierwszym razem, kiedy zakładałem mu obrozę przed wejściem do samochodu. Torba zaczęła osuwać mi się z ramienia, taka szmaciana, a Bambul przywarł do ziemi, wtulił pysk w łapki. Dopiero po chwili zorientowałem się, o co chodzi.

„Dajcie mu czas. Nic na siłę” – powiedziała behawiorystka, gdy rozmawiałem o tym, że Bambul trochę od nas stroni i wszystkiego się boi. Czas mijał – a pies wciąż popadał w melancholijne nastroje. I chociaż coraz więcej czasu z nami spędza, są chwile, gdy idzie do swojego pokoju, kładzie pyszczek na łapkach i wpatruje się w ścianę.

* * *

On nie szczeka. Może jest niemy, zastanawiamy się. Bambuś, bo tak mu zmieniliśmy imię, odkąd jest u nas, nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Sąsiad mówi, że go w ogóle nie słyhać. Bo się nie odzywa, wyjaśniamy.

* * *

Z niemym trudno się porozumieć. Odnoszę wrażenie, że się z nim mijam. Raz spotykamy się w korytarzu i patrzymy na siebie niepewnie. Nieufnie. Wpajana mi w przeszłości wiedza daje o sobie znać – i szukam ukrytej bestii, groźnego wilka, przejawów agresji i dominacji. Staje się podejrzliwy, niemal paranoiczny. Jak ktoś mógł się pozbyć tak spokojnego, nieagresywnego, miłego, dobrego psa? Coś z nim musi być nie tak.

– Widać, że ktoś go złamał – mówi znajomy.

Słyszę mądrość nie tak bardzo ludową: „psa trzeba złamać”. Może, myślę, jest taki dobry, bo został złamany. Może musiał być. I musi takim pozostać. Bo inaczej...

Przyglądam mu się w poszukiwaniu oznak pierwotnego zła. Ale widzę tylko niepewność, wycofywanie się pod baczny wzrokiem i jakiś tłący się nieustannie, a raczej otulający oczy, smutek.

* * *

Nie znamy jego historii. Nie mamy nawet plotki, niczego, co by nam mówiło, skąd przybył i co przeżył. Nieustannie jednak zadają sobie to pytanie. I dlaczego został porzucony. Niekiedy pytam go o to, ale tylko patrzy, spuszcza ogonek – tak jakbym wywołał w nim złe wspomnienia. A może sam nie wie i dlatego teraz tak trudno mu zaufać, tak trudno być.

Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że „to cierpi jego dusza, a sięgnąć duszy nie mogłem”⁶². Bambuś wydaje mi się poza zasięgiem. Umyka mi. Tak jakby codzienne porozumiewanie się poruszało po powierzchni, a tego, co istotne, co ważne, nie było możliwe do wypowiedzenia. Tylko w nocy, w koszmarach do dręczących, piskach i powarkiwniach, wylania się informacja, że przeszłość go nawiedza. Przeszłość, cierpienie znane tylko jemu – niewysłowione. Cierpienie, które z czasem przerodziło się w wieczny smutek, cień, kładący się na momentach radości, zabawy, bliskości. Cień zimny, dystansujący, blokujący.

I tak jak odnajdujemy Bartleby’ego zanurzonego w swoich rozmyślnościach, w ciszy smutku, zapatrzonygo w dal, tak czasami odnajduje Bambusia – i całe moje współczucie jest niczym. Poczucie bezradności jest niemal paraliżujące. Kiedy próbuję go rozweselić, mam wrażenie, że mówi: „Wolałbym, żeby mnie teraz pozostawiono samego”⁶³.

Czuję się bezradny, współczucie sprawia, że smutek nawiedza i mnie, przenosi się na całe stworzenie, na całą ludzkość i nieludzkość. Tak jakby to biedne, skrzywdzone stworzenie, ukazywało okrucieństwo świata.

„Ktoś się nad nim napracował, żeby go złamać” – dzieli się z swoim spostrzeżeniami znajomy, obserwując smutny pyszczek Bambusia. „Możliwe, że był bity. Ktoś go nie akceptował, karał za wszelkie objawy radości”.

* * *

Bambuś ma w sobie mury, które go nawiedzają – oddzielają od radości biegania po zielonej łące, od radości bycia – mury, które zablokowały swobodę. Mury, które utrudniają komunikację, skazują na milczenie. Mury stworzone ludzką ręką, które dla Bambiego stały się całym światem.

⁶² H. Melville, *Kopista Bartleby. Historia z Wall Street*, tłum. A. Szostkiewicz, Warszawa 2009, s. 34.

⁶³ Ibidem, s. 37.

Mury, przez które nie potrafię się przebić. Bambus jest obok – niby na wyciągnięcie dłoni, a jednocześnie poza nią. Pytania wywołują w nim niepokój, grzęzną w nieporozumieniach. O ile Wilku z reguły odpowiada, o ile z Wilkiem porozumiewam się dość dobrze, wiem mniej więcej, o co mu chodzi, a nawet czasami się kłócimy – o tyle Bambus zastyga, zwiesza głowę i znika za murem.

Wilka historię znam, ją współpisałem. Bambusia nie. On niknie w mroku. Ciało coś mówi. Próbuję odczytać nieznanne pismo.

* * *

Bambus zapatrzony w mur, delikatnie poruszający nosem, jak w jakimś transie – i ja zapatrzony w mur, owładnięty przez to, co oddziela i blokuje. W mojej głowie pojawiają się myśli mroczne. Zwłaszcza gdy pojawia się w drzwiach ze spuszczoną głową i łypie spod łba. Masywna sylwetka, potężny pysk. Niemożliwe do rozpoznania intencje. Trochę się wtedy boję. W głębi mnie wydobywa się wątpliwość, czy ten jego spokój, czy ta jego łagodność nie jest efektem muru. Jego spokój, jego łagodność jest jakaś nienaturalna. Ma w sobie jakąś niesamowitość. Niemal że nierealność. Nienaturalność łagodności sprawia, że wydaje się ona sztuczna, jak rodzaj maski, jak coś zbudowane – jak efekt muru? Może nie należy docierać do tego, co zostało zablokowane? Może tam nie ma nic bezpiecznego?

Fascynacja, strach. Pragnienie bliskości, dotarcia do prawdy istnienia, nawiązania głębokich relacji, wyzwolenia z przeszłości – z drugiej strony lęk przed nieznanym, wycofywanie się moje – przecież nie wiem, co spotkam, przecież nic o nim nie wiem. Co, jeżeli jego łagodność to to, co go oddziela od samego siebie?

Obserwuję poszukiwanie śladów utajonej agresji, zamurowanej i pulsującej. Bambus pod wpływem mojego wzroku zdaje się kurczyć, rozpyływać – tak jakby wolałby nie być obserwowany. Tak jakbym tym badawczym spojrzeniem zdradzał jakiś pakt zawarty między nami.

* * *

No powiedz coś o sobie, kim jesteś – pragnę, byś jakoś przemówił. A on zastygł, jakby zanurzony w wiecznej przeszłości, jakby się spo-

dziewała, że coś nadejdzie z oddali. Irytuje mnie to, pragnę go wyciągnąć, przywrócić teraźniejszości – zawładnąć nim. Jego wzrok mnie mija. Patrzy gdzieś nad moją głową. Nie mam pewności, czy w ogóle mnie słyszy.

* * *

Nie znam jego historii. Czy możliwe są głębsze relacje, gdy nie możemy stworzyć opowieści, a tym samym podmiot wymyka się nam?

* * *

– Ile ma lat? – pyta kobieta w poczekalni u weterynarza.

– Nie wiem – odpowiadam. Różnie mu dają. Od siedmiu do powyżej dziesięciu. Mnie się wydaje, że dopiero wyszedł ze stanu szczenięcego. A niekiedy, że czas go już przytłacza, i ciało nie słucha ducha.

– On chyba nie wie, gdzie jest – śmieje się kobieta.

Bambuś stoi i macha ogonem. Wygląda na zadowolonego. Inne psy trzęsą się ze strachu. Popiskują.

– On po prostu taki jest – odpowiadam.

Tak jakby obojętnie było mu, gdzie jest. Tak jakby nie wiedział, gdzie jest.

* * *

O ile z Wilkiem czasami się kłócę czy na niego warknę, to z Bambkiem nie potrafię. I to nie dlatego, że jest po prostu grzecznym pieskiem, podczas gdy chihuahua to mały buntownik. Bambuś też ma momenty buntu, ale wyrażone na sposób Bartleby’ego. Nie sprzeciwia się jawnie, ale „preferuje nie”.

Powtarzam polecenie raz kolejny. Jest późno, zimno, skarpetki mi przemokły od śniegu, a Bambul stoi przy krzaku i udaje, że nic nie słyszy.

– Wiem, że mnie słyszysz, Bambul – mówię trochę poirytowanym tonem. – Chodź już do domu.

Nic. Bambuś spogląda gdzieś w dal. Zastygnięty. Stoi tak już od chyba dziesięciu minut. Nawet ucho mu nie drgnie.

Wołam go i dopiero za którymś razem spogląda na mnie. Wydaje się, że nie wie, o co chodzi. Moment nawiązania kontaktu jest bardzo krótki i kruchy. Nie mam nawet pewności, czy mnie usłyszał, czy zareagował na coś innego. Znowu spogląda w dal.

Podchodzę i dotykam go. Mówię delikatnie, że wracamy. On tylko porusza się nieznacznie. Jakby zaskoczony moją obecnością, jakby coś przyszło z innego świata. Przez chwilę odwraca głowę w moją stronę, po czym znowu zastyga.

Telepię się z zimna. Palce u stóp za chwilę się odmrożą.

Staram się tłumaczyć, ale moje słowa giną w mroku nocy. Odbijają się jakby do Bambusia. Zmieniam ton głosu. Wreszcie rzucam ostro: „Do domu, już!” On powoli zwraca się w moją stronę, patrzy z wyrzutem i odchodzi kilka kroków w głąb ogrodu. Wzbiera we mnie złość, ale zaraz pojawiają się wyrzuty sumienia – to jego spojrzenie, jakbym zrobił mu krzywdę.

– Czego ty chcesz? – pytam. Bo ani nie chodzi po ogrodzie, ani nie wraca do domu. Tylko stoi i patrzy w mrok. On spogląda smutnym pyszczkiem – i teraz tak patrzemy na siebie. „Chcesz się załatwić? Chcesz do domu?” Wymyślam różne pytania, ale żadne nie spotyka się z reakcją.

Ogarnia mnie bezradność. Stoję i czekam. Bambus też stoi i też jakby czekał. Chociaż nie wiem. Nie rozumiem jego stania. Mam ochotę zostawić go w ogrodzie. Ale jest noc, jest zimno, no i to jest Bambus – nie można go porzucić.

Chwalę go, gdy w końcu wraca. Mam wrażenie, że nawet te słowa giną gdzieś obok, że ich nie słyszy, że ich nie rozumie. Bo mam takie wrażenie, że on nie tyle nie chce, ale nie rozumie, czego od niego chcę. Sam zaczynam wątpić w sens mojego chcenia. I niekiedy w środku nocy, w przemoczonych skarpetkach, drżąc od zimna, rzucam mu piłkę, patrząc, jak biegnie za nią z płaczem – i zastyga z nią w pysku. Jego wzrok ginie w mroku nocy. Cisza wokół jest przytłaczająca.

* * *

Bambul nie zawsze wychodził na spacer. Ponad trzydzieści kilo zastygało i wołało nie.

– Dajcie mu czas. Ma swoje powody – powiedziała behawiorystka. – Może on wyczuwa coś, czego wy nie wiecie. Nie ma co przymuszać.

Częstotliwość spacerów malała zamiast wzrastać. Aż pewnego dnia odmówił wychodzenia poza ogród. I przez prawie rok preferował nie wychodzić na spacer.

Spokojnie zastyga, spuszcza ogon i przestaje reagować na wszystko. Na głos, na dotyk, na smycz, na zabawki, na przysmaki. Czasami spogląda na mnie – a wtedy mam wrażenie, że czynię mu straszną krzywdę.

Ma swoje powody. Nie znam ich. Wiem, że lepiej byłoby dla niego, by chodził. Staramy się z Dominiką go przekonać. „Twoi koledzy i koleżanki za tobą tęsknią. Pytają, co z Bambi”. Nic. „Poszlibyśmy do parku, wiesz, na cmentarz stary”. Nic.

I nic nie jestem w stanie zrobić. Szukam pomocy u behawiorystki, u weterynarzy. Wszyscy jesteśmy bezsilni. Bambuś patrzy w dal w milczeniu, niezmiernie spokojny, nieludzko zastygły.

– To tak jak z niektórymi ludźmi – pakujemy ich w kaftan i zamykamy, bo nie potrafimy pomóc. Tak samo z psami. Po prostu na niektóre traumy nic się nie poradzi – mówi jeden weterynarz. Bambuś siedzi na podłodze i patrzy w dal.

– Na smycz go i wyciągnąć – mówi sąsiad. Macham ręką. Chociaż czuję się poirytowany. Tak jakbym tego nie próbował. „Wyciągnąć na siłę”.

„Wy się tak trzęsiecie nad nim, że i on się zaczyna trząść”. „Po prostu jest leniwy, a wy go w tym utrzymujecie”. „Męczy się” – słyszę dobre rady. I sam nie wiem, czy to nie moja wina. Może robię coś nie tak, może nie umiem się zajmować psami, może gdybym inaczej do niego podszedł... może rzeczywiście przysparzam mu cierpienia... Tracę pewność siebie. Może dobre intencje, współczucie to za mało. Ale przecież się konsultuję. Przecież nie jest tak, że mi jest wygodnie, że on nie chodzi. W zamian bawimy się w ogrodzie i staram się, aby miał sporo ruchu niezależnie od pogody.

* * *

– Widzę, że on rządzi panem – mówi weterynarka, gdy z trudem wchodzi z Bambusiem. On zdaje się nie reagować na mój głos. Ręka boli od trzymania smyczy.

– Zestresowany jest – odpowiadam.

– Manipulant. Co, rządzisz panem? – zwraca się do Bambka.

Ten nie odpowiada.

– On jest grzeczny. Tylko jak się zestresuje, to nie reaguje. A tak to się słucha – mówię.

Tak mi się wydaje. Słucha się, kiedy słyszy. Gdy woli nie słyszać, to nie słyszy.

Zawstydzony wychodzę od weterynarza. Właściciel powinien kontrolować psa. Pies powinien się słyszać. Pytam Bambka, czy mną manipuluje. Nic nie odpowiada. Siada z tyłu samochodu i czeka, aż zapnę mu pasy.

* * *

Nic nie wiem o Bambusiu, poza informacją, że dwa lata spędził w bidulu, i tym, co widziałem na własne oczy.

* * *

Nie jestem w stanie opowiedzieć jego historii. Nie jestem w stanie go zrozumieć. Sytuacja z opowiadania Melville’a staje się czymś, co codziennie rozgrywa się u mnie w domu. I ta tajemnicza przeszłość, i to nieogarnięte cierpienie, i ten czarny „bablador” – nawiedzają mnie. Może gdybym mógł opowiedzieć jego historię, byłbym w stanie go uleczyć.

I zaraz myślę sobie – uleczyć czy stworzyć? Przerobić go na wizję idealnego psa. Ma być radosny, a nie smutny. Ma reagować, a nie zastrygać. Ma chodzić na spacer jak każdy normalny pies. Ma być przy nodze, a nie obok.

Może to pragnienie poznania, mnie od niego oddala? Bo czy poznanie nie jest próbą zawładnięcia? „Zechcesz mi powiedzieć cokolwiek o sobie?”⁶⁴ Jakie pragnienie stoi za tym pytaniem? Wilku kłóci się ze

⁶⁴ Ibidem, s. 34.

mną, ale jakby na moich zasadach. Bambuś podważa zasady. Moje sposoby komunikacji nie dotyczą jego.

Czytam, że „sierść czy ogon nie powstrzymają możliwości wypracowania wspólnego języka”⁶⁵. I zastanawiam się, czy ten „wspólny” język nie chce oprzeć na ludzkim. Tak jakbym zakładał, że Bambuś ma odpowiedzieć na moje sygnały i oczekuje, że będzie sygnalizował w sposób dla mnie zrozumiały. Bez wysiłku z mojej strony, aby nauczyć się innego języka. Tak jakbym nie uznawał języka innego niż mój. I innych niż moje sposobów doświadczania świata.

Ten sposób poznania, myślę... te moje pragnienia... Czyżbym nie akceptował go takim, jakim jest? Całe moje współczucie maskuje tak naprawdę smutek władzy, niemożliwość podporządkowania, stworzenia sobie psa marzeń? Może jemu dobrze jest obok? A gdy się zapatrzy, gdy zagłębi się w mroku, chce mieć pewność, że ktoś na niego czeka. Nawet gdy jest mróz.

⁶⁵ E. Meijer, *Język zwierząt*, s. 113.

Pan Gołąb

Lato. Słońce zaszło. Wychodzę na balkon zapalić papierosa. Gasząc go, dostrzegam w rogu gołębia. Wystraszony wycofuję się. Nie przepadam za ptakami. Za godzinę wychodzę ponownie. W rogu dalej siedzi nastroszony gołąb. Nie odlatuje. Wołam Dominikę. Dziwna sprawa z tym ptakiem. Stukam w szybę, chcąc go sprowokować do odlotu. Unosi tylko skrzydła. Dostrzegam, że pod jednym ma ranę. Co robić? Bo trzeba coś zrobić. Ale co?

Dzwonimy do różnych organizacji. Nikt go od nas nie weźmie. Sami musimy go zabrać do weterynarza. Tylko jak go złapać? Ja się boję. Dominika też. Coś we mnie wzdryga się przed bliższym kontaktem z gołębiem.

Wymyśliłem, że użyjemy transportera. Skoro on jest przyparty do ściany, to nie będzie miał wyjścia, jak tylko wejść do środka.

Gołąb trochę się przeciwstawia. Pierwsza próba nie wychodzi. Za drugim razem się udaje. Szybko zamykam wejście.

Jest późno. Szukamy otwartej przychodni. Dzwonimy. Przyjmą nas, ale mamy się pospieszyć. Do drugi koniec miasta. Nie wiemy, jak poważna jest rana. Lepiej nie czekać. Poza tym nie wiemy, co zrobić z gołębiem. Nigdy nie zajmowałem się ptakami.

Weterynarz podaje antybiotyki. Jakieś leki przeciwko pasożytom. Coś tam mamrocze pod nosem, czego nie mogę zrozumieć. Zakłada szwy. Mówi, że jutro trzeba będzie przyjechać. Nie jest pewien, czy gołąb z tego wyjdzie. Instruuje, jak go przemocować, co trzeba mu dostarczyć.

Zostawiamy go w transporterze, bo nie wiemy, jak go chwycić. Dajemy jedzenie i wodę. Rano jest straszny bałagan. Trudno. Jedziemy do weterynarza. Kolejne zastrzyki i instrukcje.

Znajduję karton. Dominika przenosi gołębia. Ja się boję. Potem kupuję klatkę, jedzenie dla ptaków, jakieś przysmaki. Jest ciepło, więc wystawiamy go na taras, na który nie wchodzi psy. Będzie miał spokój.

Złapanie gołębia to dla mnie wyzwanie. Mam rękawiczki. Gdy go chwytam, on trzepie skrzydłami. Wypuszczam go przestraszony. Ponawiam próbę.

Niepokoję się, czy on z tego wyjdzie. Gdy jedziemy, patrzy na mnie jednym okiem. Przemawiam do niego spokojnie. Wydaje się, że rozumie.

Gołąb ucieka następnego dnia, przed kolejną wizytą. Nie wiem, jak otworzył sobie klatkę. Spokojnie chodził po tarasie, gdy wyszedłem. Zawołałem Dominikę. Jakoś trzeba go złapać. Ten jednak nie chce się dać. Odskakuje. Odlatuje trochę. Po kilku próbach gołąb postanawia odlecieć. Znika za horyzontem. A za chwilę powinien wziąć antybiotyki. Stoimy bezradni. Pozostaje odwołać wizytę.

Rano budzi mnie stukot. Rytmiczne uderzenia o podłogę. Zaspany idę w stronę dźwięku. Po pokoju chodzi gołąb. Musiał wlecieć przez otwarte drzwi balkonowe. Patrzy spokojnie. Czeka, aż dam mu słonecznik. Bardzo go lubi. Sypię go sporo. Jestem pod wrażeniem – nie sądziłem, że do nas wróci.

U weterynarza lekarka instruuje nas, jak najlepiej łapać gołębia. „W tulipank” mówi. A potem zwraca się do mnie, bym spróbował. Patrzę na szpony ptaka. Są czerwone. Wydają się chropowate, ostre, nieprzyjemne. Czuję wewnętrzny opór. Nie mam ochoty go dotykać. Ale i tak przecież muszę. Wkładanie do klatki, wyciąganie z niej. Już się trochę z tym oswoiliśmy. My wszyscy.

Powoli przejmuję gołębia z rąk lekarki. Zaskoczenie: szpony są miękkie, ciepłe. Bardzo przyjemne uczucie. Czuję, jak oplata mój palec. Nie czuję już obrzydzenia. Nic się we mnie nie buntuje. Ptak łypie na mnie. Nie wrywa się. Trzymamy go delikatnie.

Leczenie dobiega końca. Można go wypuścić po około trzech tygodniach ciągłego zajmowania się nim. Trochę mi smutno. Gołąb powoli wychodzi z klatki. Frunie na barierkę. Tam siedzi dłuższą chwilę. Coś mówi i odlatuje.

Następnego dnia nas odwiedza. Wystawiamy miski z wodą i jedzeniem. Bywa czasami dwa razy dziennie. Potem tylko raz. Są dni, że go nie widzę. Zastanawiam się, co się z nim dzieje. Gdy widzę martwego gołębia, to mam nadzieję, że to nie nasz.

Tymczasem ten staje się odważny. Niekiedy podchodzi do nas i je z ręki. Ale tylko słonecznik. Siedzi i grucha. Wizyty trwają czasami ponad godzinę.

Pewnego dnia się urywają. Weterynarz mówił, że gdy znajdzie sobie stado, to przestanie pewnie przylatywać. Lato się skończyło. Zbliża się zima. Dobrze, że znalazł stado, chociaż trochę mi go brakuje.

* * *

Pan Gołąb swoją wizytą zmienił moje nastawienie do ptaków. Jestem uważniejszy. Przyglądam się gołębiom w mieście. Wcześniej były tłem czy czymś, co omijałem. Mam nadzieję, że gdzieś tam jest ten, któremu pomogliśmy, że nie zginął tragicznie. Wiele anonimowej śmierci, bo to często anonimowe życia.

Wymusił też na mnie przekroczenie swoich uprzedzeń. Przełamanie wstrętu. Ptasie łapki wydawały mi się zawsze takie obrzydliwe. Same ptaki też. Pan Gołąb sprawił, że odkryłem ich miękkość i ciepłość. Przez dotyk nawiązałem inną relację i zmieniłem swoje postrzeganie.

Kastracja i trudna relacja

Czas dogadywania się Wilku z Bambusiem. Jestem w kontakcie z behawiorystką. Ona nieustannie namawia na kastrację. Bez tego trudno będzie, kastracja to podstawa, dlaczego państwo nie chcą jej zrobić?, co stoi na przeszkodzie? Argumentuję, że ze względu na kolana to może nie jest wskazane, Wilku musi utrzymywać odpowiednią wagę. Nie przekonuje to behawiorystki – przecież jest dieta, można to kontrolować. W końcu daję się przekonać. Może rzeczywiście byłoby lepiej. Wilku to taki cieczkowiec – tyle razy trzeba było go poić „syropkiem szczęścia”. To takie męczące, gdy jest cieczka na dzielnicy. Dla niego, dla państwa, będzie lepiej – przekonuje behawiorystka.

Decydujemy się na chemiczną kastrację. Nie jestem do końca pewien tego kroku, a taka opcja jest odwracalna, tymczasowa. To się zobaczy, jak to jest. Coś w rodzaju testu. Behawiorystka jest szczęśliwa, gratuluje nam tej decyzji. Będzie wszystkim żyło się lepiej.

* * *

Piszę do behawiorystki, że Wilku dziwnie się zachowuje. Jest taki jakiś smutny, zagubiony. Jak nie on. Chodzi z pluszakiem w pysku, nieustannie się tuli do „brokułka”. Nawet na spacer go zabiera. Trzeba pilnować, aby się nie zgubił. Na spacerach nie chce chodzić. Staje i rozgląda się niepewny. Stał się też bardziej agresywny. Behawiorystka mówi, że pewnie ma za dużo zabawek. Aby mu pochować. Gdy to robię, Wilku jest jeszcze bardziej smutny. Przestaję rozmawiać z behawiorystką.

* * *

Wilku jest osowiały. Siedzi i patrzy ponuro na świat, na nas. Gdy się go dotyka, to warczy. Niekiedy rzuca się z zębami. Odmawia zabawy. I częściej próbuje pogryźć Bambusia. Nie wiem, czego się po nim spodziewać. Jakbym miał do czynienia z jakimś innym psem. Jakby nastąpiła w nim transformacja, której nie rozumiem i która jest źródłem nieporozumień.

* * *

Wilku stoi na trawniku. W pyszczku trzyma „brokułka”. Patrzy smutnymi oczami. Tak jakby świat stał mu się wrogi, a jedyne ciepło, jedyne bezpieczeństwo zapewniał „brokułek”.

Zapraszam go do zabawy. Ignoruje mnie.

Nie wiem, co robić. Może to szok? Minie mu po jakimś czasie. Przecież ciecзки to był sens jego egzystencji, coś, co go napędzało. Teraz sens rozmyśl się. Nie wiadomo dlaczego. Świat stał się dziwny.

Wcale nie jest lepiej. Wcale nie jest mniej agresywny, mniej smutny, mniej zagubiony.

* * *

W nocy warczy, gdy się ktoś poruszy. Niekiedy nawet gryzie. Na szczęście kołdra chroni przez zranieniem.

Nie przytula się jak przed kastracją. I lepiej go nie głaskać. Bo atakuje.

W dzień leży na łóżku i popiskuje, bo zajmuję się Bambusiem. Wyciągam dłoń, by pogłaskać Wilka. Ten skacze i próbuje mnie ugryźć. Drobnе ślady zostają na palcach. Bo zdążyłem cofnąć dłoń, nim zacisną szczęki. Nie zawsze będziemy mieli tyle szczęścia – my i Bambuś.

* * *

Wykastrowany Wilku jest trudny. Wcześniejsza relacja mi się rozpada. Nie da rady jej podtrzymać, bo przecież to inny pies. To, co wcześniej było normalnym zachowaniem, teraz przestało istnieć. Nie reaguje tak jak wcześniej. Jakby mi ktoś podmienił chihuahua. Nie ma w nim żadnej radości – zgryźliwy leży na łóżku.

Mam nadzieję, że odzyskam Wilka. Chemiczna kastracja może trzymać małego psa dwa lata, jak nas poinformował weterynarz. Oby nie. Już wolałem jego cieczkowanie. Z tym apatycznym, agresywnym i melancholijnym chihuahua trudno mi nawiązać relację. Odnoszę wrażenie, że jest zły na cały świat, że jakby wszystko i każdy go irytuje.

Może musi się sam na nowo odnaleźć. Może to tymczasowe zagubienie. Znaleźć nowy cel, nowe źródła radości.

* * *

Znajomy opowiada, że ma problemy ze swoim psem. Wykastrował go i teraz zwierzę nie chce chodzić na spacer. Większość czasu siedzi u siebie na posłaniu i warczy, gdy ktoś się zbliża. Przytakuję. Mamy podobnie. Przeklinam behawiorystkę i to, że dałem się przekonać. Pojawiły się tylko problemy. I Wilku nie wygląda na szczęśliwego. Odnoszę wrażenie, jakbym go w pewnym sensie utracił. Zachowuję dystans, nie chcę zostać pogryziony. Bambuś też unika Wilka – z podobnego powodu. A Wilku wydaje się jeszcze bardziej smutny, osamotniony.

* * *

Na grzbiecie pojawia mu się zmiłowaty zygzak. Nowe upodmiotowienie ujawnia się na ciele.

* * *

Rozpadły się relacje: i te między nami, i te wcześniej łączące Wilka ze światem. Rytuály, które stabilizowały jego bycie w świecie, teraz przestały mieć sens. Wygnanie nie jest tylko ludzkim doświadczeniem – Wilku doświadczył obcości, rzeczywistość przestała być przyjmowana jako coś naturalnego.

Wilku staje przed bramką swojej miłości – Zuzi, małej yorczki. Stoi, jakby nie wiedział po co. Jakieś mgliste wspomnienie, coś tu było ważnego – stoimy przez kilka minut. Wilku odchodzi smutny. Rozgląda się niepewnie.

Wygnany, zagubiony, w dziwnym świecie – Wilku na nowo musiał wymyślić swoje bycie, siebie i nowe rytuały. Nie wiem, czy mu się udało, czy nam się udało. Gdy piszę te słowa, to widzę, że wraca – znowu cieczkuje, znowu się tuli, więcej się bawi z Bambusiem.

* * *

Powrót jest jednak niemożliwy. Powraca się odmienionym. Tak samo Wilku. Doświadczenie zostawiło na nim ślady – jest bardziej wycofany, więcej spędza czasu sam, rzadziej okazuje uczucia. Smutek chemicznej

kastracji, która pozbawiła go jego świata, nazaczył go melancholią.
Przybliżył do Bambusia – on też kiedyś stracił swój świat.

Gratek staje się Mruczysławem

– Dzisiaj go nie przywiozą. Nie jest w najlepszym stanie. Muszą go trochę postawić na nogi – dowiaduję się od Dominiki. Namówiła mnie na wzięcie kota. Nie byłem przekonany. Sam nie wiem dlaczego. Wydawało mi się to problemowe. Koty są dziwne. Pokazała zdjęcie z opisem, chory na koci katar. Potrzebuje pomocy. Wzruszam ramionami.

– Jeżeli to nie zarazi psów.

– Nie, psy są bezpieczne.

Kot jest u weterynarza. Czekamy. Wcześniej musieli go odszukać. Kiedy Dominika powiedziała, że chcemy go adoptować, okazało się, że nie za bardzo wiadomo, gdzie kot jest. Na jakiejś wiosce. Siedzi przy gospodarstwie. Ale to nie kot tych ludzi. Zostawili im leki, aby podawali Mruczysławowi nazwanego przez fundację Gratkiem. Oni powiedzieli wtedy: to nie nasz kot. I leków nie podawali. Katar wrócił. I trzeba odczekać, przed drogą, bo nie wiadomo, czy przeżyje. Przygotowany pokój czekał.

* * *

Wcześniej Dominika prowadziła rozmowy.

– Państwo sobie nie poradzą. To bardzo trudny kot. Brak wam doświadczenia. On jak był u nas, to wszystkich atakował.

Dominika przekonuje. Tymczasem Mruk leży gdzieś i dogorywa.

– Może mu budkę zrobicie w ogrodzie.

Z trudem dają się przekonać. Bo to trudny kot, a my nie mamy doświadczenia. To nic, że teraz nikt się nim nie opiekuje. To nic, że potrzebuje nieustannej opieki. To nic, że jest na skraju. Czy my się nadajemy? To taki trudny kot.

* * *

Mrusio przez dwa lata chorował na koci katar. Zielona ropa sączyła mu się z nosa, oczy miał zaropiałe. SkoŹtunione, posklejane futerko. Bardziej charczał, niż miauczał. Psy dostawały szału, gdy się odzywał. Biegały po korytarzu, ujadając. A Mruczysław chudy, istny szkielec,

wypoczywał w pokoju. Pierwszy dzień przespał. Musi odpocząć po podróży. Pomimo swojego stanu wydawał się spokojny. Ignorował wylewającą się z nosa zieloną gęstą ropę.

* * *

Mruk nazwany został przez fundację Gratkiem. Zniszczony kot. Dominika, gdy go wyciągnęła z transportera u weterynarza, od razu powiedziała, że dopiero go adoptowała. Bała się, że zadzwonią do TOZ-u czy na policję. Był w tak złym stanie, że baliśmy się, że nie przeżyje. Chyba dlatego go trochę ignorowałem. Tłumaczyłem się też tym, że ja jestem miłośnikiem psów. Kot jest Dominiki. I większość opieki zrzuciłem na nią. Koty są dziwne – nie wiem, jak do nich podejść, tłumaczyłem sobie, innym.

Mruk był zniszczony, bo w domu tymczasowym nie mógł się odnaleźć. Nie nadaje się raczej do życia w domu, przekonywała nas fundacja. Może aby uzasadnić swoje wyrzucenie Mruczysława? Pownowne oddanie go w szpony choroby, skazanie na bezdomność? On jest agresywny, mówili. To dzikus. Chował się i wybiegał tylko po to, by gryźć. Dlatego porzucono go znowu, niedoleczonego, przy stodole. Tam sobie wegetował.

Mruk od początku nie wykazywał żadnej agresji. Każdego witał mruzeniem i ocieraniem się, barankował i siadał na kolanach. Żadnych ataków z zaskoczenia, żadnego gryzienia i drapania – no chyba, że u weterynarza. I chyba, że chciało mu się podawać leki. Poza tym doskonale pasował do miękkiej sofy. Obecnie jego ulubionym miejscem jest łóżko. Puchowa poduszka i jeszcze mały jasiek, aby mieć wyżej główkę.

* * *

Mruk, gdy już trochę lepiej się poczuł i zadomowił, to czas spędzał u mnie w gabinecie. Spał przy komputerze albo głaskał mnie po ręce. Albo na fotelu, od czasu do czasu ugniatając mi plecy. To był czas leczenia – co drugi dzień u weterynarza. Miesiąc za miesiącem. Antybiotyki, zastrzyki na wzmocnienie. Jego stan był nieustannie kruchy.

Mruk nabierał jednak sił, nabierał ciała. Futro stawało się lśniące. Zrobiliśmy porządek z zębami.

Niestety, ciągle coś łapie – przeziębienia. Słaba odporność, zwapnienie płuc. Wynik długoletniej choroby. Codziennie witaminy na odporność. Trzeba uważać. Co jakiś czas kaszle. Niedawno pojawił mu się ropień na oku. Pękł mu pazurek i wdało się zakażenie. Ten wielki, tłusty kocur jest bardzo delikatny.

* * *

Mruk zwiedza dom i negocjuje z psami. Szybko zaprzyjaźnia się z Wilkiem. Udaje mu się zdobyć należne miejsce na łóżku. Od tego momentu coraz rzadziej sypia u mnie w pokoju. Więcej czasu spędza na miękkich poduszkach. I wita mruzeniem, gdy się kładziemy spać czy gdy czytamy.

Dużo się bawi. Trochę z Wilkiem. Widać, że nie potrafią zrozumieć niektórych rzeczy. Odbywa się baz agresji. W miarę siebie czytają. Chyba lepiej niż ja Mruka. Wciąż odczuwam pewien dystans, jakiś taki lęk – nie wiem, jak do niego podejść. Jak coś, to wołam Dominikę.

A Mruk dobrze się bawi. Zaczepia Bambusia, urządza na niego polowania w ogrodzie. Ustawia wraz z Wilkiem. Przez jakiś czas, dla żartu, blokuje Bambusowi wejście na schody. Któregoś dnia jednak Bambo przełamuje strach i zbiega – przy okazji depcząc ogon Mrukowi. Kotek stwierdza, że to niefajna zabawa.

* * *

Psy to psy – wydaje się nam, że Mrukowi brakuje kociego towarzystwa. Bo trochę oklapł. Zsuwa się z łóżka, aby zjeść i wczołguje z powrotem. Trochę jakby apatyczny. Nic mu nie jest – przebadaliśmy go dokładnie u weterynarza. Może się nudzi. Tak ostatnio pochłonęły nas ludzkie sprawy, że mało się bawiliśmy. Może towarzystwo innego kota to nie jest zły pomysł.

– Dłużej też żyją – mówi Dominika.

Mruk ma swój wiek. Nie wiadomo dokładnie ile. Na czarnym futerku kilka siwych włosów.

Cokolwiek, byle żył dłużej. Chociaż nie jestem pewien co do brania kolejnego kota. Niektóre wolą samotność. Jak było z Mrukami? Jakie miał stosunki z innymi kotami? On też jest już niemłody...

Gucio i nawiedzenie przez grzyba

– To spokojny kotek. Myślę, że Mrusiowi brakuje kociego towarzystwa.

– Wilka ma.

– Są przyjaciółmi, ale widać, że Wilku nie do końca rozumie kocie zabawy. A Mruczysław psich zabaw też nie. Czytałam, że koty wtedy dłużej żyją. Specjalnie wybrałam takiego spokojnego, bo nasz to już senior. Ten został odłowiony ze stada, bo go były inne koty i niedopuszczany był do jedzenia. Teraz jest na badaniach. Szukają domu tymczasowego. Piszą, że przyjazny.

– Nie jestem pewien. Co, jeśli się nie polubią? Co, jak będzie tak jak u M.?

Słyszę opowieści M. o problemach z kotami – nic nie mogą poradzić. Jeden siedzi w jednym pokoju, drugi w drugim i trzeba robić wszystko, aby się nie spotkały. Behawioryści rozkładają ręce. Znajoma pisze, że jej kot jest bity przez kotkę siostry, gdy tylko wyjdzie z pokoju. Koty wydają mi się samotnikami. Nie są przecież stadne. Zresztą nie znam się na nich. Nie potrafię podjąć decyzji. Sprawy kocie to sprawy tajemne. Koty są dziwne. Koty nie są moje. Psy są też łatwiejsze w obsłudze – dawanie leków czy wizyty u weterynarza nie są wyzwaniem. I tak jakby łatwiej byłoby mi je czytać. Mruczysław jest dla mnie nieprzenikniony. Nie wiem nigdy, gdzie przebiega granica, co myśli, co czuje. Oczy ma przymrużone. Zdaje się spokojny, ale ma w sobie taki dystans. Łatwo się irytuje.

– Jak się będziesz tym zajmować – mówię bez entuzjazmu, ale skoro Mruk ma się czuć lepiej, dłużej żyć, to dla czego nie. Bym tylko nie musiał nic przy nim robić. Nie umiem zajmować się kotami. Nie mam do nich podejścia. Tak, tak, z psami lepiej potrafię się dogadywać.

* * *

Jedziemy zobaczyć Gucia, który przebywa u weterynarza. Kilka klatek, prostokąt podzielony na osobne pomieszczenia. Kotki przyglądają się za swoich misek.

– Tak, jest spokojny. Łasi się, daje głaskać, ale nagle się wycofuje, odskakuje – mówi lekarka, otwierając drzwi od klatki. – Za tydzień,

jeżeli wszystko będzie w normie, będzie można go zabrać. Musimy go podleczyć, bo jakiś wirus był i wszystkie są pochorowały. Już jest lepiej, ale wczoraj była jeszcze krew w kupie u niektórych.

Dominika głaszcze Gucia. Ten odskakuje. Podchodzi, znowu odskakuje. Chowa się w klatce, po czym wychodzi. I znowu odskok, wycofanie. Dziwny taniec, kierowany niepewnością – taniec sprzecznych pragnień. Z jednej strony bliskość, cięło dotyku, z drugiej strach przed dotykiem, poszukiwanie bezpiecznego schronienia przed dłonią.

– No on taki właśnie jest – mówi weterynarka.

Dominika zachwyca się kotkiem. Ja nie odczuwam żadnych emocji. Trochę go głaszcę. Stwierdzam, że ma inne futro niż Mrusio – takie twarde, szorstkie. Mniej przyjemne w dotyku. Spoglądam na zegarek w telefonie – gdzieś mi się spieszy, nie pamiętam teraz gdzie. Pamiętam, że nie za chętnie jechałem do weterynarza zobaczyć Gucia. Chyba naprawdę nie chciałem kolejnego – to, że uznałem, że to pomysł Dominiki, jej sprawa, było próbą odcięcia się. Konieczność jechania na wspólne oglądanie kota było wciąganiem mnie nie w moje sprawy, marnowaniem mojego czasu.

* * *

Zgodnie z przykazaniem zamykamy kotka w pokoju. Dopiero co przyjechał. Przykazania nie dotyczą kotów. Gucio ucieka z pokoju i biegnie do Bambusia. Tam siada na sofie. Robi tak przy każdym otwieraniu drzwi. Nie chce być zamknięty.

– Co robimy? – pyta Dominika.

– Zostawmy. Na razie nic się nie dzieje.

Gucio ma wielkie oczy. Rozgląda się wystraszony. Wygląda jak kociak.

* * *

Ociera się o Bambusia. Ten nie jest szczęśliwy. On koty toleruje, ale trochę się ich boi. Udaje często, że ich nie ma. Tymczasem Gucio wydaje się zafascynowany pieskiem. Mrusiem też, ale ten syczy i ucieka. Pewnie potrzebuje czasu.

* * *

Coś dziwnie się myje. Wsysa, mlaszcząc. Strasznie głośno. Też coś ciężko oddycha. Może taki urok. Słysząc go w całym salonie. Mruk spogląda na Gucia z oddali. Wciąż nie pozwala mu się do siebie zbliżyć.

* * *

Gucio to „uliczniczek”, który nie radził sobie na ulicy. Inne koty go były, nie dopuszczały do jedzenia. Łaził za nimi. Widzę to, jak idzie za grupą, zachowując dystans, mały, zagubiony, wystraszony. Idzie przez straszne miasto, przez przerażający świat, nie mając schronienia.

Podobno na ulicy pojawi się nagle. Nie wiadomo skąd. Czy wcześniej miał jakiś dom? Znał ludzi? Kolejny zdradzony koczek? Kolejne złamane serce? Czy może zawsze tułał się bezdomny? Nigdy nie zaznał ciepła, miłości...

Odłowili go, bo ulica nie była dla niego. Strach wszedł mu pod skórę, w którą nieustannie się wgryza. Co chwilę odskakuje. Nie można wykonywać zbyt szybkich gestów.

* * *

W nocy budzi mnie hałas. Zbiegam do kuchni. Pozrzucone miski. Jedzenie na stole i na ziemi. Koty syczą na siebie. napięta sytuacja. Zaspany pouczam ich, że nie ma co się bić i sprzątam. Wykorzystując sytuację, Mruk ucieka na górę.

Może się bawili. Nie wiem. Gucio ma wielkie oczy.

Następnej nocy to samo. Znowu hałas. Znowu wszędzie rozrzucone jedzenie. Zjeżone koty. Zaprowadzam porządek. Nie wiem, co robić. Może nie jest tak źle. Muszą się jakoś dogadać.

W dzień Mrusio chodzi wystraszony. Rozgląda się. Unika Gucia. Nie chce koło niego przechodzić. Dochodzi do walk. Gdy rozdzielam koty, Gucio ucieka wystraszony. Mruczysław chodzi czujny przy ziemi.

* * *

Nie zauważam od razu, że Gucio okupuje posłanie przy wejściu do sypialni, a tym samym blokuje korytarz. Mruk siedzi u mnie w gabinecie. Wyjście z niego oznacza spotkanie, przejście obok. Widać nie jest na to gotowy.

W gabinecie unosi się dziwny zapach. Nie wiem, co to. Szybko się przyzwyczajam. Mruczysław obserwuje Gucia. Pomimo mojej obecności nie czuje się pewnie. Nie daje się głaskać. Zaczynam mieć wątpliwości. Może Gucio wcale nie jest spokojnym kotem, może to bandyta?

Dzwonię do znajomego. Ten mówi, że pewnie walka o władzę. Młodszy, sprawniejszy kocur chce przejąć teren. Tłumaczy mi w ten sposób.

– Dwa samce. Wiadomo, będą rywalizować. Mruk ma swoje lata. Więc może nowy chce zdobyć dominację. Albo po prostu się nie lubią. Wiesz, też tak bywa.

Patrzę: Gucio z mroczną, groźną miną spogląda na świat. Może rzeczywiście to bandyta? Ile on był w domu tymczasowym? Kilka dni? Co mogli oni o nim wiedzieć? Na ile poznać? Przecież jest coraz gorzej. Na początku był większy spokój, a z tygodnia na tydzień coraz więcej walk, coraz bardziej wystraszony Mruk.

* * *

Guciovi pojawiają się rany na skórze. Wielkie pląty wylizane do krwi. Weterynarz mówi, że to może efekt stresu. Smarujemy jakąś maścią. Nic to nie pomaga. Nie jestem też przekonany. Rany podobne do tych, które miał Mruk – taki pasożyt. Zabieramy go znowu do lekarza. Tym razem do innego.

Dostaje lek na pasożyty, ale też biorą fragment do badań.

Tymczasem Gucio jest coraz bardziej agresywny. Atakuje Mruka, gdy tylko ten się pojawi. Ten znowu sypia u mnie w gabinecie. Nie zauważam, że też się tam załatwia, bo boi się iść do kuwety. Dopiero gdy odnajduję zasikane książki, zdaję sobie sprawę, że chyba się kompletnie nie dogadują. Dopiero wtedy dociera do mnie, jak zestresowany jest Mruczysław. Czuję przyływ gniewu. Na siebie, na Dominikę, na Gucia. Miało to przecież być dla Mruka, a nie przeciwko niemu. Miało mu pomóc, wydłużyć życie, a nie życie zamienić w piekło.

Gucio trafia do pokoju. To jedyna opcja, aby uspokoić sytuację. Mimo tego Mruk dalej niepewnie porusza się po domu. Trzeba mu

towarzyszyć do kuwety. Czekamy, aż dojdzie do siebie. Oddanie Gucia nie stanowi opcji. Na szczęście mamy dużo pokoi.

* * *

Dostajemy wiadomość od weterynarza – grzyb. Konieczna izolacja. Kolejne uzasadnienie, aby nie wypuszczać Gucia z pokoju. Mruk powoli dochodzi do siebie. Wraca do spania na łóżku. A my zaczynamy leczenie ulicznika. Moje kontakty ograniczają się w gruncie rzeczy do podawania leków. Na początku nie wydaje się, żeby to było coś poważnego. Ale lepiej unikać kontaktu, bo jeszcze można przenieść na inne.

* * *

Nie pamiętam dokładnie całego procesu leczenia. Trwało to długo. Do grzyba dołączyła się infekcja dróg oddechowych. I zęby. Robiliśmy jedno, pojawiało się drugie. Gucio nauczył się przyjmować leki. Chociaż wciąż niektórymi pluł. Ściany wymazane różnymi kolorami. Plamy na podłodze. Pilnowanie, by nie uciekł i by nikt nie wszedł do niego. Zmiana prowadzącego lekarza. Podejrzenie raka i badania, po których Gucio krwawił z noska. Momenty, gdy niby zdrowiał i nagłe nawroty. Miesiące izolacji. Miesiące leczenia. Niezliczone wizyty. Debet na koncie. A przed nami była jeszcze konieczność dokocenia z Mrukiem.

* * *

Grzyb wymusił fizyczny dystans, co osłabiło rodzące się relacje. Napady agresji też je nadwątlily, bo jakoś solidaryzowałem się z Mrukiem. Pewnie dlatego, że był z nami dłużej, że się zżyliśmy. No i to Mruczysław był ofiarą przemocy. Przemocy, którą wprowadziliśmy do domu.

* * *

Zagrzybiony Gucio oddychał ciężko. Świszczący oddech. Każdy wdech jakby wykonywany z trudem. Do tego krwawiące dziąsła. Ten masywny kotek, o grubych łapkach, silnej wydawałoby się budowie,

młody, odreagowywał życie na ulicy. Okazał się bardzo delikatny. Kruchy. Nie mogliśmy ustabilizować jego stanu.

Pojawiły się podejrzenia raka.

Grzyb już został pokonany – ale tyle razy już go pokonywaliśmy i wracał – a koteczek wciąż chory. Trzeba specjalistycznych badań. Denerwuję się. Martwię jak zawsze, gdy trzeba poddać dzieciaczka narkozie. Zwłaszcza, że nie robimy tego u naszego weterynarza, tylko w innej klinice. Ta nie ma za dobrej reputacji.

– Poczekaj, aż zaśnie – mówi Dominika.

Nie ma takiej możliwości. Weterynarz zabiera kota i mówi, że zadzwoni. Trochę się cieszę, bo nie lubię tego stanu, gdy stają się bezwładne, gdy traci się z nimi kontakt. Przypomina to trochę jakby umierały.

Gucio leży zwinięty w kłębek, gdy już wraca po badaniu. Z noska sączy mu się krew. Cała jego bezbronność, jego słabość uderza mnie. W tej nagłości ujawnienia się jego kruchości zapominam o jego bandyckich zachowaniach. O tej przemocy, którą przyniósł. Widzę tylko biedną istotę, która krwawi z ran, która nie może wyzdrowieć mimo kilkumiesięcznych zabiegów. I w tym momencie dociera do mnie, że możemy przegrać tę walkę. Że nie będzie kogo dokacać. Że nie będzie komu podawać leków. Że nie będzie kogoś za drzwiami.

Ksenia – odporność na zranienia

Jest lato. Koci lament dobiega z ogrodu. Wybiegam z Dominiką, zostawiając obiad na stole. Coś się stało Mrukowi, myślimy. A Mruk siedzi przed krzakami, tuż przy płocie. To nie jego płacz. Jak zawsze spokojny, nieruchomy – trudno powiedzieć, co myśli, co odczuwa. Pomiędzy starym płotem a nowym, chroniącym przed ucieczką, siedzi mały, czarno-biały kot i płacze. Wilku i Bambuś biegają rozemocjonowani, nie wiedząc, co robić. My też za bardzo nie wiemy.

– Chyba się zablokował. Trzeba usunąć te chwasty, to sobie przejdzie.

Kotek na chwilę milknie, przyglądając się, co robię. Podchodzi do oczyszczonego fragmentu, po czym wraca na dawne miejsce i znowu płacze.

– Chyba nie wie, jak wyjść.

Zabieramy stado do domu. Nie są zadowoleni. Taka afera, a oni wykluczeni. Rozplatam siatkę i kot przeciska się. Wchodzi na ogród. Teraz trzeba go wyprowadzić na część otwartą i po sprawie.

Dominika stwierdza, że może kot jest głodny. Wzruszam ramionami i zapominam o sprawie.

– Chciała wejść. To dziewczynka. Łasiła się – mówi Dominika, kiedy wraca z pustym talerzykiem.

Wzruszam ramionami. Jak dla mnie, to Gucio to już za dużo. Nie myślę o kolejnym nie-ludzkiem dziecku. Czeka nas przecież trudny proces dokacania, gdy mały, szarobury bandyta wreszcie wyzdrowieje.

Skoncentrowany na sobie, na braku czasu, na wyzwaniach, jakie stoją przed procesem dokacania, nie zastanawiam się nad losem bezdomnej koteczki. Nie zauważam jej istnienia. Tak jakby fakt, że oswobodziłem ją z pułapki, unieważniał wszelkie relacje, jakiegokolwiek zadłużenie.

A byłem tak zadłużony – przez Gucia. Dominika się kształci, czyta fora, artykuły, rozmawia z behawiorystką – ja też mam przeczytać *Kocie moja*⁶⁶. To gruba książka. Tak jakbym nie miał rzeczy do czytania. Tak jakbym miał dużo czasu. Trzeba jednak, przecież Gucio nie może być ciągle zamknięty. Tyle obowiązków, tyle rzeczy do zrobienia – nie ma miejsca dla nowego kota, na kolejne problemy.

⁶⁶ J. Galaxy, *Kocie moja, czyli jak być opiekunem szczęśliwego kota*, Sine Qua Non, Kraków 2019.

* * *

– Zwariowałaś – rzucam poirytowany, gdy Dominika wchodzi z kotką na ręce.

– Chciała wejść. Nie dało się jej odmówić.

– Trzeba ją zamknąć w pokoju. Na badania zawieźć. Nie wiadomo, czy nie ma jakiegoś wirusa czy czegoś.

Nie mogę jej wyrzucić. To nawet nie pojawia się w mojej głowie. Jak przeszła próbę, to trzeba się zająć. Myślę, że na chwilę ją weźmiemy. Do czasu, gdy ktoś ją adoptuje. Może znajdą się opiekunowie. To młoda kotka, czysta.

Wrzucam informacje do sieci i piszę do schroniska. U weterynarza mówię, że nie ma imienia, bo ją tylko tak na chwilę, jako tymczasowy dom. Wpisana zostaje jako bezimienna. Zamknięta w pokoju Bambusia czeka na wyniki, a ja rozpytyuję sąsiadów, czy to czasem nie czyjaś.

A kręciła się, to tu, to tam. Może czyjaś, może nie. W każdym razie wszyscy ją kojarzą, ale skąd pochodzi – tego nie wiedzą. Przychodziła na jedzenie. Taka miła.

* * *

Dominika opowiada o koteczce. Słucham, nie wiedząc za bardzo, co odczuwam, jak zareagować na informacje. W każdym razie Dominika mówi, że gdy mnie nie było, to kotka wyszła i robiła wszystkim noski-noski. Mnie też robi, gdy idę ją zobaczyć. Jest bardzo przyjazna. Mam zaplute okulary. Stwierdzam, że zobaczymy, jak na nią będzie reagował Mruk. Od tego wszystko zależy. Behawiorystka raczej by nas namawiała do oddania Kseni. Tyle problemów z Guciem – Mrusio może tego nie znieść. Podobno nie bierze się trzeciego kota, gdy ma się problemy z dwoma. Wydaje się to sensowne. No ale jaki mamy wybór. Nikt po Ksenię się nie zgłasza. A ona ma już imię. I już się jakoś związuję z koteczką. Mam nadzieję, że nikt się nie zgłosi. Nawet nie wiem, kiedy i dlaczego uznają, że Ksenia może zostać. I nie wiem, kiedy i dlaczego, stwierdzam, że musi zostać.

– Nigdy nie słyszałem, abys wcześniej tak ciepło mówił o kotkach – komentuje Dominika.

* * *

– Sąsiad pytał, gdzie jest dziewczynka. Dawno go nie odwiedzała. Powiedziałam, że już go nie odwiedzi. Zamieszkała u państwa.

Przytakuje.

Zamieszkała. Zostanie. Nie mogę sobie wyobrazić, aby było inaczej.

* * *

Jest lato. Dużo siedzimy w ogrodzie. Ksenia bawi się. Trzeba ją zajmować, bo inaczej męczy Mruka, który nie jest tym zachwycony. Nie boi się jej, ale unika. Też nie za bardzo potrafię rozpoznać, kiedy zaczepia do „kocitsu”, a kiedy mamy do czynienia z poważną walką.

Bardziej doświadczeni znajomi mówią, że nic złego się nie dzieje. Trzeba założyć, że to jak z Filemonem i Bonifacym. Młoda koteczka i stary kocur – po prostu trochę go może irytować, ale dziewczynka nie wykazuje agresji. Chce się bawić jak to kociak.

Ustawiam wędki tak, aby lekki wiatr częściowo wyręczał mnie z zabawy. Pomagają mi też motyle i inne owady – Ksenia próbuje na nie polować. Z reguły bez sukcesu. Co akurat mnie cieszy, bo trochę szkoda motylków.

W połowie dnia robi się marudna. Wtedy trzeba ją karmić. Z ręki, bo inaczej nie może się skoncentrować. I tylko płacze. Chyba że dostanie ciastka – to wtedy chrupie sama. Chociaż trzeba ją zanieść do miski. Tyle rzeczy wokół – tyle hec do zrobienia.

Gucio patrzy ponuro z balkonu, czasami płacze. Ma nawrót infekcji. Jeszcze musi być zamknięty. Mruk zaś śpi na krześle w ogrodzie. Czasami zerka spod przymkniętych powiek na dziewczynkę. Zachowuje dystans.

* * *

Wieczorem w ogrodzie impreza. Siedzimy ze znajomymi. Psy jak zawsze próbują wymusić jedzenie. Mruk przyszedł na chwilę, ale zobaczył, że krzesło zajęte, to gdzieś się zaszył – w domu albo w ogrodzie. On nie ucieka. A nic obcego, groźnego nie wejdzie po nowym ogrodzeniu. Guccio unika gości. Musi być naprawdę głodny, aby zejść tam,

gdzie są obcy ludzie. Za to Ksenia nieustannie nam towarzyszy. Skacze za Spiderem na wędce. Wywija piruety. Wydaje się niezmordowana.

– Ona zdaje się nie ma żadnych traum.

– Młoda jest. Radosna.

– Nie ucieka?

– Możliwe, że po prostu zmieniała sobie miejscówkę. Uznała, że tutaj będzie miała lepiej.

– Nie widać, by cierpiała, że ktoś ją porzucił.

– Dziwne, że kotka wprowadza się latem.

– Jest zdrowa.

– Trudno ją zmęczyć.

– Mruk jakoś ją znosi.

– Mruk to stary kot. Jak w *Filemonie i Bonifacym*.

Późną nocą zbieramy się do snu. Ksenia płacze, że musi do domu, że koniec zabawy. Mruk też niechętnie idzie do domu. Zasnął sobie na tarasie. Noc ciepła. Lekki wietrzyk. Niby czemu. Jeszcze nietoperze się pojawiły. Ksenia i Mruk patrzą zafascynowani.

* * *

Tryb likwidacji „gówniary”. Mruk stracił cierpliwość. Słychać rozpaczliwy płacz Kseni. Ma się wrażenie, że odbywa się rzeź. Rzeź niewinnych koteczek.

Zbiegam i widzę, jak Mrusio powoli idzie za Ksenią. Ta ucieka, płacze, chowa się. A Mruś idzie. A potem staje. Siada. Spokojny. I wymierza kare. Tłucze łapką. Jak srogi ojciec, który wykonuje swój obowiązek.

W takich sytuacjach stosuję chwilową izolację. Ksenia idzie spać, wraca radosna. To i wychowanie przez Mrusia skutkuje. Mogą się razem bawić. Zostają dobrymi przyjaciółmi. Razem siedzą w oknie. Razem ustawiają Gucia, który wychodzi na dzień z pokoju. Ten próbuje co jakiś czas atakować Mruka, ale wtedy wpada Ksenia i go przegania. Koteczka działa jako „dokoczacz”. To, wobec czego byliśmy bezradni, zrobił trzeci kot – nijak to się miało do porad, które udzielała behawiorystka, do rad, które słyszeliśmy.

Mruk i Ksenia – razem się bawią, biją i śpią. Gucio na noc śpi zamknięty w pokoju – dużo go kosztuje przebywanie na wolności. No i nie chce powtórki nocnych walk.

Mruk stał się bardziej aktywny. Schudł. Wygląda na szczęśliwszego. Fakt, czasami ma dość Kseni. Wtedy spuszcza jej wychowawczy łomot albo ucieka – chowa się w łóżku. Ksenia to niespożyta energia, wieczna zabawa. To po prostu młoda koteczka.

* * *

– Bambuś jest zazdrosny – mówi Dominika. Rzeczywiście trochę kotki zajęły jego miejsce.

Ksenia jest niczym pies – chodzi za mną niemal wszędzie. Zasypia u mnie w pokoju. Bawi się i marudzi u mnie w pokoju. Jak schodzę na dół, to biegnie – i już jest. Sprawdza wszystko, co robię. Gotowanie dzieje się przy jej pomocy. Nic nie dzieje się bez jej udziału.

Jest obok. Nieczęsto się tuli, niekiedy da noski-noski. Ale towarzyszy. Udziela się na każdym spotkaniu online. Komentuje każdy tekst. Inni trochę są zazdrośni – ale Ksenia ma specjalne traktowanie. Widać, że inne też podchodzą do niej z większą wyrozumiałością. To wciąż dzieciaczek. I przez długi czas jedyna dziewczynka w stadzie. Księżniczka. Co tu dodać więcej...

* * *

Zastanawiam się, jak to się mogło stać, że ktoś porzucił Ksenię. Wiem, że porzucenie zwierzęcia wydaje się czymś niewyobrażalnym. Zamknąć drzwi samochodu i odjechać. Ten gest – trudny do wykonania, jeszcze trudniejszy do wytłumaczenia, w przypadku Kseni niepojęty. Ciepła, dobra kotka, kochająca wszystkich, rozdająca buziaczki i rozkosznie się bawiąca. Bijąca czasem chłopaków, ale dla zapewnienia porządku i pokoju. Iskierka pełna życia. I zdaje się, że widzi w istnieniu samo dobro. Jakby zło świata nie miało do niej dostępu. Jakby fakt porzucenia nic w niej nie złamał, nie zranił jej.

Jej odporność to miękkość, ufność, otwartość. Nie twardość, zamkniętość, wycofanie.

Zastanawiam się, czy gdyby dłużej pobyła na ulicy, to czy nie straciłaby tej miękkości i ciepłości, tej pełnej swobody pewności siebie. Czy nie dręczyłyby jej niepokoje, mroczne sny – jak u Bambusia, jak u Gucia? Czy kontakt z człowiekiem nie przywoływałby widm przemocy, niezrozumiałej i bolesnej?

Dla niej bezdomność to było lato wśród motylków, ludzi, którzy ją karmili, a nie przeganiali. To ciepłe noce, zabawy, świat magiczny – nie mroczny, zimny i niebezpieczny. Nie miała żadnych ran ani na duszy, ani na ciele. Nie to, co Juliuszek, który zaczął pojawiać się przy ogrodzeniu, a wkrótce dołączył do sfory.

* * *

Ksenia jest życiem bez śmierci, radością bez cienia, stawaniem się chwalonym przez niektórych posthumanistów⁶⁷ – bez władzy, bez ograniczeń, beztroska, zabawowa, bezcelowa egzystencja w słońcu i miękkości. Puszysta radość życia zamienionego w plac zabaw, gdzie jakakolwiek przykrość to niestosowność.

Ksenia je ciasteczka. Popija owocowym, słodkim mleczkiem. Nie wyciąga pazurów, nie syczy. Bo nie ma potrzeby. Ociera się i mruczy.

* * *

Mrucząca utopia, którą staram się chronić przed światem. Dostrzegam w niej możliwość relacji opartej na puszystości – i zastanawiam się, jak długo będę w stanie chronić jej dziecięce, naiwne, pełne ufności bycie z innymi, gdzie nie ma zagrożeń i nikt nigdy Kseni nie skrzywdzi. Sama nie zdaje sobie sprawy, jak świat jest okrutny, ile niebezpieczeństw czyha na kociaczki. Tę jej niewinność zawarłem w wierszyku, w którym zastawiam mądrość Mruka i doświadczenie Kseni:

są pluszowe przygody
za oknem
pogonie w promieniach
ciepłych

nie było
zimnych piwnic
demonicznego mroku

⁶⁷ Zob. G. Deleuze, F. Guattari, *Tysiąc plateau*, Wydawnictwo bęc zmiana, Warszawa 2015; R. Braidotti, *Po człowieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2014; zob. krytykę tego podejścia u M. Rogowska-Stangret, *Być ze świata*.

noc
to ściąganie gwiazd
układanie
miękkiego posłania

nie było
osamotnienia
w dziką noc
braku schronienia
w mroźny dzień
głodu
ciągnącego się dniami

motyłki nad głową
i swobodny bieg
przez mięciutki trawnik

świat jest pluszowy
a przygody
zawsze kończą się dobrze
bajki są prawdą

doświadczony kot
wzdycha oblizując blizny
kładzie się na drugim boku
są też smutne bajki, malutka

Juliuszek odchodzi

Wiersz

I.
Pamiętam
jak biegleś na lekkich nóżkach
radośnie
– wciąż to wiedzę
moment kiedy wiedziałeś
– bo wiedziałeś
że nas przekonałeś
do bycia razem
że jest to
decyzja

Pamiętam też
pierwszy raz gdy zobaczyłem
twoje wychudzone ciało
chwiejny krok
jakby nad krawędzi
i spojrzenie w którym wyrażało się
całe opuszczenie i gęsty ból

Pamiętam
pamiętam wszystko
twoją niepewność
i moment zaufania
słowom
nie pasującym do świata

Zastanawiam się
po czasie
że może wcześniej ciebie spotkałem
wcześniej, w ciemności, byłeś małym kotkiem
zabłąkanym ale takim, co sobie poradzi
w domu tłok
tłumaczyłem sobie

każdy przygarnie małego kotka
i ignorowałem skulony cień kręcący się tuż na skraju światła

Pamiętam
– i są dni, że ciebie tam wiedzę
rano czekałeś przy misce
witałeś skrzekliwym miauczeniem
I mówiłeś
że miska to za mało
niepewnie szedłeś w stronę drzwi
które zamykałem

nie wiem kiedy udało ci się je otworzyć

Pisanie

Pisanie ma leczyć, oczyszczać i zszywać nasze rany, wspierać gojenie. A może tylko koić. Jest przeciwbólowym lekiem. Na chwilę odcina, pozwala zapomnieć. Sama rana jednak gnije, ropieje. I nic nas nie ocali, nawet najpiękniejsze zdanie. Słowa otulają – i może, całkiem prawdopodobne, przyspieszając proces gnicia, intensyfikują ropienia. My staramy się dostrzec jakieś zapowiedzi zdrowienia. A może, całkiem prawdopodobne, jątrząc ranę, pragniemy, aby okazała się śmiertelna. W tym akcie negacji siebie i świata możemy jedynie się uleczyć i pogodzić – ze sobą i ze światem.

* * *

Pisanie w obliczu utraty, wyrwy, którą zapełniają widma, może być pracą niezapominania. Podtrzymywania widmowej obecności. Pisanie jako próba przywołania ze zmarłych. Upiorna i skazana na pracę w śmierci – słowa osadzają się na kartce jak zwłoki. Przez chwilę drgają, pełne emocji, ale to niezapominanie, to powstrzymywanie, to tworzenie mogił.

* * *

Pisałem do ciebie. Po twoim odejściu pisałem przez kilka dni, niemal niczemu innemu się nie poświęcając. Pisałem do ciebie, bo chciałem się poprawnie pożegnać. Chociaż nie wiem, jak miałyby wyglądać poprawne pożegnanie. Możliwe, że to, co przyszło tak nagle, rozciągałem w czasie, powoli oswajając się z mrocznym wydarzeniem i jeszcze przez chwilę, we wspomnieniach, wyobrażeniach, być z tobą. Jeszcze trochę ci poopowiadać. Jak to u nas teraz wygląda i jak bardzo trudno nam funkcjonować.

Pisałem do ciebie, rozpaczliwie próbując odzyskać czas, te wszystkie chwile, w których nie miałem czasu. Były rzeczy ważniejsze. Była przyszłość, w której pokładałem nadzieję. Kiedy zabrakło przyszłości, kiedy czas się skończył, ważne rzeczy wydają się tak mało warte.

Pisałem do ciebie – i nie zdrowiałem, i nie mogłem ciebie przywołać. Nie znam magicznych słów. Nie przestawałem jednak pisać. Z jakiegoś powodu uznałem, że musisz zostać zapisany, że nie możesz zostać zapomniany, ani tylko żyć w naszej pamięci. Zacząłem zastanawiać się dlaczego tak ważne jest to, aby wyrwać cię zapomnieniu. I chyba dlatego, że gdy się spotkaliśmy, byłeś zapomniany, porzucony. I ten czas – on pozwolił chorobie cię zniszczyć. Niepamięć ludzi była częścią tego, na co cierpiełeś.

Nie-wiersz

– Jakiś mały kotek stoi przed płotem – mówię do żony, gdy wracam z ogrodu. Jest ciemno, letnia noc. Upał trochę zelżał, więc psy mogły trochę pobiegać przed snem – Pewnie też by chciał się wprowadzić.

Ten mały czarny cień coś na pewno ode mnie chciał. Mamy jednak za dużo kotów. Niedawno wprowadziła się koteczka. Uznałem to za szaleństwo.

– Na tymczas weźmiemy. Ktoś może ją weźmie. Sama chciała wejść. Nie mogłam nic zrobić – powiedziała żona, trzymając białą-czarną kuleczkę na rękach.

Westchnąłem i zamknęliśmy ją w pokoju. Badania trzeba zrobić. I poczekać. Przecież z Guciem się pospieszyliśmy i teraz tylko problemy. Same problemy z kotami. Gucio jakoś nie może się dogadać z Mrukiem, już od ponad pół roku. Dodatkowo okazało się, że jest chory – jeden z po-

koi ciągle więc zamknięty, by Guccio nie pozarażał innych. I co, kolejny pokój będzie zamknięty? Na jak długo? Trzeba zrobić badania, wszystkie testy. No i nie ma co się spieszyć. Powoli ich do siebie przyzwyczajając. Zresztą to tylko „tymczas”. Koteczka znajdzie kogoś. Na razie nie nadajemy jej imienia. A ten mały, co kręci się w mroku, sobie poradzi. Jest lato. Jest młody, ktoś go przygarnie. My nie damy rady. Jesteśmy zmęczeni problemami z Guciem. Czujemy, że to nas przerasta. Behawiorystka też doradza, chociaż jeszcze nie była. Guccio wciąż chory.

* * *

– Znowu był ten mały przy płocie – mówię. Znowu jest noc. Ciemno.

– Może Wacek?

– Raczej nie. Mały jest. Wacek jest większy.

– Pewnie za Ksenią przyszedł.

– Zejdą się wszystkie z okolicy.

Koteczka ma już imię – Ksenia. Już jej nie chcę oddać. Zobaczymy, mówimy do siebie, jak ją Mrusio będzie znosił. Jest zdrowa, młoda, wszystkim robi noski-noski. Znana w okolicy, ale nikt nie wie, skąd przyszła. Jest lato, wakacje, więc wiadomo, zwierzę to tylko problem. Zresztą, po prostu, kot mógł już się znudzić.

Ksenia nie daje się nudzić. Szaleje w ogrodzie. Czasem pogoni Mrusia, ale dla zabawy. Guccio jeszcze w pokoju – czekamy na wyniki ostatnich badań.

Gdy siedzimy w ogrodzie, pojawia się Wacek – kot wychodzący. Pełno tu takich. Dorodny, młody. Chyba się z Ksenią trzymał, bo coś tam sobie gadają.

– Ten mały może też z Ksenią przyszedł. Może braciszek?

Poradzi sobie. Nie damy rady z kolejnym kotem. Jestem zmęczony. Praca idzie powoli, bo gorąco – no i koty trzeba pilnować. Mała prawie nie śpi. By coś zjadła, trzeba ją karmić z ręki. Mruś na razie jej unika. Też trzeba mu poświęcać czas, by nie poczuł się odrzucony. No i jeszcze psy. Najbardziej spokojne z całego towarzystwa. Chociaż Wilku próbuje się bawić z Ksenią. Nie wychodzi im to za dobrze: nie do końca potrafią się dogadać.

Jest lato. Świat rozświetlony. Młoda kotka goni białego motylka. Psy wylegają się pod wielką, starą czereśnią, a Mruś leży na fotelu

w ogrodzie. Czytam książkę i robię notatki, popalam papierosy i pijam mrożoną kawę – świat przez chwilę jest doskonały.

* * *

Rano wracam z Wilkiem ze spaceru. Koło śmietnika, tuż przy płocie, dostrzegam jakiś ruch: kot. Szybko schował się na działce sąsiadów. I wolno zaczął się oddalać. Dało mi to czas, aby mu się przyjrzeć. Wychudzony. Brudne, pozlepiane futro. Zamarłem. I on zamarł. Na chwilę się zatrzymał i spojrzał na mnie. Z moich ust wydobył się chropowaty odgłos, jakby ból, którego doświadczał przeniknął przeze mnie.

Moment, kiedy skrzyżowały się nasze spojrzenia – coś, co wymyka się słowom. Jakbym doświadczył nagiego cierpienia, tak nieznosnego, że nie można było go zignorować. Jakby w oczach Juliusza zebrało się całe rozczarowanie, wszelkie opuszczenie i doświadczenie jałowości wszelkiej nadziei. I w tym przejmującym momencie, doświadczeniu, które przeszywało i rozdzielało, było wezwanie i oskarżenie. Wyrzut wyrzutka.

– Jejkę, koteczku. Czekać, zaraz ci coś dam – powiedziałem na głos. Przez chwilę patrzył, po czym chwiejnie, wolno zaczął się oddalać.

Pobiegliśmy z Wilkiem do domu. On też wydawał się przemieniony, uderzony całym tym wydarzeniem. Szybko zabrałem saszetkę i pierwsze lepsze naczynie.

Dominika pyta, co się stało.

– Tam jest kotek. Strasznie chudy – wyrzucam z siebie słowa. Głos mi drży. Poczucie, że muszę szybko dać mu jeść, że chwiały się nad własnym grobem.

Na dworze już go nie było. Przez chwilę nawoływałem bez skutku. Pusta przestrzeń, gdzie przed chwilą jeszcze stał. Zostawiłem jedzenie, licząc, że wróci. Po południu miska była pusta. Miałem nadzieję, że to on wyjadł, że to ty, Juliuszku. Dałem następną saszetkę. I miskę z wodą. Bo lato, a dawno nie padało. Wieczorem obie były puste. Dodaliśmy suchej karmy. Wciąż nie mogłem pozbyć się obrazu Juliuszka z głowy. Wracałem do momentu, kiedy na siebie spojrzeliśmy. Liczyłem, że wrócił, że je. I że odżyje. Nabierze siły, przestanie się chwiać.

Rano znowu wszystko było wyjedzone.

– Mam nadzieję, że to ten kotek – mówię po raz kolejny do Dominiki. – On był tak przerażająco chudy.

Martwię się. I to bardzo. Jakbym się martwił o nasze nie-ludzkie dzieci. Widziałem go raz. Przez chwilę, nie dłużej niż minutę. To jego spojrzenie coś ze mną zrobiło. Moment został we mnie. Czułem, że muszę mu pomóc.

* * *

Przez jakiś czas nie widuję cię. Pojawiają się mroczne myśli, że już nie żyjesz. Jedzenie znika. Fakt, że suchą karmę pokochał jeź. Co wieczór zjawia się i wyjada. Wciąż myślę o tobie. I się martwię. Dominika ciebie nie widziała. Zna cię tylko z opowieści, którą ją zamęczam. Tym jednym wydarzeniem – krótkim spotkaniem – ciągle i ciągle odtwarzanym.

Nigdy wcześniej nie pomogłem kotu. Mrusio został sprowadzony przez Dominikę. To samo z Guciem. Ksenia sama się wprowadziła. Nie byłem zresztą miłośnikiem kotów. Wołałem psy. Łatwiej było mi z nimi nawiązać kontakt. Koty są żony, mówiłem u weterynarza, gdy miałem problem z opanowaniem pacjenta. I to pomimo tego, że Mrus przez kilka pierwszych miesięcy siedział niemal ciągle u mnie w pokoju. Tulił się i pomagał w pisaniu tekstów.

Dlaczego więc to tak przeżywam? Nic mnie przecież z tym kotem nie wiąże. Poza krótkim spotkaniem.

* * *

Powoli tracę nadzieję. Wystawiam jednak jedzenie codziennie. I za każdym razem miski są puste. Częściowo sprawka jeża. Tupie do nas co noc.

I widzę ciebie, gdy znowu wracam z Wilkiem. Skulony przy misce. Chcesz uciec. Mówię, żebyś się nie bał, żebyś sobie jadł spokojnie. Chwilę się wahasz. Niepewne spojrzenie. I wracasz do jedzenia. Dławisz się. Taki głodny, myślę Nie przeszkadzam ci. Biorę kolejną saszetkę. Nie ma ciebie, gdy wychodzę. Prawie wszystko wyjadłeś.

Pojawiasz się następnego dnia. Wystraszony, czekasz, aż odejdę od miski. Obserwuję cię z oddali. Czuję ulgę. Będzie jadł, to wróci do zdrowia. Udało mi się odpowiedzieć na wydarzenie-wezwanie. A Juliusz czuje się coraz pewniej. Po kilku dniach już czeka, nie ucieka. Miauczy

szczekliwie i ociera się. Jedzenie niemal że połyka. Taki wygłodzony, myślę. Niewiele widzę poprawy w twoim wyglądzie. Ale dopiero od kilku dni mam pewność, że to ty zjadasz to, co dajemy. Będzie dobrze.

Dopiero teraz dostrzegam, że jesteś ślepy na jedno oko. Odprowadzasz mnie do bramki po skończonym posiłku. Odnoszę wrażenie, że jeszcze czegoś oczekujesz, ale szybko odsuwam od siebie tę myśl. Będzie dobrze. Taka pomoc wystarczy.

* * *

Codziennie czekasz. Gdy wychodzę, podchodzisz i miauczysz. Ocierasz się. Boję się ciebie głaskać. Wstyd mi to przyznać. Może boję się o inne koty. Gucio miał grzyba, więc wiem, ile to zachodu go zwalczyć. Po głaskaniu Kseni też myję ręce – przez jakiś czas. Po tygodniu przestaję. A może to te mity o kotach, co to przenoszą różne zarazy. A ty wyglądasz strasznie. A zaraz jest w tobie tyle piękna.

Pisanie

Jak opowiedzieć historię kogoś, z kim było się tak krótko? Kogoś, kto nie korzysta z naszego – ludzkiego – języka. Jawi się jako niemy. Kogoś, kto mówi do nas zawsze przez nasze ciało – zawsze niewyraźnie. Ile tracimy podczas prób tłumaczenia? W momentach niepewnego przekładu narażonego na zbytne utożsamienie – przecież ciało też nie ludzkie.

* * *

Zastanawiam się, czyja to opowieść. Jakie relacje władzy produkuje? Czy nie wymyślam Juliuszka? A on nie ma żadnej możliwości oporu – i to nie tylko dlatego, że nie żyje?

* * *

Problemem nie jest tylko to, że nie byłem świadkiem życia Juliuszka, a tylko jego odchodzenia. Problemem jest nawet zapisywanie ostatnich wspólnych miesięcy. Nie ma żadnych danych na potwierdzenie prawdzi-

wości moich doświadczeń, moich odczytań zachowań Juliuszka. Może to wszystko tylko moje złudzenia. Może on napisałby inną opowieść.

Nie-wiersz

Wieczorem, kiedy upał zelżał, siedzimy w ogrodzie ze znajomym. Popijamy zimne drinki. Mruk śpi na krześle obok. Ksenia szaleje za ćmami. Psy czekają na przysmaki. Gucio już wychodzi, ale na chwilę. Bo szybko się spala i wystraszony atakuje inne koty. Jest jednak lepiej. Ale wciąż nie dajemy rady. Ja nie daję.

– Jak on jest w takim stanie, to nie przeżyje zimy. Coś planujecie? – pyta znajomy.

Nie wiem. Nie radzimy sobie. Do zimy daleko. W sumie to nie zastanawiałem się.

– Może hotel dla kotów. I da się ogłoszenie. Opłacimy pobyt – odzyna się Dominika.

To od września. Jest sierpień. Jest lato. Są saszetki. Poradzi sobie. Chociaż niepokoi mnie, że wciąż jest taki chudy.

* * *

Słyszę, jak za płotem mała dziewczynka krzyczy „Sio, sio!” – tupie nogą. „To znowu ten kot. Przepędziłam go. Tak to się robi” – mówi z dumą. Babcia ją chwali.

Chcę coś powiedzieć, jakoś zareagować – nic nie robię. To jednak siedzi we mnie. Widzę w dziewczynce monstrum – takie ludzkie, takie obrzydliwe.

* * *

Dostajesz saszetkę, ale dalej miauczysz. Gdy siedzimy w ogrodzie, podchodzisz przez ogród sąsiadów. Psy podbiegają, więc uciekasz. Słyszę, jak sąsiedzi znowu cię przeganiają. „Znowu ten kot”. Na szczęście wracasz. Znowu mówisz, że pełna miska to za mało.

* * *

Coraz częściej rozmawiamy, co robić. Nie ma wątpliwości, że Juliuszek chce, abyśmy go wzięli. Staje przy bramce, chodzi za nami mimo pełnej miski. Coraz trudniej mi to ignorować. Jest koniec sierpnia, a hotel czynny od września. Musimy poczekać. Składam obietnicę. Juliuszek jakby nieprzekonany. Coś mi mówi, może Juliuszek, że nie można za bardzo czekać. Wciąż nie widać poprawy.

Czekać. Chyba nie można czekać.

– Jest kot, co robić? – dzwonię to Dominiki. – Trzeba go wziąć. On chce.

– Wpuść go do ogrodu. Zaraz będę. Schowamy go w suszarni, tam jest też, jakby co ogrzewanie.

To nie jest zły pomysł. Będzie odizolowany od innych kotów i psów, a zarazem będzie pod opieką. Ciepło, bezpiecznie, jedzenie i leczenie. Tymczasem Juliusz staje przy bramce. Otwieram, a on wchodzi powoli. Niepewnie stawia chude łapki. Mówię, aby poczekał. Idę po transporter. I poczekamy na Dominikę. Daję jeszcze miskę. Zjada łapczywie. Jak zawsze. Dławi się. Jak zawsze. I wciąż jest chudy jak był.

Wracam do domu, mając nadzieję, że się rozgości i poczeka. Sam boję się łapać kota. Nie mam doświadczenia. Ani samochodu. Trzeba czekać. Niedługo. Zaraz zabierzemy go do weterynarza.

Pomożemy ci, koteczku. Poczekaj.

– I gdzie kotek?

– Nie ma go w ogrodzie?

– Ale zostawiłeś go po tej stronie? Nie tej zamkniętej?

– No, nie chciałem go spłoszyć. Chodził taki niepewny. Uznałem, że może poczeka tutaj. Nie pomyślałem. Może jeszcze wróci.

Próbujemy zająć się swoimi sprawami, ale co chwila wyglądamy przez okna. Palę papierosy w ogrodzie. Częściej niż zwykle. Jestem zły na siebie. Zastanawiam się, czy go nie spłoszyłem.

Wróci. Na pewno wróci. Ostatnio jest codziennie. Kilka razy dziennie. Tylko czy uda się go złapać? Czy wejdzie do ogrodu? Nie mamy klatki-łapki. Nie mamy za dużego doświadczenia w łapaniu dzikich kotów. Tylko czy on jest dziki?

Chodzę niespokojny. Nie mogę na niczym się skoncentrować.

I widzę, pamiętam to doskonale, gdy zamykam oczy, to widzę całą tę scenę. Nawiedza mnie ona do dziś. Widmowa obecność Juliuszka. Wspomnienia nakładające się na teraźniejszość. Teraźniejszość, która nie wygląda już tak samo.

Wiedzę, przez okno swojego pokoju: jesteś po drugiej stronie u sąsiadów. Szybko zbiegam po schodach, wybiegam na dwór. Wołam, a ty odpowiadasz. Przybiegasz szybko, lekko unosząc się na chudych nóżkach.

Jest w tym wiele radości. Wołam, a on podnosi główkę i widzę to – radość. Przeskakuje zgrabnie nad poprzeczką w płocie. I już jest – mruczy, ociera się. Jakby wiedział, co to wołanie oznacza. W tym biegu jest coś, co ponownie mnie przywołuje. Jakby nastąpiło jakieś połączenie. Coś zmieniło się w świecie: Juliuszka i moim.

Jest radość, a nie mam przy sobie jedzenia. Na spodku, w trawie, jest trochę niedojedzonej saszetki. Juliusz wie, że chodzi o coś innego. Bez problemu daje się złapać. Ja jednak puszczam go przerażony, a on spogląda trochę z wyrzutem. Znowu pojawia się u niego smutek.

Puściłem go, poczułem same kości i jakieś zgrubienia. Te dziwne zgrubienia wywołały we mnie wstręt. Przestraszyłem się. Nie wiem, co to jest. Dziwne uczucie, nieprzyjemne.

Otrząsam się i mówię cicho, żeby się nie bał. Pojedziemy do weterynarza, pomoże mu.

Juliusz podchodzi trochę niepewnie. Ponownie biorę go w dłonie. Delikatnie. Nie wrywa się, mruczy. Jednak gdy próbuję go zapakować do transportera, zapiera się. Boję się, że połamię mu kości, które czują pod palcami. Wypuszczam go. Odchodzi i wraca po chwili.

Otwierają się drzwi i wychodzi Dominika. Sprawnie chwytą Juliuszka i zamyka w transporterze.

Pisanie

Przeglądam pierwszą wersję tekstu, napisaną tuż po śmierci Juliuszka:

Przerywam pisanie. Idę zapalić do piwnicy. Tam nagle zaczynam płakać. Gdy wychodzę, inne kotki zapraszają mnie do zabawy. Wczoraj też były niespokojne. Spały z nami. Chodziły po twoim pokoju, jakby ciebie szukały. Nawet Wilku był przez długo czas spokojny, a przecież wiesz, że teraz przeżywa cieczkę. Siadam do pisania i znowu oczy zachodzą łzami. Patrzę na twoje zdjęcie, które wrzuciłem na Facebook z informacją o tym,

że odszedłeś. Nie mogę przełknąć kawy. Nie jest źle. Pisząc, czuję twoją obecność – nasza kolejna (chciałem napisać ostatnia, ale to nie pożegnanie, to zaproszenie do innej relacji) rozmowa. Chociaż brakuje tego dotyku. Tyle wyrażasz przez dotyk. I tyle rozumiesz przez niego.

Jest mi coraz lepiej, gdy to piszę. Czuję twoją bliskość. Bardziej ciepłą i radosną. Tęsknię dalej, ale już, przynajmniej na razie, nie wybucham płaczem, nie zgina mnie z bólu – nie wyję. Chociaż łzy wciąż zwilżają oczy.

Najtrudniej pisać mi o twoim odchodzeniu. Może napiszę najpierw te fragmenty. Ale czy dam radę? Czy znowu nie rozsypię się? Trochę mnie to pisanie skleja. Będąc na dworze z Bambkiem, spojrzałem na okno – przez chwilę – szukając twojej twarzy.

I ból powraca. Może nie tak intensywny. Nie mogę przez chwilę nic robić. Koncentruję się na pozbieraniu ponownie roztrzaskanego self.

Nie-wiersz

Przygotowuję pomieszczenie dla Juliuszka, a Dominika jedzie do weterynarza.

Suszarnia jest duża, tylko że w piwnicy. Słońce wpada przez małe okno. W katach pomieszczenia nieustannie przesiadują cienie. Przynajmniej jest chłodno. Tak przyjemnie chłodno. Lato nie ma pełnego dostępu do piwnicy.

Ustawiam miski, legowisko. Przynoszę też zabawki.

Nie wygląda to wszystko super. Ale to tylko tymczasowo. Nie mamy lepszego pomysłu. Juliuszkowi zdaje się to miejsce podobać. Mruczy i ociera się o nas, gdy rozmawiamy o tym, co mówił weterynarz. Na razie te i te leki. Dobrze, że wszystko zapisane. Czekamy na wyniki. Ma też dostawać dobre jedzenie. Juliuszek pochłania jedną saszetkę i pół drugiej. Robimy zdjęcie i zostawiamy go, aby sobie odpoczął.

Wrzucam hiromancję na Facebooka oraz wysyłam do schroniska. Może ktoś go szuka. Może się zgubił. Wątpię.

„Juliusz – zaczął się kręcić jakoś po tym, jak Ksenia się wprowadziła. Chudy, że każdą kość czuć, ślepy na jedno oko. Ciągłe się ociera i mruczy. Udało mi się zrobić zdjęcie tylko jak jadł, bo tak to wszystkie rozmazane. Badania w toku. Na izolacji. Możliwe, że się zagubił”.

* * *

– To bardzo schorowany kotek. Może też być bardzo stary.

Na szczęście bez wirusów, żadnych chorób zakaźnych. Chociaż niepokoi to, że nie może mu się kupka uregulować. Leczenie na pasożyty. Leczenie tarczycy.

* * *

Zmieniamy posłania, bo szybko się brudzą.

– Wciąż się nie myje.

– Do mycia to długa droga – odpowiada weterynarz. – To naprawdę schorowany kotek. Wszystko w nim rozregulowane. Tarczycza sprawia, że wszystkie organy pracują na maksymalnych obrotach. Trzeba pilnować leku. Sam nie ma szans, by się zregenerować.

– To dobrze, że go wzięliśmy.

* * *

Pewna rutyna: dać jeść, leki, wodę i pooprztać. Rano, po południu, wieczorem. I spryskać pomieszczenie środkiem uspakajającym dla kotów. Chwilę pogłaskać. Juliuszek jest w łańcuchu rutynowych aktywności wokół zwierzaków.

* * *

Znajomy odwiedza nas. Schodzimy do piwnicy, gdzie siedzi Juliuszek. Znajomy kiwa głową. W takim stanie kota nie wiedział.

– Miał dużo szczęścia, że na was trafił. Co mówi wet?

– Trzeba uregulować tarczycę. No i problemy z wypróżnianiem. Nie wiemy co. Na razie dostaje antybiotyk.

- Bierzecie go na tymczas?
- Nie. Zostanie. Kto by go adoptował?

* * *

– Jeżeli się nie przystosuje – mówi weterynarz – zawsze można mu budkę zrobić w ogródku. Jeżeli to był dziki kot, to może się nie zaadoptować. Ale najpierw trzeba go wyciągnąć, postawić na łapki.

Pisanie

Z perspektywy czasu pisanie nie jest łatwiejsze. Wydobywa to, co codziennie chowam przed sobą, o czym staram się nie pamiętać, co pulsuje tęnym bólem, ćmi, takie przytłumione. Niewyraźne. Nie, pisanie wcześniejsze nie pomogło uporać się ze stratą. Tak myślałem. Przez chwilę w to wierzyłem.

Teraz powoli wycieka – i czuję, jak bardzo słowa są suche. I jak niewiele potrafię powiedzieć. Wszystko mi się też zamazuje. Trudno odnaleźć odpowiednią linię czasową. Nie pasuje mi przede wszystkim to, że zgodnie z kalendarzem Juliusz był z nami trochę więcej niż trzy miesiące. To jest po prostu niemożliwe. Ten czas był na pewno znacznie dłuższy. I znacznie krótszy.

Nie-wiersz

Próbuję pracować, zajmować się kotami – trzeba pilnować Mruka, Gucia i Kseni. Dokacanie to trudny proces. Zwłaszcza, że za pierwszym razem zawiedliśmy. Dodatkowo Ksenia jest bardzo angażującą młodą kotką. Ciągłe zabawy, karmienie z ręki, bo inaczej zapomni i marudzi. A tu gonią mnie terminy. Recenzje, przygotowanie się do oceny doktoranta, książka...

Zachodzę też do Juliuszka. Wciąż mam poczucie, że za krótko. Próbuję czytać w suszarni, ale jest tam za słabe światło. Nie dają rady. Tłumaczę sobie, tłumaczę Juliuszkowi: niedługo dołączysz do stada. Musisz jeszcze chwilkę poczekać. Jesteś mądrym kotkiem.

Jednak on nie do końca daje się przekonać. Coraz bardziej chce wyjść, pójść na górę. Zwłaszcza od czasu, gdy wpadła Ksenia z Mrukiem z wizytą. Wąchali się przez drzwi. Wciąż jednak kupka się nie uspakaja. Weterynarz na razie zaleca ścisłą izolację. Dodatkowo jednolitą karmę. Ta szybko się nudzi Juliuszkowi.

* * *

Pechowy czas – wszystkie koty się pochorowały. Mamy mały szpital w domu. Podawanie leków zajmuje ponad godzinę – ile koty współpracują. A tak nie jest za często. Dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Juliusz też wybrzydza. Okazało się, że nie zjadał tabletek, tylko je wyrzucał. Zdradził się, gdy zrobił to przy mnie. Teraz kruszymy, rozpuszczamy i podajemy strzykawką do pyszczka. Spogląda z wyrzutem i wyglutuje leki. Typowy koci opór. Tłumaczenia nic nie dają.

Moment szpitalny jest wyczerpujący. Prawie nie spędzam czasu z Juliuszem. Tyle co zmienić wodę, podać leki, jedzenie, zagadać – i kolejny pacjent. Brakuje mi energii. Czuję się wypalony. Praca się nawarstwia i nie wiem, jak sobie z wszystkim radzić. Ale to minie. Koty wyzdrowieją. Jest przyszłość. Wspólna.

* * *

Do weterynarza jedziemy na zmianę. Czasami z dwoma, a niekiedy z trzema zwierzakami. Pomimo dodatkowych dochodów konto świeci pustkami.

Tabletki na tarczycę zmieniamy na syrop. Zamawiamy specjalną karmę. Kolejne antybiotyki, kolejne sterydy.

Juliusz ma rozregulowany organizm. Zagazowane jelita. Mruczy, gdy siedzi w transporterze w poczekalni. Nie robi problemów przy wchodzeniu, nie walczy z weterynarzem. Czasami stawia bierny opór. Zwłaszcza przy podawaniu leków. Zaciska buziulkę, nie chce przełykać.

* * *

Juliusz za każdym razem, gdy wchodziłem, witał mnie miauczeniem. Ocierał się o nogi. Z chęcią dawał się głaskać. Gdy go brałem na ręce, wtulał się i mruczał. Raczej nie dziki kot. Musiał mieć kontakt z ludźmi.

* * *

Rutyna – leki, jedzenie, leki, jedzenie, woda, jedzenie, leki... Pospieszam Dominikę. Później niech sobie odpocznie, spieszę się...

Pisanie

Rozpraszam się. Piszę bardzo wolno. Wydobywanie wspomnień, zapisywanie ich w miarę surowej formie – bo inaczej emocje wykrzywają narrację. Pierwsza wersja, pisana jak rozmowa z Juliuszkiem, była bardziej obciążająca, ale też przesączona bólem, tak że utrudniała czytanie. Pisanie o Juliuszku w trzeciej osobie miało mnie chronić, tworzyć dystans, nadawać opowieści bardziej suchy ton. Ale i tak są momenty zastygnięcia.

I nie wiem, czy ten suchy ton jest odpowiedni. Czy dystans jest dobrą strategią? Dobrą ze względu na co?

I nie wiem, czy to jest dobra opowieść. Poprzednia wersja tekstu była czysto terapeutyczna. Nie troszczyłem się o nic. Pisałem to, co się nasuwało. Wypisywałem cierpienie, aby nie osadzało się w ciele. Teraz tamto traktuję jako materiał źródłowy: i przypominam sobie siebie piszącego. I ten widmowy podmiot ponownie mną się staje: rozbitym w obliczu utraty. Zderzony z końcem. Chociaż w pierwszym tekście prawie nic nie ma o śmierci. Pomiąłem te chwile konania, jeżdżenia w poszukiwaniu otwartego weterynarza, stwierdzenie zgonu. To wszystko wymazałem. I nie wiem, czy będę w stanie zbliżyć się do tego momentu. Bo czuję, jak coś mnie ściska w gardle, jak obraz mi się rozmazuje...

Wiersz

Metafory
pokryte futerkiem i mrużące
Raczej dosłowność
która staje się metaforą
Imiona oddające relacje
wszystko
Czupurek
Wronek
Kruszynka

Pisanie

Po kilku godzinach pisania ogarnia mnie przygnębienie. Znowu mi się nic nie chce. Świat wydaje się płaską dekoracją – i nawet nie przejmuję się tym, że to kiepska metafora. Idę z Wilkiem i wymyślam dalszą część opowieści. I pragnę przestać pisać, przestać robić cokolwiek. Może pooglądam serial, może pogram. Coś, co pozwoli mi uciec. Zwłaszcza od siebie. Od siebie piszącego.

Po powrocie ze spaceru kładę się spać. Nie mogę się obudzić. Nie czuję powodu. Dopiero obowiązki wobec innych dzieci mnie ściągają z łóżka.

Oglądam serial, jem duży kawałek ciasta, po czym wracam spać. Już nie piszę tego dnia. Z trudem radzę sobie z przygnębieniem.

Nie-wiersz

Nie czekamy, aż ustabilizuje się kupa. Weterynarz pozwala na przeniesienie na górę, ale mówi, żeby jeszcze nie wypuszczać do innych. Musi się odbudować. Jest jeszcze taki słaby, stłamszą go. Przytakuję. Wciąż niewiele przytył. Prawie nie czuję ciężaru, gdy go biorę na ręce. Kosteczki przeskakują, gdy łapkami chwyta się mojej ręki. Są też dni, gdy chodzi trochę niezgrabnie.

Koty przez chwilę siedzą przed drzwiami pokoju. Wąchają. Juliusz miauczy szczekliwie. Wywołuje zamieszanie w gromadzie. Szybko się

jednak przyzwyczajają. Mruś trochę niezadowolony, że jego pokoik jest zamknięty.

Dalej izolacja, ale już jakby z nami. W oknie w drzwiach widać sylwetkę Juliuszka. Można zagadać przy okazji. I można wspólnie siedzieć.

* * *

Siadam na sofie, a Juliusz krąży, miauczy i ociera się. Nagle wskakuje na kolana. Ugniata. Ma ostre pazury, to trochę się krzywię – bo boli. W końcu wtula się i mruczy. Słyszę, jak przewraca mu się w brzuchu.

Na chwilę przerywasz tulenie – idziesz do kuwety. Zgina cię w trakcie. Wracasz. Przytulasz się znowu.

* * *

– To nie mógł być dziki kot. Zobacz, jak sobie radzi. I tak bardzo lubi się głaskać.

– Myślisz, że ktoś go wyrzucił?

– Może. Może zmarł mu właściciel. Albo ktoś nie chciał go leczyć.

* * *

Chcę wstać. Juliuszek obejmuje mnie chudą łapką. Wtula główkę. Tłumaczę, że muszę iść. Trudno mi odejść. Ten gest, taki wymowny, taki ciepły, miękki i futrzasty. Nie sposób go źle zinterpretować.

* * *

Leczenie jest trudne. Wie o tym każdy, kto dzieli życie z kotem. Wprawdzie syrop regulujący tarczycę nie jest zły, to antybiotyki nie są do zaakceptowania. Nie wiemy, ile z tego, co dostaje, przyswaja. Juliusz patrzy z oburzeniem jednym okiem, zaciska pyszczek, czasami próbuje odsunąć łapką nasze ręce. Potem jest obrażony. Z pyszczka wypływa glut. Wcześniej robił tak Gucio. Wreszcie się przyzwyczał. Po kilku miesiącach. Nawet to wyglutywane leczenie jakoś tam pomagało.

– Wyniki są trochę lepsze, ale wciąż dalekie od normy. Porcje syropu proszę podawać na dwa razy: rano i wieczorem. Najlepiej strzykaw-

kę wkładać aż do samego gardła. Co do karmy, to spróbujemy przez miesiąc podawać...

Specjalna karma, której nazwy nie jestem w stanie wymówić, której prawie nie można dostać. Dominika zamawia z Niemiec, kilka puszczonek podsyła ktoś w odpowiedzi na ogłoszenie. Udaje się dostać suchą karmę. To rozrabiamy z wodą. Juliusz nie jest przekonany. Trochę je, ale niewiele. Marudzi, płacze, domaga się czegoś innego.

– Dla twojego dobra – mówię.

Nie wydaje się przekonany. Chodzi wokół pełnych misek i miauczy żałościwie. Nie chce się za bardzo tulić.

Nowa karma nie przynosi poprawy. Wciąż ma rozwolnienie. Wciąż słychać, jak mu się przewraca w brzuszku. Wciąż robi poza kuwetą.

* * *

Czytamy razem, czasami razem podsypimy. Może za rzadko. Tyle mam pracy. I wciąż liczę, że niedługo będzie mógł chodzić swobodnie. Czuję wyrzuty sumienia. Wtedy i teraz.

To jest jedyny pokój w domu, w którym nie działa internet, a potrzebuję być podłączony podczas pracy. Więc tylko w przerwach. Kiedy siedzę z Juliuszem, inne koty siedzą przed drzwiami i patrzą z wyrzutem.

Niedługo, mówię do siebie, mówię do Juliuszka, niedługo skończy się izolacja. Będzie łatwiej – wszystkim.

Wciąż się boję go wypuszczać. Mam wrażenie, że gdy któryś na niego skoczy, to go połamię. Gucio ma prawie osiem kilo. Juliuszek – niecałe dwa.

* * *

Wracam z pracy. Dominika mówi:

– Juliuszek dzisiaj uciekł z pokoju.

– I co?

– Nic. Przeszedł koło piesków.

– A koty?

– Też go nie ruszyły.

* * *

Zwiedzamy dom, gdy koty śpią. Juliusz podziwia pokoje. Mruczy zadowolony. Rozgląda się. Sprawdza. Czuje się trochę zagubiony, gdy go biorę na górę. Powtarzamy zwiedzanie kilka razy. Potem Juliusz coraz częściej ucieka z pokoju. Dominika stwierdza, że może zacząć go wypuszczać. Ja trochę się boję. Stwierdzam, że może poczekamy, aż się sprawy z trawieniem u niego ustabilizują. Spytam weterynarza, skonsultuję się. Trzeba na pewno pod kontrolą. Nie jestem przekonany, boję się, że coś się mu stanie. Ksenia lubi bawić się z innymi i czasami mocno przydusza czy tłucze – to jeszcze młoda kotka, trochę nie zrównoważona. Z psami też próbuje się bawić, ale one nic nie czają.

* * *

Leżymy razem. Juliusz wtulił łepkę w moją dłoń i podsypią. Co jakiś czas jego ciało drży. Budzi się, gdy sięgam po książkę. Wtula się i pracuje łapkami. Spogląda jednym okiem, takim pięknym, o niespotykanej barwie. Poprawia łapką czuprynkę. Wciąż się nie myje. Tylko łepkę – poprawia fryzurę. I od czasu do czasu wyszarpuje kołtuna.

Zastanawiam się, jak to się stało, że znalazł się na ulicy. Nie znam historii żadnego z dzieciaków, poza dziejami Wilka, który jest z nami od początku. Czasami opowiada o ich przeżyciach zachowanie. Czasami ciało. Złe sny, które męczą Bambka – nie wiem, co się w nich dzieje. Jego wycofanie. Lęki Gucia, dystans Mrusia.

Juliusz wydaje się twardzielem. Nie ma w nim lęku. Jest dużo spokoju. Nawet gdy się awanturuje. Patrząc na jego futerko i stan, w jakim jest, to musiał długo żyć na ulicy.

– Czy ci ludzie zmarli, a spadkobiercy uznali, że nie masz wartości? Czy ktoś nie chciał płacić za twoje leczenie? Ludzie bywają podli – a swoją podłość uzasadniają własną wyjątkowością. Znaczący są wyjątkowo podli. Powiedz, jak to się stało? Jak można było się pozbyć takiej słodkiej kruszynki? – zagaduję Juliuszka.

On nic nie mówi. Podbija łepkiem rękę.

Lepiej głaskać. Nie ma co rozważać tego, co było. Pokój wypełnia mruczenie.

* * *

Miałem dzisiaj posiedzieć z Juliuszem, ale nie dałem rady.

Zajęcia na ósmą, a samochód zepsuty. Trzeba wstać o piątej, aby wyrobić się z dziećmi. Wracam około trzeciej, zależy, jak uda się złapać autobus. Spacer, karmienie. Obiad. Jest około siedemnastej. Trzeba brać się do roboty, bo projekt, bo zajęcia – kilka nowych rzeczy mam. Ksenia chce się bawić. Zamykam drzwi. Muszę pisać. Juliusz miauczy. Wilku szczeka. Ksenia płacze. Wieczorem leki. Jestem zmęczony.

Bywam taki zmęczony ostatnio. Przytłacza mnie wszystko.

* * *

Juliuszek za drzwiami. Miauczy. Zaraz, zaraz, mówię. Tylko psy, tylko nakarmić. Zaraz, zaraz do pracy. Później, później... jeszcze będzie czas.

* * *

Za drzwiami cisza. Niepokoję się. Juliuszek śpi na pościeli na parapecie. Lubi to miejsce. Wstaje, trochę się chwije.

Za każdym razem, gdy jest cicho, boję się otwierać drzwi.

* * *

– Gdy go pierwszy raz u was zobaczyłem, to myślałem, że nie da rady, że nie przeżyje. A widzę, że ma się nieźle. Co mówi wet?

– Możecie wyciąć mu te kołtuny.

Juliusz chodzi wokół znajomych. Ociera się i mruży. Wskakuje na szafkę i siada na parapecie.

– Zwinny jest.

– A jak szybko wieje, jak uda mu się uciec z pokoju.

– Niesamowity.

– Mała poprawa. Ma czasami gorsze dni. Musimy spędzać z nim więcej czasu.

– Potrzebuje tego.

* * *

Planuję, że będę go brał do siebie, gdy pracuję. Muszę tylko ogarnąć pokój. Brakuje jednak czasu. Wciąż zaległości. Wciąż projekty, zajęcia, dodatkowe godziny, obietnice recenzji. Wizyty u weterynarza, czekanie na autobus, stanie w kolejkach, spotkanie online i in-person. Dokumenty do wypełnienia, umowy do podpisania, umowy do zrealizowania. Przekładanie na jutro. I na jutro.

* * *

Masz złe dni. Wtedy boję się otwierać pokój. Siedzisz na parapecie i reagujesz dopiero po chwili. Nie miauczysz. Krok masz niepewny i powolny. Gdy zasypiasz, to trzęsiesz się przez sen.

* * *

W dobrych chwilach stawiałeś sobie czupurka, skakałeś na kolana i chudymi łapkami ugniatałeś ubranie. Wyglądałeś przez okno. Biegłeś na przywitanie. Wstawałeś i darłeś się wraz ze wszystkimi. Zwiedzałeś mieszkanie. Nawet raz się bawiłeś sznurkiem wraz z innymi kotami. Domagałeś się jedzenia i kaprysiłeś, że znów to samo. Wypluwałeś tabletki, bo już jesteś zdrowy.

Wiersz

Przyszłość
jasna i pogodna
malowana dziecięcą ręką
naiwne uzasadnienie
teraźniejszego nie-bycia

wytarta wymówka
i niespełniona obietnica

Przyszłość
wieczna możliwość
już wyczerpana
drażny aktualne dni

karmiąc się tym
co odbiera

Nie-wiersz

– Odbudowują mu się mięśnie. Kupka mu się unormowała. Cukier też już w normie. Za miesiąc zobaczymy tarczycę.

Nowa dieta przynosi rezultaty. Wołowina. Juliusz się ucieszy, powiedziałem. I rzeczywiście cieszył się przez chwilę. Potem, jak zawsze, znudziła mu się. Chodziłem po sklepach, wyszukując różne rodzaje. Spóśób gotowania też miał znaczenie. Nie mogła być za sucha.

* * *

Zaczyna wychodzić. Oczywiście pod kontrolą. Bo dieta, a Juliusz tylko czeka na okazję, aby wyjść to, co mają inne koty. I nie wiadomo, jak one zareagują. Trochę mnie to pilnowanie irytuje. Zwłaszcza, że uwagi domagają się wszyscy. Bambuś płacze, że chce wyjść, chociaż dopiero co wrócił. Ksenia chce się bawić, chociaż bawiliśmy się przez godzinę. Mruk marudzi, że głodny. Wilku szczeka na Bambka. Gucio grozi piąstką innym kotom i pilnuje misek.

Stoję wśród zgrai – w tle słyszę głosy, że trzeba czytać i pisać. Próbuję czytać i jednocześnie pilnować. Najważniejsze teksty są na komputerze. W papierze bardzo poboczne, mniej istotne. I też ciągle się rozpraszam.

* * *

Juliusz wychodzi na coraz dłużej. Mruk, Ksenia i Gucio wachają go. On miauczy. Dają mu spokój. Raz tylko Gucio zrzuca go ze stołu. Gucio jest na misji pilnowania jedzenia. Ksenia zachęca Juliusza do zabawy – ale ten nie wykazuje zainteresowania. Daje mu spokój.

* * *

Oglądamy razem serial. Ksenia jest trochę zazdrosna. Ty się wtulasz. Ksenia się przyzwyczai. Wskakuje i przez chwilę oglądamy w trójkę. To był najlepszy odcinek. Bardzo wymruczany.

* * *

Koty biegają za sznurkiem. Juliusz też chwyta. Cała czwórka się bawi. Jestem szczęśliwy.

* * *

– Bawi się. Ładnie je.
– Cukier też spada. Bardzo dobrze. Utrzymamy dietę. Wyniki krwi lepsze, ale wciąż daleko od normy.
– Wciąż się nie myje. I dużo pije.
– To może przez cukier. Zmiana diety. Saszetki to prawie sama woda. Proszę obserwować. To, że robi rzadziej kupkę, to też nic takiego. O ile nie wykazuje, że coś go boli.

Wychodzimy od weterynarza podbudowani. Juliusz już spokojnie cały czas porusza się po domu. Zamykamy go tylko na noc. Ale i to nie zawsze. Dużo zależy od nastrojów kotów. Gucio jest na noc zamykany, bo wciąż się spala w relacjach z innymi. Ogólnie jednak zaczyna się układać.

* * *

Juliuszek wchodzi do sypialni. Trochę śpi w łóżku. Mało się teraz tuli, bo ma cały dom do ogarnięcia. Tyle nowych rzeczy. Brakuje mi wspólnego tulania, ale nie przeszkadzam. Spędza z nami czas. Jak przychodzą goście, to nie ucieka. Siedzi w pobliżu wraz z innymi. Znalazł sobie miejsce.

* * *

Wieczorne karmienie. Gotuję kolację. Ksenia łązi po blacie, Juliusz kręci się przy nogach, wdrapuje na szafkę, miauczy i skrzeczy. Psy przyglądają się obu kotom. Gucio na stole czeka cierpliwie. Mruk przechadza się dostojnie.

Tak co wieczór. Później karmienie na przemian kotów. Wszystkie mruczą, pochłaniając wołowinę. Psy czyszczą miski.

* * *

Nawet nie wiedziałem, że tyle jest rodzajów wołowiny. Kupuję trochę tego, trochę tamtego. Część mrozimy. Niektóre zjadasz chętnie. Inne tylko trochę. Karmię cię. Ciamkasz i miauczysz.

Życie się toczy powoli. Powoli nabierasz siły. Wciąż się nie myjesz, ale to tylko kwestia czasu...

Pisanie

Zastanawiam się, czy to, że Ksenia tak mi przeszkadza w pisaniu tego tekstu, wynika z tego, że ogarnia mnie ciemność, że chce mnie wyciągnąć. Na pewno jej obecność ułatwia, jak i utrudnia tworzenie tekstu. Ale tak jak słowa, tak inne osoby nie są w stanie wygnać pustki, tej wyrwy po czyjejś obecności. Tego negatywnego bycia. Śladu, który jest brakiem. Tego nic, które jest. I z którego wyłaniają się widma. Pisanie próbuje zamknąć, zaszyć ranę w rzeczywistości. A może próbuje robić coś innego. Nie wiem, w każdym razie nie pomaga i z chęcią bym przestał pisać – ale czuję się zobowiązany do dania świadectwa, do zapisania Juliuszka. A może to zobowiązanie to po prostu bunt, niezgoda na jego nie-bycie?

Nie-wiersz

Juliusz siedzi przy fontannie dla kotów. Wpatruje się w wodę. My kończymy jeść obiad. Dzieciaki przestają żebrać, gdy odkładamy z Dominiką naczynia do zmywarki. Julek dalej przy fontannie. Zagaduję go, a on nagle się wykrzywia dziwnie. Ciało skręca się i Juliuszek pada na plecy. Sztywny. Nie rusza się.

– Do weta, szybko – mówię.

Juliuszek podnosi się. To dobrze. Myślałem, że już po nim. Że się dosłownie przekreślił.

Chwila i z samochodzie. Trochę przekraczamy prędkość.

– Jak on?

– Dobrze. Chyba wszystko dobrze.

U weterynarza kolejka. Zajmujemy swoje miejsce i obserwujemy Juliuszka. Siedzi spokojnie. Jakby nic się nie wydarzyło. Ja jestem niespokojny. Nie wiem, co się stało. Czy nie powinniśmy domagać się natychmiastowego przyjęcia? Chodzę w jedną i drugą stronę, z trudem oddycham.

Nagle Julek znowu się wykręca. Prosimy ludzi, aby nas przepuścili. Zgadzą się.

Wchodzimy do gabinetu. Wyciągamy kota. Stawiamy go na ziemi, a on idzie spokojnie. Weterynarz nie dostrzega niczego niepokojącego. Co to mogło być? Trudno powiedzieć. Może reakcja na lek. Teraz Juliusz reaguje normalnie. Poprawnie.

* * *

Juliusz porusza się swobodnie. Trochę więcej czasu spędza przy miskach. Może nie smakuje mu wołowina. Szybko się nudzi. Pije też z każdej miski. Mruś też tak robił na początku, gdy się wprowadził. Znaczą się, gdy już doszedł do siebie.

* * *

Juliuszek niemal nie odchodzi od miski z wodą. Na chwilę wskakuje na kolana i zaraz złazi. Pije i siedzi. Dużo też śpi w domku-drapaku. Mijam go za każdym razem, gdy idę do kuchni. Czasami odpowiada spojrzeniem. Niekiedy widzę tylko szare futerko.

Emocje, zmęczenie, koty dużo śpią. A to też kotek chory.

* * *

Coś dużo pije. I wciąż nie chce jeść. Siedzi przy miskach.

* * *

Idę na zajęcia, a Dominika wiezie Juliuszka do weterynarza. Coś mi nie pasowało w jego zachowaniu. Niepokoję się. Tuż przed wejściem do sali telefon od Dominiki. To nerki. Nie pracują. Został nawodniony, dostał karmę – zobaczymy. Wszystko zależy, jak będzie z leczeniem. Nie dociera to do mnie. Myślę, że to nic, to tylko nerki. Podczas zajęć nie mogę się skoncentrować. Gubię wątki, zapominam słowa. Ale jakoś idzie do przodu.

Gdy wracam do domu, Juliuszek siedzi skulony przy miskach. Biedaczek taki. Ale je karmę. Wieczorem jakby odżywa, jednak krok ma cały czas chwiejny.

* * *

Siedziałeś jak taki sierotek przy tych miskach z wodą. Myślałem, że pilnujesz. Ale gdy nie wykazałeś zainteresowania kolacją, zabraliśmy cię do weterynarza. Byłeś taki osowiały, smutny. Okazało się, że nerki nie pracują najlepiej. Wciąż jednak miałem nadzieję. Chociaż gasła wraz z tobą.

* * *

Dwa dni przed twoją śmiercią, kiedy już źle się czuleś, miałeś nagły przypływ sił. Znowu spoglądałeś bystro. Zjadłeś całą saszetkę. Mruczałeś, gdy cię głaskałem, i tuliłeś się. W tej chwili, która rozbudzała też moją nadzieję, że wszystko będzie dobrze, wskoczyłeś na parapet i wpatrywałeś się w krajobraz za oknem. Jakbyś coś dostrzegł. Rozglądałeś się uważnie. Ksenia dołączyła do ciebie, ale po chwili odeszła, stwierdzając, że nic tam nie ma ciekawego. Dla ciebie było.

– Zobaczysz: jak będzie ciepło, to posiedzisz sobie z Mrukiem w ogrodzie. Będziecie sobie grzać kosteczki w słońcu. Całą ekipą będziemy siedzieć.

Mruknąłeś.

Przekonywałem siebie, ciebie, świat. Głos mi trochę drżał.

* * *

- Wczoraj zjadł ze dwie saszetki.
- To dobrze.
- Co można jeszcze zrobić?
- W poniedziałek zobaczymy, czy kuracja pomaga. Na razie karma na nerki i leki.
- Jakie są szanse?
- Zobaczymy w poniedziałek.

* * *

Wracamy do domu. Juliuszek trochę osowiały. Chwieje się na nóżkach. I nie chce jeść. Małutki bochenek znowu przy miskach. Coś mi mówi, że to rozstrzygający dzień. Sobota. I coś mi mówi, że ostatni.

Próbuję namawiać do jedzenia, ale Julek odwraca główkę. Ma takie smutne spojrzenie. Wtulam się w niego i mówię, że wszystko będzie dobrze. Trudno mi w to wierzyć. Zwłaszcza, gdy chowa się w krytej kuwecie i tam zwija w kulkę. Jestem przerażony.

Daję mu spokój. Może chce odpocząć.

Siedzę w pokoju na pięttrze. Próbuję czytać, chociaż nie rozumiem słów. Nagle słyszę, że coś się skrobie po schodach. Julek, przewracając się, idzie w moją stronę. Biorę go na ręce. Siedzi na kolanach. Mruczy. Głaszczę go, a ciało moje przenika niezidentyfikowany ból.

Spędzamy tak jakiś czas. Nagle zeskakuje i idzie pić wodę. Potem wchodzi do pokoju Dominiki. Jest tam chwilę i schodzi na dół. Chowa się w domku. W głębi.

* * *

– Zamknę go na noc – mówię do Dominiki. – Żeby mógł sobie odpocząć.

Siedzi na kartonowym drapaczku. Dalej odmawia jedzenia. Ale wzrok ma jakiś bystry. Jakby na chwilę poczuł się lepiej. Mimo to ma łzy w oczach. Staram się nie okazywać lęku, odsuwam myśli, że to ostatnia nasza wspólna chwila – takiej natrętnej, takiej mrocznej – nie mogę, nie mogę się poddać. Nie mogę stracić nadziei.

– Jesteś silnym kotkiem. Zobaczymy się rano, kochanie. Tak, odpocznij sobie.

Juliusz spogląda na mnie ze spokojem, z dziwnym pogodzeniem się i tak, jakby mówił – nie martw się, było fajnie. To spojrzenie, to pocieszenie, pogodzenie i... nie wiem, jakby, że nie czuje, że go zawiedliśmy, że wszystko jest tak, jak być powinno...

Nie mogę zasnąć. Chciałbym położyć się w pokoju Juliuszka, ale to by potwierdziło moje obawy, to by znaczyło, że zgodziłem się na jego odejście. Nie, wszystko będzie dobrze. Rano...

Pisanie

Te fragmenty – ostatnie chwile – pisze się najgorzej. Nie daję niemal rady. Są najbardziej plastyczne. Każde słowo wywołuje obraz. Jakbym przenosił się w czasie. Jakby Juliusz tu był.

Jakbyś był.

* * *

Znowu płaczę, gdy piszę. Nie mogę nic przełknąć. Nie mogę nic zrobić. Nie mogę dalej pisać...

Nie-wiersz

Rano cisza... Idę z Bambkiem, bo płacze, skacze na drzwi. Potem szybko z Wilkiem, bo też się domaga.

Jeszcze w kurtce wchodzę do pokoju Juliuszka. Nie widzę go na parapecie ani na szezlongu. Dopiero po chwili dostrzegam go między ścianą a szafą. Leży i nie reaguje. Jego ciało porusza się, jakby z trudem łapał oddech. Biegnę na górę i krzyczę do Dominiki, że Juliuszek umiera.

Głaszczę, tulę się do niego, i mówię, że wszystko będzie dobrze. Chociaż wiem, że już się go nie da uratować.

Dominika wyszukuje weterynarza, który ma gabinet otwarty w niedzielę. Jedyne od dziewiątej.

Biorę kocyk i otulam Juliuszka. Gdy podnoszę go, wylewają się mi na dłoń odchody. Główka zwisa. W samochodzie czyszczę mu futerko.

Wiem i nie wiem, że nie żyje. Nadzieja miesza się z rezygnacją. Głaszczę go nieustannie i płacząc.

Weterynarz zamknięty. Dopiero od dziesiątej.

Juliusz nie oddycha.

Dzwonimy do Tęczowej Krainy.

Gdy dojeżdżamy, chcę wziąć Juliuszka. Widzę, że oddycha. Oddycha czy nie oddycha? Jest już dziesiąta. Jedziemy, bo Gugała otwarty. Nadzieja znowu szarpie moim ciałem. Może się uda. Może jeszcze to nie koniec.

U weterynarza mówię z dziwnym spokojem.

– Chyba kot mi umiera.

Wpuszczają nas bez kolejki. Stwierdzenie zgonu. Już jakiś czas temu.

Zastanawiam się, czy widzieliśmy się rano. Czy już wtedy nie żyłeś?

Czy umarłeś, gdy brałem cię na rękę?

Weterynarz nie udziela odpowiedzi. Mówi, że to trudno stwierdzić.

Drugi weterynarz milczy.

Odwołuję zajęcia. Nie jestem w stanie funkcjonować.

W domu zalega cisza. Wszyscy śpimy.

Wpis blogowy

O twojej śmierci napisałem w imieniu Wilka:

Spieszmy się kochać braciszków (i siostrzyczki)

Juliuszek był najmłodszy i najstarszy. Wprowadził się do nas latem. Pod sam koniec lata. Przez długi czas go nie widywałem za często. Ale słychać to go było. Miał głos. I charyzmę. Nikogo się nie bał. Respektowałem go. I cały gang też.

Szósty – nikt nie miał nic przeciwko niemu. A i on nie za bardzo. Raz czy dwa dostałem łapkę. Bez agresji. Raczej kontrolnie. Każdy ustala własne granice.

Czasami mu wyjadałem jedzenie. Trochę się irytował. Chyba, że już nie miał na to ochoty. Tego leczniczego żarcia, znaczy się, nie jadłem. Raz spróbowałem. Rację miał Juliusz, że niedobre. Wszystko, co dla zdrowia, jakieś takie paskudne. Rodzice mówią, że trzeba. Nie byliśmy co do tego przekonani.

Juliusz był spoko. Nigdy go nie przeganiałem. No może raz, nim się wprowadził. Próbował przejść przez ogrodzenie, a ja nie wiedziałem, czy rodzice pozwalają. Potem, jak z nami zamieszkał, to już nigdy. Bo on doby kot, a ja dobry pies.

Snuliśmy plany podziału władzy. Między trójkę albo czwórkę, bo nie wiadomo, jak tam z siostrą (trudny temat) mieliśmy dzielić wpływy. Nabierał już masy. Nabierał siły. Pierwszy był na śniadaniu i kolacji. Wyjadał najlepsze kawałki mięsa. Pozwalałem, bo chory, bo musi nabrać sił. A i tak starczy dla wszystkich. Zresztą, kto by go odgonił.

Jednym okiem ogarniał wszystko. Zmierzwiona czupryna i zawa-
diacka mina. A jak coś, to rzucił taką wiązanekę, że szło w łapki.

Przeżył wiele. Nie chciał o tym opowiadać. Liczyło się dla niego tu i teraz. Że dobra miejscówka; że żarcie (raczej) nie najgorsze; że dbają i traktują jak należy. Narzekał czasem na ograniczenia. Wszystko przez tych wetów. Kiwałem, też tego nie lubiłem. Niby dla naszego dobra, ale taka kontrola to bywa irytująca.

Nie zdążyliśmy się dobrze dogadać. Odszedł. Teraz jest tak cicho i pusto. Czujemy zapach, wspomnienia – jakoś sobie radzimy. Mamy ducha teraz w rodzinie.

Cytat

Czytam *Być ze świata*, gdzie autorka przytacza słowa poetyki napisane po śmierci dziecka:

Ów nieprzewidziany moment powrotu do zrozumiałego życia społecznego, do jego swojskiej chronologii, zapoczątkowuje wielki smutek. Jeśli jest to ‘przywrócenie’ do zwykłego świata, to z pewnością nie jest przywrócenie, które można świętować⁶⁸.

Nie można się już przywrócić. Trzeba na nowo wszystko ułożyć. I chyba, tak się wydaje, przewartościować. Mój powrót jest taki niepewny, tyle wymaga wysiłku – normalne funkcjonowanie. Nie wiem, czym jest normalność. Widzę świat naznaczony ranami.

⁶⁸ D. Riley, *Time Lived. Without Its Flow Pan*, Macmillan, London 2019, cyt. za: M. Rogowska-Stangret, *Być ze świata*. s. 46.

Wiersz

Pod koniec
Gdy chwiałeś się na chudych nóżkach
Przewyciężyłeś odrętwienie i
Podszedłeś do mnie
Mruczałeś leżąc na moich kolanach
Opowiadałem ci, że latem będziemy siedzieć całą gromadą
w ogrodzie
nie komentowałeś
Gdy wychodziłem, powiedziałem
rano się zobaczymy
Zamruczałeś

Nie doczekaliśmy wspólnego lata
Ty rano odchodziłeś do kocich ogrodów

Teraz
Twój pokój ziele pustką
Chociaż czasami widzę twojego ducha
Gdy wychodzę z domu
Sprawdzam czy nie siedzisz w oknie
Czasami widzę niewyraźny kształt
Przez chwilę
I ciągle
Wracają wspomnienia
Które jeszcze dławią

Wiecznie
Mruczysz w naszej pamięci
I tylko tam się spotykamy

Nie-wiersz

Codziennosc. Jakaś taka inna. Naznaczona raną. Nie-obecnością. Widmami, które blakną. Rzeczy, sprawy, przetrwanie – oddziela znowu od innych, od siebie, od życia i od śmierci. Zajęcia ze studentami, spotkania i pisanie tekstów. Robię to, trochę mechanicznie. A w myślach

rozmawiam z Juliuszem. I muszę się pilnować. Bardzo – bo wciąż i wciąż i wciąż się rozpadam.

Masz teraz swoje miejsce na cmentarzu. Jeszcze tam nie byliśmy. Nie jesteśmy gotowi. Pojedziemy w środek. Postawimy tam też twoje zdjęcie. Myślę, że może to, jak leżysz dostojnie na posłanku na parapecie. Albo to z domku. Mało mamy wspólnych zdjęć. Za to dużo wspomnień.

* * *

– Kot mi umarł.

– Zdechł. Ludzie umierają.

– Umarł. Jestem zmęczony. Zadzwoń później.

Nie mam ochoty na rozmowę. Mam ochotę krzyczeć. Że ludzie zdy-
chają.

* * *

Wczoraj robiłem na kolację kurczaka dla gromady. Ksenia jak zawsze wskoczyła i domagała się karmienia. Spojrzałem na dół. Tam stałaś ty, miauczając i też domagając się karmienia. Przez chwilę dostrzegłem twoją widmową sylwetkę.

To był radosny czas, Juliuszku. Szkoda, że trwał tak krótko. Dziękuję.

* * *

Wtorek, drugi dzień czy trzeci. Tęsknię za tobą najbardziej, gdy wychodzę i patrzę w okna. I ta cisza. Gdy gotuję. Zwłaszcza kolacje. I gdy przeglądam zapasy mięsa dla dzieciaków. Różne rodzaje wołowiny. Rośnie gula. Od niej zaczęła się nadzieja na twoje wyzdrowienia – i nagle załamanie, też chyba przez tą dietę.

Jest tak cicho jak gotuję, jak wstaję. Reszta dzieciaków też jakaś cicha i przybita. Gucio nie wchodzi do twojego pokoju od czasu, kiedy odszedłeś. Tęsknimy. Pamiętamy. Staramy się żyć i radośnie wspominać – to trudne.

I znalazłem dzisiaj filmiki, które nagrałem z tobą, gdy ciebie wzięliśmy. Tak mało zdjęć. Wciąż myślałem o zdrowej przyszłości.

I nagrobek wybraliśmy, zdjęcia – płakaliśmy przy tym.

* * *

Środa. Wciąż pachnie tobą w twoim pokoju. Ścisza mi gardło. I boli. Wciąż nie jesteśmy w stanie posprzątać. Twoja sierść na posłaniu... i cisza.

Rozmawiam z tobą w myślach. Jesteś tam tak obecny, jak nie ma ciebie w rzeczywistości.

* * *

Dzisiaj popłakałem się u weterynarza. Twój doktor pytał o to, jak umarłeś. Chciałem powiedzieć, że jestem szczęśliwy, że byłeś z nami – i nie dałem rady. Wybiegłem z gabinetu.

* * *

– Juliuszek nie chciałby, byśmy byli nieszczęśliwi. Powiedział mi to, gdy go widziałem w noc przed śmiercią. To był dobry kotek. Wiesz, spojrział, jakby mówił wszystko spokojnie, jakby znowu, wiesz okazał swoją miłość, że dobrze było, że nie mam co się smuć. To był dobry ko...

Pisanie

Piszę, bo to mój sposób na życie. Nie zamykam już drzwi. Nie jestem w stanie. Nie ma przyszłości. Są tylko te chwile, wyszarpane z walki o przetrwanie. Momenty współżycia – kruche, tymczasowe i cudowne. Pisanie nie utrwała tych chwil. Może nas od nich oddzielić.

* * *

Pisanie jednak nie leczy. Pisząc, traciłem siły. Proste czynności znowu stawały się trudne do wykonania. Z każdym słowem o Juliuszku świat stawał się coraz bardziej pusty – płaski, milczący i bez znaczenia.

* * *

Przez jakiś czas po śmierci Juliuszka pisałem do niego. Potem przestałem. Tylko w myślach. Nieustannie.

Refleksja

Zastanawiam się, jak to się stało, że przez te kilka miesięcy nawiązałem tak silną więź z Juliuszkiem. Konecki⁶⁹ stwierdza, że ludzie nawiązują relacje ze swoimi nieludzkimi domownikami w trakcie sprawowania opieki, wyjazdów do weterynarza, pielęgnacji. Julek wymagał tego wiele. Ale to nie jest wystarczające wytłumaczenie. Gucia leczyliśmy przez pół roku, a mam z nim znacznie słabszą więź.

Wydaje mi się, że kluczowe było wezwanie, na jakie odpowiedziałem. To pierwsze spotkanie, pierwsze spojrzenie. Coś wtedy się stało, co trudno wytłumaczyć. Nagłe, raptowne, przezwyciężenie obcości. Nagłe, raptowne nawiązanie więzi. Zobowiązanie. Ale nie tylko. Zamiast mówić w kategoriach obowiązków, powinności lepiej użyć słowa miłość.

* * *

Pisanie o Juliuszku wydaje mi się ważne, nawet, gdy nie przynosi terapeutycznych zysków, jest rodzaje interwencji. Myślę o tym pisaniu jako buncie przeciwko takiemu podejściu do innych niż ludzkie zwierząt, które przyczyniło się do tego, że nie udało się uratować Juliuszka. Przypisanie im gorszości, a tym samym ich życie staje się niewiele warte. Często słyszę – „Po co ci kot?”. Pewnie, że trochę dla towarzystwa. Jednak większość już teraz mieszka, bo sama chciała. Potrzebują pomocy, to im się jej udziela. Zwłaszcza, że są jednymi z niewidzialnych mieszkańców.

Sam też długo miałem obojętny wzrok. Koty gdzieś tam się szwendały. Teraz widzę inaczej – i nie wiem, czy one to rozpoznają. Bo pojawiają się i proszą o pomoc. Nie zawsze są ufne. Nie ma co się dziwić – ludzie raczej niosą cierpienie innym stworzeniom.

Wierzę w to, że opowieści nawet jeżeli nie leczą, to ranią. Otwierają rany i dzięki temu czynią nas wrażliwych. Mają moc przemieniania

⁶⁹ K.T. Konecki, *Ludzie i ich zwierzęta*.

naszej sposobów postrzegania, uczucia i myślenia. Chciałbym, aby opowieść ta była raniąca. Była raną, przez którą przemawia inny. I śmiertelną raną kultury, sławiącej ludzką wyjątkowość. Jedną z wielu opowieści próbujących kreować nowe relacje – gdzie nikt nie zdycha, a każdy odchodzi. Nieustannie.

Wiersz

Zostają
puszki dla alergików
saszetki dla kotów z chorymi nerkami
dwie butelki syropu na tarczycę
jedna z w połowie zużyta
miska z wodą
kłaczki na posłaniu
kilka zdjęć

i przyszłość która nie nadeszła

Pojawienie się Grozy

Kiedy zacząłem pisać tę książkę, Groza była na izolacji. W suszarni, gdzie wcześniej siedział na początku Juliuszek. Niedługo ją przenieśliśmy. Tylko zaszczepimy i Mruk zdejmie kołnierz. Trzeba poczekać. Bezpieczniej. Nie ma co się spieszyć. Groza na razie nie chce wychodzić z suszarni. Niepewnie spogląda na to, co za drzwiami.

Przez pierwsze dwa dni chowała się w różnych zakamarkach. Czasami nie chciała ich opuścić nawet na jedzenie. Teraz leży na poduszkach. Bawi się piłeczkami i myszką. Biega za sznurkiem.

I czasami nas pobije. Nie daje się głaskać. Jest wystraszona. Dzikuska.

Kiedy kończę książkę, Groza siedzi na łóżku. W nocy wtula się. Nieustannie domaga się pieczy. Przez rok wykonała bardzo długą drogę, siedząc większość czasu na fotelu u siebie w pokoju. Teraz dzika kotka to kot domowy. Sama się udomowiła.

* * *

Groza na początku pojawiła się jako Wacek. Jakoś w czasie, gdy Ksenia się wprowadziła, zaczął kręcić się wokół szary, młody kot. Uznaliśmy, nie wiem, na jakiej podstawie, że jest czyjś – wychodzący. Dobrze wyglądał, nie tak jak inne uliczniki. Psioczyliśmy na niego, że objada bezdomnych. Pewny siebie. I jeszcze zaczepiał Ksenię. Mało co nie uciekła za nim.

* * *

Wacek zaczął pojawiać się stale, gdy wystawiliśmy zimną budkę i miski – karmiliśmy Kasię, której właściciel zmarł, a spadkobiercy nie mogli podjąć decyzji, czy oddadzą ją do adopcji, czy może zabiorą. Od lata nie mogli. Kotka siedziała w śniegu, w zimnie. Chociaż tak mogliśmy jej pomóc. A przy okazji Wackowi. Niechętnie, bo przecież czyjś. Po co dokarmiać wychodzącego kota?

I jeszcze przegania Kasię. Wszystkich przegania. On tu szefuje.

* * *

Kasia znika. Nie wiemy, czy spadkobiercy się zdecydowali. Trochę ich naciskaliśmy. Przeszali odbierać telefon. Nie pojawiają się też. Może sprzedali dom. Może jednak zabrali kota. Wolę myśleć, że zabrali. Mogli też ją wywieźć, aby wariaci się ich nie czepiali. Mogło się stać wiele innych rzeczy. Kasi nie ma.

Karmimy dalej, bo pojawiają się inne koty. Może wychodzące, może nie. Widzimy, że w nocy przychodzi czarny kot i śpi w budce. Widzę go raz w dzień, przed Sylwestrem, wydaje mi się, że kuleje.

– Jak kuleje, to trzeba go złapać.

– Przed nowym rokiem, bo jak zaczną strzelać, to może przepaść.

– Klatkę-łapkę mogę przywieźć dopiero drugiego stycznia.

Czarny kot jest strachliwy. Ucieka, gdy próbuję podejść. Bez klatki-łapki raczej się nie da. Nie ma szans, by sam z siebie się zgodził. Nie ufa ludziom. A skoro śpi w nocy w budce, to pewnie bezdomny.

Obserwujemy okolicę. Kot nie pojawia się przez kilka dni. Może znalazł lepsze miejsce do przetrwania. Może ktoś go złapał. Może jednak jest czyjś. A może... wpatruję się w biel śniegu odcinającą się od czarnego nieba. Przyjdzie, myślę.

* * *

Wydaje się nam, że są dwa bure koty. Jeden to Wacek, drugi wygląda na zagubionego. Siedzi taki pod samochodem, trzęsie się, wygłodzony – prawie połyka jedzenie. Dwie saszetki zjadł i dalej głodny. Trochę lękliwy. Na pewno dwa? Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że tak, że Wacek ma grubszy ogon.

A ten kot (nowy? Wacek?) czegoś ode mnie chce. Zachowując dystans, patrzy. Miauczy. Podbiega pod nogi, barankuje, gdy stawia się miskę. Pogłaskać się nie da.

* * *

Rozstawiamy klatkę-łapkę, licząc, że uda się złapać czarnego z przetrącaną łapką. Ale go nie widać. Tylko te bure. Dwa. Chyba dwa. Oba łapią się – wypuszczam. I czekamy. Dwa szare nie potrzebują pomocy. Pytam o nie sąsiada – mówi, że to są tamtych ludzi, z ulicy dalej. Oni wypuszczają swoje, a te chodzą tu, bo kury, bo jedzenie. Przytakuję.

Wie pan, prawie byśmy złapali jednego, wydawało mi się, że chce się wprowadzić. Ten jeden, bury. Nie wiem, który z nich.

* * *

Wacek się kręci. Wehodzi na ogród. Ucieka, gdy widzi psy. Spędza czas w pobliżu. Może jednak nie jest czyjś. Może coś mu jest. Tak mi przypomina Juliuszka, gdy siedzi w miejscu, gdzie on czekał na jedzenie. Podobne umaszczenie. Przypomina, otwiera ranę.

Nie jestem przekonany, czy chciałbym, aby się wprowadził. Ani Ksenia, ani Juliusz nie byli planowani. Nie czuję potrzeby kolejnego kota. I nie jestem pewien, czy nas na to stać. Usługi weterynaryjne tak podrożały, że wciąż przekraczamy znacznie dochody – żyjemy na kredyt. I to spory.

Patrzmy na siebie niepewnie. Miauczy. Pewnie znowu głodny.

Wracam do domu, a on idzie za mną. Zatrzymuje się przy bramce. Przeskakuje. Zatrzymuje się przy schodach. Potem słyszę miauczenie. Wyglądam przez okno. To Wacek. Patrzy na drzwi i płacze. Mruk przygląda mu się. Spokojny.

Nie wiem, co robić. Rozmawiam z Dominiką. To przecież cudzy kot. Nie możemy ukrąść komuś kota. Nawet jeśli on chce być ukradzionym. Jest tyle innych, naprawdę potrzebujących pomocy.

Przytakuję. Siadamy do późnego obiadu.

Znowu miauczenia. Jakby głośniejsze. Jakby z innej strony. I dostrzegam, w drzwiach na taras od strony zamkniętego ogrodu siedzi Wacek. miauczy przeraźliwie. Widać go dobrze w oszklonych drzwiach..

– On chyba naprawdę chce się wprowadzić.

Ksenia radośnie biega obok. Zachęca do zabawy.

Robimy zdjęcie i idę na poszukiwanie właścicieli. Dzwonię do domu, który chyba wskazał mi sąsiad.

– My nie mamy kotów. Na tej ulicy tylko tamci mają.

Młoda kobieta podtrzymuje mieszkankę amstafa z czymś innym. Patrzy na zdjęcie.

– Nie, to nie nasz. Nasze są wszystkie teraz w domu. Mamy wychodzące, stare koty. Wszystkie są w domu. To nie nasz. Na pewno.

Wracam. Wacek dalej siedzi przed drzwiami od zamkniętego ogrodu. Bierzymy transporter i klatkę-łapkę.

Wiem, że ogrodzenie, które miało chronić przed kocimi ucieczkami, nie spełnia swojego zadania. Wacek rozmyślił się. Zostawił mi ślady pazurów na ręce i szybko wspiął się na siatkę. Nie zdążyliśmy go zdjąć.

Trudno. Wieczorem jeszcze wszedł na chwilę do piwnicy. Nie na tyle długo, by zamknąć drzwi. Trudno.

Ma w sumie jedzenie. My mamy czas. Zobaczymy, co przyniesie.

* * *

Wacek dostaje jedzenie. Trzyma dystans. Po ostatniej próbie jego złapania trochę się wycofał. Do klatki-łapki nie wchodzi – drugi raz się nie da nabrać. Nie nalegamy. Może się rozmyślił. Nie ma co zmuszać. Kot zdecyduje.

* * *

Wacek siedzi w ogrodzie. Ucieka przed psami. Potem wraca. A potem przestaje uciekać. Wciąż nie daje się złapać. Siada przed schodami. Na zamkniętą część ogrodu nie wchodzi. Zobaczymy, co będzie. Mamy czas. Moje ulubione: się zobaczy.

* * *

Coś ma przy ogonie, jakby jakieś zapalenie, zgrubienie dziwne. Hmm, to by tłumaczyło, czemu chce się wprowadzić. Teraz to nawet trzeba go zabrać do weterynarza. Znowu rozstawiamy klatkę-łapkę. Wacek omija ją. Głupi nie jest. Wie, co to oznacza. Nawet surowe mięso nie jest w stanie go przekonać.

Ociera się i miauczy. Idę do domu, a on za mną. Po schodach, do drzwi. Otwieram – i wchodzi, ale zaraz się wycofuje. Wołam Dominikę i powtarzamy rytuał wchodzenia. Wacek tym razem idzie głębiej. Zamykam drzwi. Kot panikuje, ale udaje się go złapać do transportera. Kot się wprowadził – trafia na kwarantannę.

* * *

Wacek wydawał się pewnym siebie kotem. W suszarni, gdzie wcześniej przebywał Juliuszek, wystraszony chowa się w kącie. Tak przez dwa dni. Siedzi w różnych ciemnych miejscach i miauczy, gdy się podchodzi. Pierwszego dnia nawet nie chciał jeść. Trochę mnie to niepokoi, ale weterynarz mówi, że nie ma się czym przejmować. To minie szybko. Nie trzeba dawać żadnych uspokajaczy. To jest dziki kot. No i nie kot, a kotka.

Groza. Nie Wacek. Nerwowa. Jak coś jest nie tak, to bije. Syczy, wystawiając ostre zęby. Trochę się uspokaja, gdy się do niej mówi. Spogląda czujnie. Jest cała napięta.

Zastanawiam się, czy jej niepewność, strach, który nią kieruje, to efekt tego, że tyle była na ulicy. Ksenia szybciej znalazła dom. Nie doświadczyła mroku, zimna, przemocy. Grozie zajęło to ponad pół roku. W tym jakiś czas życia z pasożytami. Ma rany na ciele. I na duszy.

* * *

Z piwnicy zostaje przeniesiona do pokoju na górze, gdzie wcześniej siedział Guccio. Przez jakiś czas jest w zamknięciu. Potem tylko na noc. A potem już nie.

Pierwsze miesiące spędza na krześle, ruszając się tylko do miski i kuwety. Oczy ma wielkie. Utrzymuje dystans. Boi się innych kotów. Nas. Macha łapką z wyciągniętymi pazurami i krzyczy. Respektujemy jej granice. Nie wiemy też, co robić. Mamy trudny czas, więc przekładamy problem na później. Na razie jest przecież bezpieczna. Może potrzebuje czasu. Jak my wszyscy.

W pewnym momencie zaczyna mnie zaczepiać. Łapie łapką. Niepewnie kładzie się obok. Gdy próbuję głaskać, to odskakuje i syczy. Sama się jednak ociera. Pozwalam na to.

Zaczyna akceptować Mruka u siebie. Inne koty goni. Guccio próbuje się zaprzyjaźnić. Wyrwały jest. I odnosi sukces. Za blisko jednak nie mogą podchodzić. Inaczej wrzask i machanie łapką.

I nagle – Groza wychodzi z pokoju, daje się głaskać, śpi mi na kolanach. Wącha się z innymi kotami. Barankuje. Myje mnie i spędza ze mną czas. Nie wiem, co się stało, ale już nie siedzi sama, już nie odskakuje. No czasami, bo pamięć ulicy szybko nie mija. Ciało reaguje szybciej. Nawyki, które pozwoliły przetrwać.

* * *

Teraz Groza siedzi na kanapie. Bury bochenek patrzy wielkimi oczami na mnie. Głaszczę ją. Mruczy. Po czym kładzie się koło Mruka. Razem śpią na łóżku. Dwa bezdomniaki, które znalazły bezpieczną przystań. Ksenia woli spanie w „czołgu” – legowisku na kaloryferze, z którego co jakiś czas obserwuje sypialnie. Czasami na skraju kładzie się Guccio. Niepewnie wchodzi. Niepewnie się rozgląda. Układa się i wszystkie spokojnie śpią.

Gucio wycofaniec

Gucio po wyleczeniu stał się spokojny. Relacje między nim a Mrukiem częściowo uregulowała Ksenia. Powoli uczy się życia z innymi. Bardzo powoli. Z nami też. Są momenty, że znika, są takie, że kładzie się na mnie lub Dominice i domaga pieśczot.

* * *

– Dalej go państwo zamykają w pokoju? – pyta kobieta, od której go wzięliśmy.

– Tylko na noc, aby mógł odpocząć – odpowiadam.

Wydaje nam się, że tego potrzebuje. Spala się w relacjach z innymi. Czas izolacji pozwala mu ochłonąć. Spokojnie się załatwić, najeść i wybawić. Guccio zresztą nie protestuje. Są dni, że sam idzie do siebie. Chowa się tam przed Ksenią. Kiedy koteczka próbuje się z nim bawić, to on walczy o życie. Zwłaszcza, gdy zakłada mu nelsona. Rozlewa się pod nią, niezgrabny, niekiedy bezradny. To dla dobra Guccia. W mojej pamięci noce są niebezpieczne – to wtedy dochodziło do walk Mruka z Gucciem. Nie wiem, czy zawsze się budziłem.

Przestajemy go zamykać po śmierci Juliuszka. I na razie nie ma powodu, aby wrócić do tego. Guccio sobie radzi – chociaż samotnie. Tupta swoją drogę do innych, którzy czasami jawią mu się niczym bestie, gdy wspomnienia wracają. Kręta droga – nieliniowa.

* * *

– Izolują go. Zobacz, Ksenia i Mrusio trzymają się razem, a jego odtrącają. Dawno nie był u nas na górze.

Guccio ma problemy – stara się, ale mu nie za bardzo wychodzi. Zaprasza do zabawy, a potem się denerwuje i bije naprawdę. Nie potrafi też odpowiadać na zaproszenia innych. Boi się każdego szybszego ruchu: ze strony kotów, psów i ludzi. Nauczyłem się, że jeżeli chcę go pogłaskać, to muszę powoli wyciągać rękę. I nie za wysoko. I najlepiej, gdy nie mam na głowie kaptura. Zakapturzeni są podejrzeni. Guccio za nimi nie przepada.

Wymaga powolnych ruchów. Pewnie dlatego tak dobrze reagował na Juliuszka. Pozwalał mu się wachać. Nie atakował, gdy ten lekko pacał łapką. Bo Gucio musi powąchać, dotknąć – gdy to nie wywołuje żadnej reakcji, wtedy jest spokojny. Na przykład kładzie się obok. Tak się dzieje przy próbach spania w łóżku. Podchodzi do Mruka, powoli, ostrożnie. Wacha go. Odsuwa się. Czeka chwilę. Dotyka łapką. Cofa się. Czeka. Jeżeli Mruk tylko ruszył leniwie głową, albo zignorował Gucia zaczepki, to ten mruczy, ugniata pościel i się kładzie. Jeżeli Mruk się poderwie, wystraszy, to Gucio ucieka. Czasami powygrażają sobie piąchami. Nic straszego.

* * *

Po śmierci Juliuszka Gucio prawie nie wychodził z torby, w której zrobił sobie legowisko. Przez dwa dni leżał tam i tylko jadł i spał. Potem omijał pokój, w którym Juliuszek zmarł. A tam było jego ulubione miejsce do spania. Gdy Juliuszek żył, to zawijał się tam i pochrapywał. Ma tam też zabawki. Wcześniej często się tam bawił. Gucio lubił spędzać czas z Juliuszkiem. Obserwował go, wachał. Czasami delikatnie łapką dotykał jego łepka. Sprawdzał, co Juliuszek robi. Ten miał dla niego wiele cierpliwości. To był pierwszy chyba kot, który nie przerażał Gucia. Bo inne, czasami tak. Zwłaszcza Ksenia, a i Mruka się bał.

* * *

– Coś znowu Gucio nie przychodzi na górę.

– Spędza czas z Bambusiem.

Dwa wycofańce. Dwa nieśmiałe tulaczki. Dwie istotki zmagające się z przeszłością. Niepewne, nieufne – i potrzebujące bliskości.

Gucio nigdy sam nie domaga się pieszczot⁷⁰. Nie jest jak Mruk czy Ksenia, a zwłaszcza Ksenia, potrafiąca brać to, co jej się należy. Jest w nim wiele niepewności. Podobnie jak Bambus potrafi nagle, nie wiadomo dlaczego, wycofać się z relacji, zamknąć w sobie. Zdarzało mu się uciekać przede mną. Coraz rzadziej to robi. Coraz rzadziej odskakuje nagle podczas głaskania.

⁷⁰ To się zmieniło. W momencie, gdy kończę książkę, to Gucio wieczorami przychodzi do łóżka i domaga się pieszczot. Albo nad ranem.

* * *

Słyszę, jak Gucio szaleje z folią termiczną. To jego nowa zabawka. Gucio lubi bawić się samemu. Już nie boi się wędek i rzucania piłek – ale wciąż zajmuje się sam sobą. Mruk i Ksenia wymagają zabawiania. Zwłaszcza Ksenia, która przychodzi, krzyczy na mnie lub skacze – nie da się jej zignorować. I w zabawie trzeba być zaangażowanym. Nie to, że się tam pomacha wędką, trzeba oddać siebie całego. Gucio tak nie robi. Siada w oddali i czeka na zaproszenie. Podobnie przy kolacji.

* * *

Ksenia traca mnie łapka, wrywa z dłoni kawałki mięsa. Biega po blacie, gdy psy siedzą na ziemi i patrzą smutne w oczekiwaniu na swoją kolej. Gucio siedzi na stole i patrzy wielkimi oczkami. Nic więcej nie robi. Jak mu daję kawałek mięsa, to mruczy. I znowu grzecznie czeka. W oddali. Muszę o nim pamiętać. Bo łatwo zapomnieć.

* * *

Są dni, że prawie nie widzę Gucia.

– Mam chyba z nim najmniejszą więź – mówię do Dominiki. Trochę mi głupio. Nie rozdzielałam czasu sprawiedliwie. Ci, którzy się domagają, go otrzymują – reszta czasami, gdy jest nadmiar. Ksenia pochłania go wiele. Milczący, wycofany Gucio gubi się w tłumie. – Wiesz, że go nie lubiłam. Przez te jego napady na Mrusia. Trudno mi było znaleźć dla niego ciepłe uczucia. Teraz widzę, że to dobry kotek – wrażliwy. I niemogący wpasować się do stada. Przez co spogląda ponuro. I mruczy, gdy może spać wśród innych.

Boi się innych, ale ich potrzebuje. Ciepło ciała, miękkość – nie-ciała zadające ból. Sam przecież jest mięciutki, z buzią jak kociaczek, nieporadny taki. Nie wiem, jak był w stanie przeżyć na ulicy.

* * *

Gucio nie wchodzi do mnie do pokoju. Czasami niepewnie zerka. Albo w nocy, gdy nikt nie widzi. Inne dzieciaki nie mają problemu,

by przebywać u mnie. Uważają go za swój. To raczej ja tam jestem gościem. Gucio nie przeszkadza mi w pracy. Nie towarzyszy przy oglądaniu seriali. Nie czyta ze mną naukowych książek ani komiksów.

* * *

Schodzę na dół. Gucio leży przytulony do Dominiki. Mruczy. Bambuś zadowolony na podłodze bawi się kijkiem. Dwa wycofańce – dawno ich nie widziałem u siebie. Głaszczę Bambusia, a Gucio zaczyna się o nas ocierać. Obaj cieszą się dotykiem. Obaj zachowują się, jakby nie do końca na niego zasłużyli – albo gdzieś tam z przeszłości nad dotykiem gromadzi się bolesne wspomnienie dłoni zadającej ból.

Emma – wyrzut sumienia

Trzy psy to za dużo. Kotów można mieć na pęczki i nie jest to takie męczące. Trzy psy to za dużo. Głowa boli od tego szczekania. Trudno się skoncentrować. Trzy psy to za dużo.

Emma nieustannie szczeka. Zasypia, szczekając, a jak się budzi, to zaczyna od nowa. Pewnie to dla niej szok. Pierwsze dni chodziła jak w amoku, potykała się, przewracała, kręciła w kółko i szczekała.

Emma – element dodany z konieczności. Pies, który powrócił z przeszłości, z tej sfery, od której próbuję się odciąć. I który nie może znaleźć sobie miejsca. Chodzi i szczeka. Najchętniej by sobie stąd poszła. Wróciła tam, gdzie wrócić nie może. Jesteśmy na siebie skazani. Emma nigdy dobrze się nie czuła z innymi psami. I poza swoim domem. Teraz nie ma już innego domu.

Trzy psy to za dużo.

* * *

Emma mnie irytuje, denerwuje.

Składam mebel, a Emma chodzi w kółko. Włazi na półki, potyka się, przewraca, podnosi i dalej – w kółko, w takim samym rytmie, ze zwieszoną głową. Jak jakiś popsuty automat. Jakby ją coś opętało. I jakby zaraz miała paść z wycieczenia.

Kręci się i nie reaguje na mój głos. Zatacza takie same kółka, niezależnie od tego, czy coś jest, czy nie jest na ziemi. Mozolnie, uparcie.

Trudno mi to znieść. Budzi to we mnie agresję.

A ona dalej. Coraz częściej się przewraca. Coraz wolniej. Ale dalej, dalej, kółko za kółkiem. W dziwnym otępiałym marszu donikąd.

* * *

Emma jest pomiędzy, chwieje się nad grobem – nagie życie. Uosobienie w przerażającej figurze tego, co chcę wprowadzić do wspólnoty. Abiekt. Nie potrafię jej już kochać. Te myśli mnie przerażają, nie chcę tak myśleć, nie chcę tak czuć – chcę to wymazać. I to, co widzę, i to, czego doświadczam: Chwianie się nad grobem. Stan nie-życia. Ujaw-

nia ten moment, zatrzymuje w obrazie jej ciało – wygięte, chude, jej niewidzący wzrok, drgające łapy. Brak reakcji na głos. Psi muzulman – którego chce się zabić, bo zdaje się i tak martwy. Bardziej tam niż tu. Nie mogę tego znieść – tego obrazu – stop klatki umierania, odchodzenia zatrzymanego w najgorszym momencie. Nie mogę znieść tego, że nie mogę tego znieść.

Może jednak nie na takiej kruchości chcę oprzeć wspólnotę? Nie na stanie w trybie zombie. Nie na braku komunikacji. Bycia poza relacjami, światem, życiem, jakby tylko chwiejnie się zaczepiając o krańcówki, siłą nawyku, zapomnienia o tym, że się żyje. Nie taką śmierć oswoić, uczynić otwarciem. Bo Emma nie otwiera. Snuje się poza dłońią, poza dotykiem. Gryzie, bo ból, bo nie rozpoznaje, co się dzieje. Nie wiadomo, dlaczego szczeka, dlaczego się cieszy. Poza rozumieniem.

Emma to wyzwanie. Zablokowała moje pisanie. Nagie psie życie, gdzieś obok. Powstrzymać się od przemocy. Zezwolić na błędne krążenie. Dać miejsce na powolną agonie. Czy to wystarczy? Dlaczego nie mam dla niej ciepłych uczuć? Juliuszek też się chwiał, też był chudy. Pozornie odrażający, ale nie budził wstrętu. Nie był abiektałny. Może przez błysk w oku – przez to, że reagował. Że był kruchy, ale nie był nagim życiem, nie był zombie. Wciąż bardziej w tym świecie niż w tamtym.

A może tak chcę ją widzieć, bo tak łatwiej? Wiem, że niedługo umrze. Niby wiem to o wszystkich, ale znowu – osvajanie śmierci – ona jest jej najbliższej. To już żywy trup. Ponad szesnaście lat, Każda chwila to moment wyrwany, to nadmiar. I ten stan śmierci jest tak wpisany w jej ciało, w jej zachowanie. Bez błysku w oku – bardzo podstawowe reakcje: jedzenie-wydalanie i spanie. I to nie zawsze. Coraz częściej zapomina o jedzeniu. Wypróżnia się też przypadek. Czy w tej sytuacji moje wycofanie nie jest próbą chronienia siebie – przed bólem nadchodzącej utraty? Lokuję ją w świecie śmierci już teraz, aby nie cierpieć.

Ale nie robię tego z innymi. Wiem, że Bambuś też jest bardzo stary. Mimo to cieszę się z jego obecności. Poza siwymi włosami jest w pełni życia. Cały po tej stronie. Może to dlatego.

A może dlatego, że wciąż relacja do rozumu jest podstawą przynależności do wspólnoty? Tak na prawdę nie uczyniłem jej w praktyce zasadą myślenia o zbiorowości? To by tłumaczyło, dlaczego denerwuję się, gdy ktoś mówi, że jakiś pies czy kot jest mniej inteligentny. Może dlatego tak

podkreślam, że są mądre. Oświecenie trzyma mnie mocno – nie mogę się z niego w pełni wyzwolić. Może Emma pokazuje pozorność mojej koncepcji – jest ona wymyślona, ale wciąż nieucieleśniona, wciąż nie zmieniła wzroku, tego jak dzieje świat, tego jak go widzę i jak w nim działam. I że wciąż wykluczam śmierć. Wciąż o niej próbuję zapomnieć. A Emma nieustannie przypomina. Chwieje się, zbliża się, manifestuje utratą zmysłów, rozumu, zanikiem, rozkładem ciała.

* * *

Zastanawiam się, jak praca ucieleśniania tego, co wymyślone, powinna przebiegać? A może nie do końca to wciąż wymyślone? Doświadczenie śmierci Juliuszka otworzyło, ale też zamknęło. Na Emmę. Bo Emma wciąż przypomina o momencie odchodzenia, a ja chcę pamiętać niepewność chodzenia. Celebrować życie w cieniu śmierci, a nie sam gęsty mrok śmierci i umieranie. Utrata zawsze będzie bolesna.

I widok Emmy sprawia mi przykrość – bo jest konaniem. Ciągnącym się, powolnym konaniem, na które nie ma lekarstwa. Okrutnie powolnym stawaniem się martwym. To ten moment, kiedy już zraszałem futro Juliuszka łzami, wiedząc, że to ostatni dzień, że umiera. Nie mam siły robić tego z Emmą. Zombie tupie – kręci się po kuchni. Nie wiem dlaczego. Po kilkunastu minutach znajduje posłanie. Trzęsie się na nim, patrząc w dal. Gdy schodzę później zrobić kawę – śpi. Zastygła. Powoli, jak w zwolnionym tempie, unosi się jej klatka piersiowa. Śpi. Nie wiem, gdzie więcej przeżywa. Obudzi się wieczorem, na czas kolacji – potem wróci na posłanie. Możliwe, że będzie krążyć jakiś czas po pokojach, przewracając się, węsząc przy ziemi. Nawet gdy na mnie spojrzy, to mnie nie będzie widziała. Czy ja ją widzę?

* * *

Gdy wychodzi na ogród, trzeba ją kierować, bo inaczej się gubi. Delikatnie nakierowuje noga. Ona gryzie kapeć. Na szczęście jest plastikowy, to nic nie czuję. Mówię o tym weterynarzowi. To demencja, odpowiada. I chyba wszystko ją boli, stwierdza. To starość, stwierdza lekarz. Ma prawo.

* * *

Emma czasami staje i macha ogonem. Nie wiem, czy się z czegoś cieszy. Czy to jedynie reakcja automatyczna. Nie wiem nic. Jej oczy są spowite mgłą. Jej umysł też.

* * *

Emma snuje się na granicy, je, śpi, wypróżnia się. Nie ma z nią zbyt dużo kontaktu. Brak dotyku, brak intymności. Jej stare, śmierdzące, powyginane ciało odrzuca. Cień psa, jego widmo. Znajduje sobie spokojne miejsce. Godzimy się z jej stanem. Nic już jej nie pomożemy. W jej przypadku śmierć będzie dopełnieniem długiego życia. W znacznym stopniu ma ją już w swoich ramionach. Gdy się czasami chwieje, to ma się wrażenie, że przewróci się w niebyt.

Emma można powiedzieć, że żyje na kredyt. Ma siedemnaście lat. Chociaż mam wątpliwości co do jakości tego życia. Gdy o tym myślę, napęłnia mnie smutek. Mam nadzieję, że inne zestarzeją się lepiej, że nie będą umierać za życia, powoli tracąc rozum, kontrolę nad ciałem, relacje ze światem.

Stan Emmy próbowałem wyrazić, wczuć się w niego w takim oto wierszyku:

w krainie cieni
prawie
rozmyte kształty
przenikające się
ginące w mroku
obcego świata

rzeczywistość staje się iluzją
iluzja rzeczywistością
nie ma punktów
wyznaczających drogę
tylko mglisty bezkres
wiecznego tuptania
w poszukiwaniu czegoś
o czym się zapomniało

głosów nie niezrozumiałych

pies źle zrobił
pies zrobił
kto co
źle
zrobił
jaki pies
gdzie
pis
źle źle
co jest
źle
jaki pies
zrobił co
gdzie
pies

pies kroczy przez mgłę
przez gęstą mgłę
jaki pies
gdzie

* * *

Emma strasznie chudła pomimo dużej ilości podawanego jej jedzenia. Coraz bardziej się trzęsła. Zdawało się, że coraz mniej kojarzy. Wypróżniała się jakby przez przypadek. Spała w swoich odchodach.

Trzeba było ją zabrać do weterynarza. Minął też czas szczepienia, to przy okazji zapyta się o to chudnięcie.

Lekarz patrzy na nią. Słucha moich opowieści o jej zachowaniu. Zadaje kilka pytań i proponuje eutanazję.

– Rozważali państwo taką opcję?

– Tak.

Pojawiał się kilka razy. Wraz z pytaniem o jakość życia Emmy.. Ponieważ jadła, to uznawałem, że nie jest źle. I też nie byłem pewien, czy to nie jest próba pozbycia się opieki. Czy nie chcę się uwolnić od psa, który niemal nie reaguje, który wypróżnia się gdzie popadnie i którego nie można głaskać, bo chłapie zębami.

Tak, rozważaliśmy. Miałem jakieś przeczucie, że to ostatnia nasza podróż. Może dlatego wciąż odkładam wizytę. Może dlatego byłem taki poirytowany przed wyjazdem.

Przed podjęciem decyzji wykonuję jeszcze telefon do babci. Czy chce, aby Emma miała własny grób, czy też mają ją spalić ze wszystkimi. Sam nie wiem, co robić. Emma jest dla mnie jak oskarżenie – nie potrafiłem jej kochać w tym jej stanie.

Weterynarz mówi, że to dobry wybór, że humanitarne jest poddać ją eutanazji, Emma dostaje zastrzyk. Powoli zasypia. Pierwszy raz odkąd u nas jest, wtula się we mnie. Głaszczę ją po chudym karku. Wydaje się, że zasnęła, ale gdy lekarz bierze ją, ta się wyrывa i ponownie chodzi niespokojna. ponownie wtula się we mnie. Czekamy, aż zaśnie. W końcu zasypia na zawsze.

Czuję się dziwnie – dziwny smutek wymieszany z poczuciem winy i poczuciem ulgi. Pojawiają się pytania, czy nie za długo utrzymywałem ją przy życiu?, czy nie bez sensu się męczyła? Nie powiem, aby ten rok, który spędziła z nami, można uznać za dobry dla Emmy. Tylko czy mógłby dobry? Czy można mówić o jakości życia?

Ulga. Jak wtedy, gdy umarł dziadek – koniec istnienia wypełnionego cierpieniem, koniec upokarzającej egzystencji.

Smutek – bo kiedyś łączyło mnie z nią wiele, a ostatni gest przypominał mi o tym. W ostatniej chwili znowu się spotkaliśmy.

I smutek-wina, że może powinienem spróbować spotkać się z nią wcześniej. Czy ja sam nie skonstruowałem jej sobie jako niemającej pojęcia, gdzie jest i co się dzieje psiny, pozbawionej przez starość rozumu?

Chyba jednak nie – bo obserwowałem, bo nie wchodziła w relacje, nie reagowała normalnie. A czas pogłębiał jej otępienie.

Mimo wszystko – w nocy miałem problemy z zaśnięciem. Nie byłem pewien, czy dobrze zrobiłem. I powracało pytanie, dlaczego nie zdecydowałem się na postawienie jej pomnika? Dlaczego nie odczuwam potrzeby, aby ją upamiętnić?

Może dlatego, że gdy do nas dołączyła, to była już na wpół martwa i wiedzieliśmy, że jej się nie uzdrowi? Może dlatego, że istnieje wiele osób, którą ją pamięta i ma silniejszą więź niż ja? Więcej z nią tak naprawdę przeżyli. Przez większość jej dorosłego życia widywałem ją raz na jakiś czas, dwa czy trzy razy biorąc na krótko do siebie, gdy nie miał się nią kto zająć. Była wspomnieniem, duchem, a gdy zamiesz-

kała z nami, to wędrowała powoli w stronę śmierci. Z każdym dniem dalej i dalej.

I może też to, że wciąż mi o tym przybliżaniu przypominała, może to to sprawiało, że gdy odeszła, poczułem ulgę – nie muszę patrzeć na powolne umieranie, Nie muszę obcować z ucieleśnioną śmiercią, która krąży i krąży po pokojach bez celu.

Odłożyłem delikatnie głowę Emmy na metalowy blat stołu. Wyglądała spokojnie. Wyglądała inaczej – jakby na chwilę wróciła.

– Serce przestało bić – poinformował mnie weterynarz.

Borys – imigrant wojenny z Ukrainy

Nim dołączyła do nas Groza, Dominika zgłosiła się na jakiejś liście, że przygarniemy kota z Ukrainy. Tyle mogliśmy zrobić. Mniej więcej wiedziałem, jaka jest sytuacja zwierząt w trakcie wojny. Raczej mniej, bo z troski o siebie odmawiałem przyjmowania wiadomości o sytuacji w Ukrainie. Te strzępy, które docierały, były wystarczająco przerażające. A i tak nic nie mogłem poradzić.

Przez długi czas była cisza. Zdążyłem o tym zapomnieć, aż pewnego dnia Dominika mówi, że pytają, czy weźmiemy kota. Tyle ich mamy. Dodatkowo inflacja. Ciągłe w długach. Kolejny kot to i czas, i wydatki.

– Damy radę?

– Damy.

– Pomyślę.

Nie jestem przekonany. Tak jak zawsze.

– Mówią, że spokojny.

– Zawsze tak mówią. A powiedziałaś, jaka u nas jest sytuacja?

– Tak. Proponują, byśmy wzięli chłopca.

– Pomyślę.

Siedzę przed komputerem, przeglądam Facebooka. Jakaś informacja o kotach z Ukrainy. Przeczytałem tylko kilka zdań...

– No dobra... Możemy go wziąć.

* * *

Obawiam się, że będzie strauumatyzowany, że trzeba będzie siedzieć z nim w pokoju nie wiadomo jak długo. Oczekuję wyzwania. Trudnej pracy. Nie cieszy mnie taka perspektywa. Ostatnio jestem taki zmęczony. Mam wrażenie, że nie daję rady.

* * *

Jadę na konferencję, a Dominika do Warszawy po Borysa. Dzieciaki pierwszy raz pod obcą opieką. Dobrego znajomego, ulubionego wujka. Mimo to boję się: i o Dominikę, i o dzieciaki. Trochę bardziej niż zwykle. Nie wiem, co mnie czeka, gdy wrócę. Nie wiem, czy dam

radę. To kot ze strefy wojny. Nie wiadomo, co przeżył. Ulica w trakcie wojny jest chyba jeszcze bardziej przerażająca.

* * *

Borys siedzi na szafie. Schodzi jeść. Trochę daje się głaskać, ale widać, że wystraszony. Mija tydzień i wychodzi. Zamykamy go na noc – płacze. Następną noc już zostawiamy drzwi otwarte. Nie płacze. Jest spokój. Nic nie rozprasza mojego płytkiego snu.

Chłopak nie wchodzi w konflikty. Unika zaczepek. Jak coś, to chowa się wysoko na jakieś szafie. Wszędzie wchodzi. W nocy biega z Ksenią i Mrusiem. Czasami z Guciem. Mnie się trochę boi. Czasami kładzie się u mnie w gabinecie: na parapecie, na biurku. Mruczy. W nocy niekiedy wkrada się do łóżka i gdzieś zasypia. Chodzi z podniesioną kitą. Nie wygląda na ofiarę wojny. Chyba jest zadowolony. Ksenia teraz więcej bawi się z nim. Nie muszę wieczorami jej zabawiać. Trochę mi tego brakuje.

* * *

Borys nie reaguje na swoje imię. Zastanawiam się, ile tak naprawdę rozumie. Trzyma się z Ksenią, tak jakby od niej uczył się poruszać po domu. Przybiegają w dwójkę na kolację. Wskakują na blat i trzeba ich karmić, nim poda się reszcie.

Zastanawiam się, na ile zachowanie Borysa jest jego typowym zachowaniem, a na ile to wciąż efekt adopcji. Tak jak Bambuś przez pierwsze parę tygodni zachowywał się inaczej niż teraz – kierowany emocjami czasami z trudem ogarniał nową rzeczywistość. Choć nie wiem, czy nie zakładam jakiejś prawdziwej natury – czegoś poza relacjami. Widzę przecież, jak one się zmieniają w zależności od relacjach, w których udział biorą też inne byty, jak na przykład grzyb w przypadku Gucia.

Na razie odnoszę wrażenie, że bardziej związany jest z innymi kotami niż z nami. I nauczył się znaczenia na pewno jednego słowa: „zupka”, co oznacza, że będzie jedzenie i trzeba biec za człowiekiem. I uczy się czekać na swoją kolej, a nie wyjadać innym z misek. Żaden z kotów tego nie lubi. Czasami mu nawet o tym powiedzą na swój koci sposób.

* * *

Borys zaczął reagować na swoje imię. W stosunku do nas jest wycofany. Lubi przebywać z innymi kotkami. Najmłodszą nawet adoptował – gdy pojawiła się Salomea, to oszalał na jej punkcie. Przez kilka miesięcy byli nierozłączni.

Dzieciak Salomea

Tak jakby trzy psy to było za dużo, to Dominika pojechała odebrać czwartego, którego otrzymaliśmy w spadku. Policja schowała go gdzieś na obrzeżach małego miasteczka. Trudno było trafić. W lesie, na skraju, Dominika zatrzymała się na papierosa. I zobaczyła reklamówkę w krzakach, z której dochodził dziwny dźwięk. Potem zadzwoniła do mnie i powiedziała, abym się nie denerwował, ale wraca jeszcze z koteczkiem.

Nie zdenerwowałem się, tylko przeraziłem. Kiedy ją zobaczyłem, mniejsza od dłoni, taką kruchą. Malutki pyszczek, z którego wydobywał się przerażający krzyk.

– Trzeba do weterynarza, bo ja nie wiem...

Nie wiem, czy nie za mała, czy nie trzeba jakiejś specjalnej opieki. Taka mała, taka krucha, że mam wrażenie, że zaraz się rozpadnie.

Dzieciak zaś nieustannie płacze. Tak, że aż skręca. Może coś ją boli?

Dominika jedź szybko, bo zaraz zamkną. A ja czekam. Nerwowo. Boję się, że jest zbyt młoda, że nie damy rady jej pomóc, że... Jestem przerażony.

* * *

Rutyna – dzieciak do izolatki w piwnicy. Badania na wirusy, paszożyty.

Może już jeść sama – mówi weterynarz. Jest wystarczająco duża. Nic nie zagraża jej życiu.

Nie jestem przekonany. Na razie nie chcę nadawać jej imienia.

Pierwszego dnia schodzę do piwnicy. Wołam Salsie. Nic. Cisza. Nigdzie też jej nie widzę. Czuję uścisk w żołądku. Nagle słyszę jakieś szeleszczenie. Po chwili wyłania się maleństwo. Całe w kuchu. Schowała się w kartonie z różnymi rzeczami, których wciąż nie wyrzuciliśmy. Daję jej jedzenie i czekam na Dominikę, aby dać leki.

Salsia je łapczywie. Potem ociera się. Płacze. Nie chce nas wypuścić z pomieszczenia.

To pomieszczenie nie wydaje mi się dobre dla dziecka. Zbyt szare, zbyt ponure. Robię lekkie przemeblowanie w gabinecie i zabieram do siebie. Inne koty są niezadowolone, że siedzę za zamkniętymi

drzwiami. Zwłaszcza Ksenia. Trochę obrażona. Będzie jeszcze bardziej, gdy odkryje dzieciaka.

* * *

Salsia ma problemy z wydalaniem – nie wypróżnia się. Napęczniały brzusek. Płacz. Wizyta u weterynarza. Dostaje leki i pastę. Pastę lubi, leków nie. Dodatkowo znajomy uczy mnie masowania brzuszka. Rzeczywiście pomaga.

– Ma kolki. Widać, że nie masz dzieci.

Masaże pomagają. Salsia mruczy, puszcza bączki, biegnie do kuwety.

Wciąż się o nią boję. Wstaję w nocy, otwieram drzwi, by sprawdzić, czy wszystko dobrze – dzieciak krzyczy przeraźliwie. Masuje brzusek. Zasypia. Idą dalej spać.

* * *

Znaleziona w reklamówce, na skraju miasteczka. Przez przypadek. Mniejsza od dłoni. Opanowana przez pasożyty. Mająca problemy z kolkami. Czarny dzieciak z bursztynowymi oczkami. Narodzone niedawno, a w moich oczach tak bliskie śmierci. Najmłodsze ze wszystkich, a zarazem jakby najkruchsze ze wszystkich. Kruchością życia samego – jego stawania się.

Jej rośnięcie to nie przybliżanie się do śmierci, ale oddalanie się. Delikatność dziecka jakby ujawnia przypadkowość wszelkiego konkretnego istnienia – niezabezpieczonego, bez gwarancji.

Trzymam ją na dłoni, ale wiem, że ta dłoń jej nie ochroni. Może dać trochę ciepła. Pozór bezpieczeństwa i szczerą miłość – która jest poza czasem.

* * *

Izolacja dobiega końca. Ksenia dostaje szau, gdy widzi dzieciaka. Długo jej nie przechodzi. Ogólnie macoszki nie chcą mieć z Salsią nic wspólnego. Za to chłopcy ją adoptują. Najbardziej szczęśliwy jest Borys. To wielka miłość. Spanie razem, mycie się, zabawy.

Dzieciak rośnie, a ja się cieszę. Wydaje się, że wszystko jest dobrze. Nabiera masy. Nie ma problemów z kupką. Ogólnie wydaje się zdrowa.

* * *

Salsia po sterylizacji. Leży smutna w kubraczku. Nie lubi ubranka. Przeszkadza jej. A ja zastanawiam się, czy wszystko w porządku. Czy to tylko „choroba kubraczkowa”, czy może coś poważnego? W głowie nieustannie pytanie: jechać do weterynarza czy nie jechać? Szybkie podsumowanie obserwacji: je, reaguje. No, ale nie bawi się. Wniosek: obserwować⁷¹.

Jest taka drobna, taka krucha. Małe ciało. Zbyt późna reakcja to...

Salomea patrzy na mnie swoimi bursztynowymi oczkami, leżąc na psim posłaniu. Z małego pyszczka wydobywa się rozdzierający skrzek. Wstaje powoli, potrząsa łapkami i idzie chwiejnie. Mruczenie wypełnia pokój. Mnie coś chwyta za gardło. Wtulam się w nią, a ona liże mnie po twarzy.

* * *

Pewnego dnia masuję ją po brzuszku. Wyczuwam jakieś guzki. Weterynarz, bo co innego w takiej sytuacji. Słyszę, że to worki tłuszczowe. Jest za gruba. Trzeba odchudzić. Otyłość może doprowadzić do licznych chorób.

Otyła kruchość.

⁷¹ Ostatecznie pojechałem. Nie poradziłem sobie ze obawami. Okazało się, że to choroba kubraczkowa. Minęła, gdy go zdjęliśmy. Tylko że od tego czasu sikała poza kuwetą, więc znowu do weterynarza. Badanie, czy to nie coś z pęcherzem. Wszystko dobrze. Behawioralne.

Rudzio

Wraz z Salsią dołączył do nas Rudzio – pół jamnik, pół owczarek. Odebrany interwencyjnie przez OTOZ Animals. Potem był u jednej osoby, która zmarła. Jedynek, wcześniej mieszkający na łańcuchu, trafił do wielodzietnej rodziny. Z trudem się odnajduje. Ma jeszcze wiele drogi do wydeptania.

Z Rudziem mam trudne stosunki. Widzę w nim zagrożenie dla innych. Jego dziwne zachowania sprawiają, że trudno mi go uznać za swojego. Burczy na koty, kilka razy pogryzł się z Wilkiem, atakował Emmę. Czuję, że stoję na straży, że muszę kontrolować Rudzia, aby inni byli bezpieczni. Przez to trudno mi go włączyć do wspólnoty, otworzyć się na jego cierpienie, na jego smutek, na jego trudne doświadczenia.

Chociaż przez większość czasu jest spokojny. Burczy na koty raczej ze strachu – gdy skaczą jak szalone, że niemal sufit wali się na głowę. One spokojnie chodzą obok niego. Walki z Wilkiem nie są tylko jego winą.

Też muszę wytupać sobie do niego drogę. Wtedy może coś będę w stanie odpowiedzieć. Na razie traktuję go jako obowiązek. Trzeba się nim zająć, bo nikt inny tego nie zrobi. I z tyłu głowy znowu: I trzeba być uważnym, aby on komuś czegoś nie zrobił.

Strażnik

Świat widzę jako zagrożenie
Jestem strażnikiem
Chronię przed niebezpieczeństwami
 Podtrzymuję życie
Muszę
Być nieustannie czujny
Mięśnie napięte
Sen płytki
Gotowy
Nadsłuchuję
Wyczekuję
Przewiduję
Nadchodzące możliwe niebezpieczeństwo
Może nadejść zewsząd
W każdej chwili

Mięśnie napięte
Wychylony w przyszłość
Człowiek-tarcza
Jedyny strażnik życia

Chore serce Wilka

Rutynowe badanie Wilka. Jakieś szmery. Trzeba sprawdzić serce. Coś poważnego? Nie wiadomo. Echo trzeba zrobić. Umawiamy się na wizytę. Ostatnio trochę pokasływał. Jednak nic, co by wzbudzało niepokój. Mamy też policzyć oddechy podczas snu.

Wilku wydaje mi się wciąż taki młody. Jest w sumie w moim wieku. Początki starzenia. A serce to zawsze poważna sprawa. Temperament chihuahua pewnie nie pomaga. Ledwo co doszedł do siebie po chemicznej kastracji, a tu znowu coś, co zakłóca jego funkcjonowanie.

Niedomykalność zastawek. Na razie najmniejsze leki. Można je stopniować. Taki plan. Im będzie gorzej, tym większa dawka.

Niby dobre rozwiązanie. Niby nic strasznego. Pomijając, że teraz każdy zabieg, każde leki uspakajające są niebezpieczne bardziej niż zwykle. Gdy siadają Wilkowi tylnie łapki, modlimy się do bogów, aby udało się bez operacji. Weterynarz zresztą też. Co będzie, jak mu nie przejdzie? Operacja przy jego sercu... Dominika wypowiada lęk, który odczuwam. Którego nie chcę wyartykułować. Leki przeciwbólowe chyba niewiele pomagają. Nosimy go po schodach. Ograniczamy ruch. I nie widać zbyt dużej poprawy. Co, jak mu nie przejdzie? Nie chcę o tym myśleć...

Po serii zastrzyków, po kilku tygodniach Wilku znowu chodzi normalnie. Ale serce wciąż ma chore. To już mu nie przejdzie. To już zostaje.

Będziemy zwiększać dawki. Brzmi jak odliczanie. Słyszę tykanie zegara. Tik-tak. Tik-tak. Irytujące dźwięk przypominający, że nie ma wieczności, że jesteśmy w czasie, że jest on nierówno dany. Odmierza się – w liczbie oddechów, w składzie tabletek.

Tak-tak, tik-tak...

* * *

Tik-tak, tik-tak...

Wilku ostatnio mocno kaszle. W weekend widzimy, że się źle czuje. Dyszy. Niepokoimy się. W poniedziałek do weterynarza. Okazuje się, że stan bardzo zły. Jeszcze chwila i nie dałoby się go uratować. Ma wodę

w płucach. Serce wali. Dostaje zastrzyki i podłączony zostaje pod tlen. Gdy dojdzie do siebie, to trzeba będzie zrobić echo serca.

– O ile dożyje – mówi weterynarka.

Słowa sprawiają, że zastygam. Przeszywa mnie lęk. Tulę Wilka.

– Tak źle?

– No nie jest dobrze.

Po lekach i tlenie jest trochę lepiej.

– Muszę powiedzieć jeszcze jedno. W takich sytuacjach dochodzi czasami do śmierci sercowej. Jest ona nagła. Mogą się państwo obudzić, a on będzie martwy. Podbiegnie do bramki... To niezależne od leczenia. Rzadko się zdarza, ale się zdarza. My nie jesteśmy w stanie temu zapobiec. Dobrze, aby się nie denerwował, nie biegał, nic nagłego.

Wilku pomimo choroby się nie oszczędza. Wyskakuje nagle z łóżka ze szczekiem, a potem kaszle. Porusza się zrywami.

W nocy źle śpię. Nad słuchuję jego oddechu.

Po dwóch dniach podawania leków i tlenu sytuacja staje się stabilna. Płuca czyste. Czekamy na echo serca. Na pewno ma niewydolność. Jak wielką?

– Nie sądziłam, że jest tak źle – mówi weterynarka. – To stadium C. Jest jeszcze D, kiedy leki przestają działać. Nie jest w dobrym stanie. Bardzo mi przykro.

Ile zostało mu życia. Lata, miesiące, tygodnie, dni?

– Miesiące raczej.

Kolejne leki. Karta zapisana – rano i wieczorem. Trochę pomagają. Nie słyszę już, jak mu łomocze serce. Nie dyszy i nie kaszle tak dużo.

Czas jednak został wyznaczony. Niewiele zostało. Nie tyle, ile się spodziewałem. To przecież wciąż młody pies. Najmłodszy z psów. Powinien jeszcze kilka lat spokojnie żyć. Ta zastawka to przecież nie było nic takiego wielkiego. Tak rozumiałam wtedy weterynarza. A tu tak nagle, takie pogorszenie. Raptowne skrócenie perspektywy. Miesiące. To ile? Jeden, dwa, dziesięć?

Tik-tak, tik-tak...

Tik-tak, tik-tak...

Nie potrafię się z tym pogodzić. Nie wierzę, że śmierć jest bliżej niż dalej. Nie mogę zaakceptować, że tak się mu serduszko zepsuło. Gdyby nie kaszel, to wydaje się zdrowym psem.

Głaszczę go – i chcę chwilę zachować. Wymknąć się czasami, w którym ujawnia się kruchość, w którym życie jest takie chwiejne i tymczasowe. I ta kruchość, ta tymczasowość sprawia, że jeszcze bardziej go kocham. Jeszcze bardziej zawiązuję więź. On spogląda wilgotnymi oczami – jakby rozumiał, jakby przeczuwał. Chwila, to wszystko, co nam zostało. Chwile, które jeszcze możemy spędzać wspólnie.

W tle ciągle słyszę tik-tak, tik-tak, tik-tak...

Ksenia i trujący kwiat

Ksenia próbuje mnie obudzić. Czuję – na granicy snu i jawy – trąca mnie po twarzy łapką. Ociera się. Miauczy do ucha. Skrzeczy swoje „ke-ke”. Skacze po łóżku.

Zasypiam.

Słyszę, jak marudzi. Coś spada. Ksenia ociera mi się o twarz. „Ke-ke!”.

Zasypiam.

Budzę się nagle. Dominika też już nie śpi. Część kwiatów na ziemi. Ksenia na szafie. Obok skrzydłokwiatu. Słyszę, jak gryzie liście. Nie wiem nawet, kiedy jestem przy szafie. Szybko ją ściągam. Jeszcze nie do końca przytomny. Działający automatycznie. Budzę się w przed-sionku. Bambuś na smyczy.

– Zobacz w sieci, czy ten kwiat jest trujący – krzyczę przed wyjściem.

Przechodzimy za ledwie jedną przecnicę. Jedna trzecia porannego papierosa spalona. Odbieram telefon.

– Silnie toksyczny – słyszę głos w słuchawce.

Zawracam. Nerwowo pospieszam Bambusia. Chyba wyczuł moje emocje. Udzieliła mu się panika. Próbuje się kłaść. Powstrzymuję go. Nakłaniam do szybkiej drogi. Papieros znikł. Nie wiem nawet kiedy. Bambuś zaś nie wie, co się dzieje. Ociąga się, rozgląda wystraszony. Gdzie zagrożenie? Co się stało? Mój głos wprawia go w jeszcze większy niepokój. Z trudem łapię powietrze. Nie chce krzyżeć, bo Bambuś zamknie się w sobie, odmówi współpracy. Zachęcam go do biegu. Z trudem ciągnę do domu.

Mam wrażenie, że się rozpadam. Świat wokół jest dziwny. Formy wydłużone. Droga się ciągnie. Działam automatycznie. Transporter. Kluczyki. Środkiem ulicy. Zarzuca mnie na zakręcie.

Nawet się nie przebrałem. Nie wypilem kawy.

U weterynarza kilka osób. Mówię, co się stało. Głos mam matowy. Nienaturalnie spokojny. Każde słowo drży. Wibruje. Wchodzę bez kolejki.

– Myślałem, że zabezpieczyłem, że nie da rady wskoczyć – mamroczę nieustannie.

Próba wywołania wymiotów. Jedna strzykawka. Druga. Masowanie. Trochę spienionej śliny na pyszczku.

– U kotów niełatwo.

Trzeci strzykawka. Nic.

Przecieram nerwowo twarz. Mamroczę wciąż pod nosem.

Seria zastrzyków. Ksenia płacze.

– Trzeba obserwować. Nic więcej nie zrobię.

– Ale... co może się stać... myślałem, że zabezpieczyłem...

– Może pójść na nerki, może na wątrobę, może na serce. Ogólnie toksyczne działanie. Trudno przewidzieć. Teraz nie mogę nic powiedzieć. Zależy, ile zjadła. Trzeba obserwować. Jutro zobaczymy. Jak coś się niepokojącego zaczęło dziać, to proszę przyjechać. Może się bardziej ślinić. Na to nie zwracać uwagi. To będzie efekt leków.

W domu oglądam kwiat. Liście ze śladami zębów. Nie wydaje się, aby coś zjadła. Chyba, że cały liść. Nie wiem, ile tam była. Obudziły nas spadające kwiaty. Minutę? Dwie? Kiedy zareagowałem? Nie wiem. Ślady zębów. Kilka.

– Jeżeli tylko podziobała, to nic jej nie będzie – powiedział weterynarz.

Podziobała. Na pewno tylko podziobała.

Chowam wszystkie kwiaty do piwnicy. Zamykam drzwi – zagrażają wspólnocie.

Przed kotami trudno cokolwiek zabezpieczyć. Powinienem to już wiedzieć. Myślałem, byłem pewien...

Nerki, serce, wątroba – żadnych dobrych wieści. Wyroki śmierci. Przerażająca myśl, że zabiłem własnego kota. Moją ukochaną księżniczkę.

Cały dzień obserwacji. Nerwowej. Ksenia ma trochę dość nadmiaru uwagi i czułości.

Nie wiem też, czego mam wypatrywać. Czegoś nietypowego. Odstępstwa od normy.

– Zobaczymy jutro – powiedział weterynarz.

Oczekiwanie na jutro. Wlokący się czas. I serce bijące zbyt szybko. Cały dzień oczekiwania, wypełniony drżącym lękiem, wyrzutami sumienia. Nie potrafię sobie poradzić z emocjami. Praca nie istnieje. Świat to biało-czarna kotka. To zagrożona relacja.

W nocy nie śpię.

Następnego dnia również obserwuję. Chyba wszystko w normie. Chyba będzie dobrze.

Coś, pod spodem, w głębi, pulsuje. Mięśnie mam wciąż napięte. Chyba będzie dobrze. Musi być. Szept: jak długo może działać toksyna? Czy nie naruszyła tylko delikatnie, nie rozpoczęła procesu, teraz tak niewidocznego.

Wszystkie kwiaty, które tak długo hodowałem, z których byłem taki dumny, więdną w piwnicy.

Koszmary

Od pewnego czasu męczą mnie koszmary: któryś z kotów ginie. Nie zawsze pamiętam coś więcej niż to, że któregoś z nich straciłem.

Ksenia, która zginęła przez naszą nieuwagę. Pamiętam dużo krwi, postrzępione, wiszące ciało. Obudziłem się z krzykiem. Reszty nocy nie przespałem.

Mruk, który odchodził w ciszy. Trzymałem go na rękach, gdy jechaliśmy bez nadziei do lekarza. Ktoś wcześniej powiedział, że nic się nie da zrobić. Mamrotałem coś. I obudziłem się przerażony. Też reszty nocy nie przespałem.

Te sny, rozmazane, wyblakłe obrazy, nie mogę ich przywołać...

Te sny. Teraz ciągle przyglądam się Kseni i Mrukowi. Ten ma swoje lata. Coraz więcej białego futerka. Ksenia zaś nieustannie zмага się z alergią. Uszka ma brudne, wdaje się stan zapalny. Kropimy i czyścimy, ale ciągle to wraca. I Ksenia ostatnio dużo śpi.

Wszystkie dużo śpią.

W nocy możliwe, że szaleją.

Ale niepokój pozostaje. Jak po koszmarnym śnie. Nic nie pamiętasz, żadnych obrazów – tylko to drżenie, to coś pod skórą. Ta dziwność twojej sypialni. Ta nieprzyjazność domu. Jakbym nieustannie wpadał i wypadał z koszmaru.

Świat odbieram jako zbiór zagrożeń. Muszę być czujny. Muszę jej chronić. Jestem strażnikiem życia.

Niczego się nie nauczyłem. A noce stały się bezsenne.

Mruk przychodzi, kładzie się obok, mruczy, wtulam twarz w jego futerko. I powstrzymuję łzy.

* * *

Moje koszmary – moje lęki. Przerażający lęk przed utratą. Nie jestem w stanie z tym faktem dojść do porządku dziennego. Nawiedza mnie. Rozrywa.

Są też ich koszmary. Moje dzieci płaczą przez sen. Najczęściej Bambuś i Gucio. Niekiedy muszę wstawać i ich budzić. Widzę wtedy

strach na twarzyczkach. Trochę głaskania przywraca im spokój. Niekiedy koszmary nie wracają.

* * *

Bambus warczy tylko przez sen. Warkot i skomlenie. Pokazuje swoje starte zęby. Macha łapkami. Szczeka groźnie. Zaraz znowu skomli. Słyszać to w całym domu. Zastanawiam się czy to jakieś upiory przeszłości go nawiedzają. Na początku, tuż po wprowadzeniu do nas, miał złe sny co noc. Niekiedy się zrywał i szczekał. Teraz coraz rzadziej. Zdarzają się jednak – ciało drży, mięśnie się napinają. Wspomnienia wykrzywione, wyolbrzymione? Nie wiem. Nigdy się nie dowiem.

* * *

Gucio zaś płacze. W nocy przejmujący szloch wypełnia korytarz. Gucio na pawlaczu. Skulony na posłaniu. Mięśnie drgają pod skórką. W śnie jest raczej bezbronny. Wydaje się, że i tam się kuli. Możliwe, że przed mrokiem ulicy, przed cieniami i złymi dłońmi.

Krew w kupie

Kolejna rutyna, czyli poranne czyszczenie kuwet. Nagle krzyk Dominiki. Woła mnie.

– Zobacz. Krew.

Krew w kupie. Czerwone ślady. Sporo. Trudno nie zauważyć.

– No, na to wygląda. Czyja?

Nie wiadomo. Wczoraj widziałem kropelki krwi na żwirku, ale myślałem, że to po jakiejś walce. Teraz trzeba rozpocząć proces eliminowania. Wszystkich kotów nie weźmiemy do weterynarza. Zresztą, jak on to sprawdzi?

Pilnujemy, kto korzysta i jaki tego efekt. Mruk – wszystko dobrze. Ksenia i Salsia też. Po południu znajdujemy kupkę – sprawca nieznany. Podejrzewamy Grozę lub Borysa. Tutaj wszystko też bez krwi.

Tego dnia nie znajdujemy więcej już kupy z krwią. Dopiero rano. Czyja? Podejrzani: Borys lub Guccio. Nie jesteśmy przekonani do końca. Trzeba jechać z dwoma. Nie ma co dłużej czekać. Krew w kupie wydaje mi się poważną sprawą. Niepokój powoli przenika od środka. Nie pozwalam, by mnie paraliżował. Tryb zadaniowy – pakujemy koty i jadę do weterynarza. Nie pozwalam sobie na spekulacje. Oduczyłem się tego. Zawierzam specjalistom.

Guccio milczy przez większość drogi, co do niego nie podobne. On jest taki kruchy, myślę. Życie uliczne się na nim odcisnęło. Robi postępy, jeżeli chodzi o psychiczne zranienia. Staje się coraz bardziej otwarty. Coraz ufniejszy. Próbuje się zaprzyjaźniać z innymi kotami. A zarazem ciągle zмага się ze zdrowiem. Pulchny, duży kocur, a taki delikatny, taki kruchy.

Borys wydaje się zdrowy. Młody, zwinny. Aktywny. Nie grymasi z jedzeniem. Nic nie sugeruje, że coś jest nie tak. Ale, ale może coś w nim, coś ukrytego tkwi, a zdrowie to pozór.

Weterynarz sprawdza obu. Borys zdrowy. To Guccio. Najprawdopodobniej kwestia odporności. Jest po zabiegach, bo dziąsła krwawiły. Jakies leki. Powinno być dobrze. Nie ma co się przejmować.

Leki pomagają. Przez tydzień jest dobrze. Znowu, w niedzielę, krew w kupie. Może to jednak nie takie nic. Może coś źle zdiagnozowali. Dlaczego krew wróciła?

W poniedziałek w kolejce do weterynarza. Kolejne leki. Znowu spokój. Znowu powrót krwi.

Coś musi go podrażniać, mówi lekarz. Trzeba przejść na dietę. Zobaczymy. Nie będziemy już faszzerować go lekami.

Nie jestem przekonany, ale nic nie mówię. Jestem rozdrażniony. Czuję uścisk w gardle. Gucio patrzy wielkimi oczami z transportera. Mrugam do niego. Nie odpowiada. Mamrocze coś i zwija się w kłębek.

Krew w kupie. Tik-tak – przypomnienie. Czasu nigdy nie mamy wystarczająco. A ja tak często zapominam o Guciu. Bo on taki cichy. Bezproblemowy. Krew w kupie – znak. I lęk, że może czasu nie jest tak dużo. Tik-tak.

Przez kilka dni jeszcze trochę krwi. Z dnia na dzień mniej. Dokładnie sprawdzamy każdą kupę Gucia. Nie zawsze można być pewnym. Chyba się normuje. Gucio patrzy smutny. Od tygodnia nie jadł zupek. A on je lubi. Nie ma też ciastek. Powoli będziemy wszystko znowu wprowadzać. Przy kabanosach pojawia się krew. Odstawiamy je. Na razie nie ma krwi. Tik-tak.

Straszny SMS

Prowadzę zajęcia w Słupsku. Studenci piszą akurat zaliczenie, gdy dostaję SMS od Dominiki, że Mruś się źle czuje i że musi jechać do weterynarza. Gdy go czytam, przeszywa mnie ostrze lęku, tak że wszystko przestaje mieć znaczenie, że cały świat prawie mi się rozpada, dłonie drżą, chcąc go poskładać, chcą go przywrócić do poprzedniej formy.

Piszę – „co się stało?”.

Słania się. Nie je. Płacze.

Czekam, Dominika też. Ja na wieści, ona na wizytę.

Czas się wlecze. Studenci piszą. Powoli opuszczają salę. Żegnam się z nimi roztargniony. Kilka osób wciąż pisze. Powoli. Jak mogą tak długo pisać? Chciałbym, aby już skończyli. Aby zajęcia dobiegły końca. Obracam nerwowo telefon w dłoniach.

Dzwonię, gdy tylko ostatnia osoba wychodzi z sali. Nie odbiera. SMS: „W gabinecie”. A przerwa się kończy. Telefon w trakcie zajęć. Nie odbieram. Nie wiem, co się dzieje wokół mnie. Mówi za mnie ktoś inny. Dobrze, że tekst wyuczony na pamięć. SMS: „Weterynarz mówi, że nic mu nie grozi. Dostał leki, niskie ciśnienie i temperatura. Mówi, że chyba jest naćpany”.

Ale jak? Jak to się mogło stać? Jak Mrucyzsław mógł się naćpać? Raczej nie kocimiętką.

Po zajęciach dzwonię do Dominiki. Opowiada, jakie to było straszne. Jak przeraźliwie Mrusio płakał, jak się słaniał. Najważniejsze, że już po wszystkim. Mruk ma odpoczywać. Miała go przykryć, ale nie chce. No i już je.

Jak naćpany?

Pewnie zjadł jakąś tabletkę. Może przeciwbólową.

Znowu człowiek-zagrozenie. Jak to się mogło stać? Winię teściową, że to pewnie ona nie zabezpieczyła swoich leków, chociaż jej mówiłem. Ogarnia mnie złość. Nawet nie potrafię mu w domu zapewnić bezpieczeństwa.

Zaginiona temperówka

Wszyscy żyją. Jeszcze. Z tych, którzy zostali.

Wracam z konferencji. Przez kilka dni byłem odcięty od internetu, więc idę sprawdzić pocztę. Na biurku widzę górną część temperówki. Na ziemi rozsypane opiłki.

– Co tu się stało? Gdzie temperówka? – pytam Dominikę, rozglądając się nerwowo. Brakuje części z ostrzem.

– Nie wiem. Rano znalazłam tylko to...

– Ale tam jest ostrze – niemal krzyczę, jednocześnie przeszukując podłogę. Zaglądam pod szafki. Sprawdzam w innych pokojach, bo koty mogły się bawić.

– Nie wiedziałam... Tylko to było...

Przy pomocy kociej wędki sprawdzam szczeliny pod biurkiem, pod regałami.

Nic.

Brak też innych śladów. Jakiś resztek plastiku.

Nic. Nigdzie.

Ciągle krążę. Koty połknąć nie mogły. Nie w całości. Ale psy już tak. Wilku może. Może Bambuś, nawet Rudzio.

Co jak połknęli?

Przeżyją.

Umrą?

Niepokój. Robi mi się słabo. Jestem zły. Na siebie. Na Dominikę. Jak mogłem zostawić temperówkę na biurku? Nie pomyślałem? Znowu. Jak mogła nie szukać?

– Co mogłam zrobić?

Rozkładałam ręce. Nigdzie. Nic.

Może koty ją gdzieś wcisnęły. Może.

Na razie wszyscy żyją.

Śmierć psa

Niedziela. U weterynarza z Guciem. Wchodzi starsze małżeństwo z psem na rękach. Proszą o wpuszczenie bez kolejki, bo chyba on umiera. Wszyscy się zgadzają. Ale weterynarz nie woła. Drzwi gabinetu zamknięta.

Mijają długie minuty. Facet pociesza psa. Płacze, że zaraz umrze. Drzwi zamknięte.

– On umiera – krzyczy.

Jak we śnie idę pod drzwi gabinetu. Chcę walić, dobijać się. Staję jak wryty. Pukam cicho. Nic. Wychodzę na papierosa.

Gdy wracam, psa już nie ma. Kobieta z małym pieskiem na rękach płacze. Łzy spływają po policzkach. Wychodzi małżeństwo. Podtrzymują się. Oczy czerwone.

Przez kilka dni gnębi mnie poczucie winy. Ciągle o tym myślę. Z każdym o tym rozmawiam. Dlaczego tylko cicho zapukałem? Dlaczego nie zrobiłem nic więcej?

Szykretka, co żyła na ulicy

Wracam do domu późnym popołudniem. Skręcam w ulicę Kruczą, za chwilę wjadę w Gagarina i będę w domu. Tuż przy wjeździe, przy białym samochodzie, na skraju ulicy, dostrzegam coś. Czarno-rudo-białe kłębek. Myślę: kot. W lusterku: chyba kot. Kot, nie kot? Żyje czy już nie? Nie wiem, co robić. Zatrzymuję się, ale po chwili stwierdzam, że pojadę do domu. To niedaleko. Tam zostawiam samochód i wracam. Idę szybko. Chyba wiem, jaki to może być kot.

Jakiś czas temu podczas porannego spaceru z Wilkiem dostrzegłem młodą szykretkę. Przez chwilę nas obserwowała, a potem przebiegła na drugą do sąsiadów. Później, w drodze powrotnej, widzę, jak siedzi pod ich drzwiami. Uznałem, że sprawili sobie kota, którym nie za bardzo odpowiedzialnie się zajmują. Nie wypuszczamy trzyletnich dzieci, by się bawiły przy ruchliwej ulicy. Nie chciałem jednak zwracać im uwagi, a koteczka ciągle się tam kręciła. Widziałem ją jeszcze kilka razy. Tak więc pomyślałem, że ten kłębek, co widziałem z samochodu, to może być ona. To była przecież niemal naprzeciwko domu sąsiadów, u których przesiadywała.

I niestety ona. Jeszcze żyje. Gdy mnie zobaczyła, to wydarła się żałością. Nogi tylnie rozrzucone. Dzwonię do Dominiki, bo duży ruch i nie chcę jej zostawiać – jeszcze by ktoś ją dobił.

– Potrącona koteczka, jeszcze żyje, przyjdź, nie ma jak jej tu zostawić – wypluwam z siebie słowa.

Czekając na Dominikę, głaszczę koteczkę i próbuję ją uspokoić. Trochę mniej miauczy. Potem zostawiam ją z Dominiką i biegnę po samochód. Działam jak w amoku. Może się uda ją uratować. Liczy się każda sekunda. Parkuję na ulicy. Wrzucam awaryjne. Nie przejmuję się, że blokuję drogę. Są ważniejsze sprawy.

Pojawia się problem, jak ją przenieść. Kot. Wyciągam z bagażnika gumową płachtę. Powoli wciągamy pod nią materiał.

– Jest krew!

– Szybko.

– Coś twardego by się przydało.

Wokół nas jest już sporo osób. Starają się pomóc. Droga zablokowana. Sznur samochodów. Nikt nie trąbi.

Udaje się przenieść kotkę. Jadę z Dominiką do weterynarza. Nim wykręcę, jakaś dziewczyna podaje mi plastikową skrzynkę. Kładę na siedzeniu pasażera i jadę najszybciej jak mogę. Kotka płacze.

U weterynarz robimy awanturę. Szykretka chce uciec. Przegryza mi palce. Krwawię obficie, ale kotka na szczęście się uspokaja. Leży przykryta płachtą w plastikowej skrzynce.

– To państwa kot?

– Nie. Znaleźliśmy. Potrącony przez samochód.

– Widzieli to państwo?

– Nie. Znaleźliśmy przy krawężniku.

Potem czekanie. Rentgen. Palimy na przemian papierosy przed przychodnią.

– Kot jest do uspienia. Ma złamany kręgosłup, zmiażdżoną miednicę. Jest w ciąży.

Dominika dopytuje, czy na pewno nic się nie da zrobić.

– To jedyne humanitarne rozwiązanie.

Kotka jest w miarę zadbana. Tylko nie wysterylizowana. Mogła być kogoś. Mówię, że pojawiała się jakoś miesiąc temu. Pewnie kolejny kot, który się znudził, gdy przestał być kociakiem.

Robimy zdjęcia dla ewentualnych właścicieli, gdyby ktoś szukał. Umieszczamy w sieci.

Eutanazja dobiegła końca. Płacimy i jedziemy do domu. Czuję smutek. Dominika też. Jesteśmy rozbici. To nie musiało się tak skończyć. Mogła jeszcze długo żyć.

Kupuję w sklepie papierosy i mówię, co się stało, gdyby ktoś pytał o kotkę. Sprzedawczyni mówi, że fryzjerki szukały jej właścicieli. U nich przesiadywała.

– To już nie będzie.

Mówię do Dominiki, gdy dojedźmy do domu, że podejść jeszcze do tamtych sąsiadów. Wątpię, by była ich, ale tam siedziała. Może ją znali. Zresztą, co mi szkodzi.

– Tak, siedziała tu. Więcej u fryzjerek. Dawały jej jeść. Szukamy, chodziły, pytał, czy to kot, ale nikt nic nie wiedział. Z dwa miesiące temu się pojawiła. Taka dzika, ale do ludzi ciągnęła. No mówię, ciągle z fryzjerkami siedziała.

Wspólnie⁷²

Siadam do pisania i wiem, że nic z tego nie będzie. Dzieciaki gromadzą się w moim małym pokoju, a moje myśli zastygają w gęstej atmosferze niewypowiedzianych żądań. Czuję presję płynącą z ich nieruchomych ciał. Poruszają się wtedy, kiedy udaje mi się o nich zapomnieć i uruchomić myślenie. Rozprasza mnie. Jeszcze do wyjścia jest godzina. Ale one rzadko przestrzegają zegarków. Nawet psy, które podobno lubią rytuały – możliwe, że jednym z nich jest przeszkadzanie w pisaniu. A może próbują mnie przed pisaniem chronić, wiedząc, jak niszcząca i męcząca to praktyka. Pomagają mi w moim niezdyscyplinowaniu – i niekiedy przyczyniają się do wzrostu frustracji, która ogarnia mnie, gdy przez dłuższy czas nie piszę. Przekleństwa grafomana wnikają w relacje – irytuję się na nie, a potem chodzę zawstydzony.

* * *

Mruk przez kilka miesięcy siedzi większość czasu u mnie w pokoju. Śpi obok komputera. Wtula się w rękę, gdy piszę, gdy pracuję, gdy gram. Mam małe nacięcia na skórze, bo w przypiływie czułości mnie skubie. Pisanie idzie przez to wolniej, bo czasami mogę używać tylko jednej ręki. Druga zajęta kotem. Uczę się kontrolować obie dłonie na raz. Umiejętność konieczna przy kotach. Potem Ksenia wymagać będzie zabawy – więc będę machał wędką i składał zdania. A potem Groza domagać się będzie głaskania. A potem Salsia domagać się będzie zabawy. A potem wszystkie domagać się będą zabawy. I głaskania. Będzie mi brakować rąk. Będzie mi brakować głów. Nigdy towarzystwa.

* * *

Mruk na biurku. Pod biurkiem Bambuś. Ustawiam komputer bokiem i piszę wykrzywiony. Wygodniej niż poprzednio, gdy siedziałem skulony, próbując sięgnąć klawiatury. Komputer na kolanach był pewną

⁷² Ten rozdział to zapis niechronologiczny różnych sytuacji z nie-ludźmi. Poszczególne obrazy składają się na kolaż.

opcją, ale wywoływał zazdrość Mruka. Pisać w powietrzu jeszcze się nie nauczyłem.

* * *

Bambuś znowu boi się wchodzić na schody. Płacze rozpaczliwie, piszczy, ale na ręce go się nie weźmie. Wiem, bo kilka razy próbowałem. Uciekł wystraszony. Pomijam fakt, że nie miałem sił oderwać go od ziemi.

Bambuś płacze, a Wilku ujada. Wnerwia go marudzenie. Bambuś płacze przez około pół dnia. Mam nadzieje, że w końcu się zdobędzie na odwagę. Już przecież wchodził. A tak smutny marudzi na dole. Chociaż marudzenie to delikatne słowo. Płacze, jakby go obdzierano ze skóry – dosłownie. Nie ma lepszego sformułowania. Albo jakby mu wyjadano ulubione jedzenie.

Mruk rozgląda się zaniepokojony. Wzdycha.

Ja wzdycham, bo nie popracuję. Głowa mnie zaczyna boleć. Przed chwilą wróciłem z Bambulkim – nieważne, czy ze spaceru, czy z ogrodu. Do siedemnastej będzie marudzenie, płacz. Potem zaczną się w nocy.

Brakuje mi go na górze. Jego towarzystwa, gdy śpi pod biurkiem, czy chrapania w sypialni. To jest Bambko – jak się czegoś wystraszy, to przeżywa kilka miesięcy. A tak sobie dobrze radził ze schodami, aż się z nich zsunął. Nic mu się nie stało, ale był strach. Więc teraz jest pisk, płacz, wycie – bo schody straszne, bo Bambuś sam na dole. Gucio wprawdzie go wspiera, ale nie spotyka się to z uznaniem Bambka. Raczej kolejny powód do strachu.

* * *

Czytam wieczorem, przed snem, klasykę: *Potwór z bagien*. Mruk w kołnierzu przytula się, po kilku próbach kładzie łepkę na mojej piersi. Głaszczę go jedną ręką, a w drugiej próbuję utrzymać komiks. Nie jest to łatwe, bo to grube tomiszczce, w twardej oprawie. Po chwili pojawia się Gucio, niepewnie podchodzi blisko, wspina się na mnie, ugniata i zwija w kłębek. Mam na sobie dwa koty. Odkładam Potwora i idę spać. Czuję jeszcze, jak Wilku przytula się do nogi. Kotki mruczą.

* * *

Próbuję pisać tę książkę, a Ksenia skacze wokół. Wciska się w półkę pod biurkiem, skąd co chwilę dokonuje ataków mających zachęcić do zabawy. Jedną ręką próbuję drażnić ją wędką ze sznurkiem, a druga pisać – to powoli jest normą. Jednoręczne pisanie, pisanie rozproszone. Niekiedy się zapominam, więc Ksenia wbija delikatnie pazury w moja nogę i patrzy słodkimi oczkami – bawmy się. Jest niedziela, to zbrodnia pracować.

* * *

Zbrodnią jest za długie spanie. Ksenia wchodzi na Mruka i gryzie go w głowę. Zaspany kocur próbuje zepchnąć z siebie młodą kotkę. Ta ucieka – szaleńcze okrążenie przez korytarz i mój pokój. Znowu wpada do sypialni – kotłowanina. Dwa koty wpadają do mnie, rozrzucając kartony i zabawki. Mrusio patrzy na mnie, Ksenia zachęca go do zabawy. Znowu gdzieś biegną, gdzieś się kotłują. Aż słyszę płacz koteczki. Mruk stracił cierpliwość i ochotę na kocitsu. Ksenia idzie szukać kolejnego towarzysza do zabawy. Gucio się chowa. Próbuje wskoczyć na Wilka, ale ten nie wie, o co chodzi, i ucieka. Podchodzi do mnie i wydaje okrzyk oburzenia, poirytowania – trzeba zapewnić rozrywkę małej koteczce. Teraz, już, ke-ke!

* * *

Czuję coś mokrego na twarzy. Otwieram zaspane oczy – to Ksenia mnie obwąchuje. Chcę ją namówić, by się położyła obok, ale ona zeskakuje i goni Mruka. Wtedy z dołu Bambuś zaczyna płakać. Jest jeszcze ciemno, po piątej. Wypuszczam go na ogród, gdzie palę. Wracamy, nastawiam kawę, myślę, że popracuje. Emma tupta, to też wypuszczam ją. Gdy wracam woda jest gorąca. Zalewam rozpuszczalne granulki, dodaje cukru i mleka Uruchamiam komputer. Sciezkowany Wilku biegnie do mnie, gdy tylko zaczynam pić kawę. Tłucze mnie łapkami. Najpierw spacer: Wilku, potem Bambuś. Druga kawa. Jest godzina siódma z minutami. Trzecia kawa. Otwieram plik. Ksenia siedzi obok i patrzy na monitor. Chyba fascynuje ją pojawianie się liter na ekranie.

Baczenie się przygląda. Bambuś, gdy uderzam w klawisze, zaczyna lament, że trzeba wyjść. Próbuję go ignorować – dopiero co wrócił. Wiem, że cierpi, bo nie może wejść na górę. To znaczy może, ale się boi. Robi więc wszystko, aby ściągać nas na dół. Uspokaja się, a ja piszę te słowa. Z Ksenią u boku. Wiem, że zaraz zacznie się nowa pieśń głodu i smutku. Myślę o kolejnej kawie i papierosie na dworze – chociaż jest zimno. Wtedy Ksenia próbuje mi pomóc w pisaniu. Wchodzi na klawiaturę, a jak jej blokuje dostęp, to mnie gryzie. Bambuś, słysząc zamieszanie, znowu zaczyna płakać. Zaraz będę musiał szykować się do wyjścia. Możliwe, że dzisiaj, wspólnie ze wszystkimi, napiszemy tylko ten fragment. To i tak ponad normę.

– Kseni chyba się nie podoba to, co napisane, a ja nie pozwoliłem jej ani zmienić tekstu, ani go skasować. Obrażona poszła oglądać gołębie za oknem.

Schodzę na dół. Bambuś się cieszy. Głaszczę go po tyłku, a on kręci swoim niezgrabnym ciałkiem, trochę mnie depcze wielgachnymi stopami. Siada, pokazując, że chce ciacho. To dostaje ciacho, którym niemal się dławi. Okruszki sypią się wokół. Wypuszczam go na ogród. Biorę dwie piłki. Bambuś biegnie za nimi z okrzykiem radości. Zapalam papierosa, a piesek chce już do domu. Obie zabawki trzyma w pysku. Udaję, że chcę mu zabrać. Ucieka, robi rundkę po ogrodzie i znowu staje przy drzwiach. Kończę papierosa. W kuchni przygotowuję kawę – Ksenia wskakuje na blat, ociera się o lodówkę i mruczy. Sypię jej ciastek. Słyszę, jak Gucio, zeskakuje i biegnie w naszą stronę. Też mu daje. Koty jedzą. Z kubkiem idę na górę. Uruchamiam komputer, by wrócić do pisania. Ksenia już jest na biurku. Szukam okularów. Zostały w kuchni. Schodzę. Gucio siedzi przy stole – za mało ciastek. Głaszczę go przez chwilę i wracam, bo boję się, że Ksenia rozleje kawę i będzie po komputerze. Na szczęście patrzy na gołębie za oknem. Siadam, a Bambuś zaczyna płakać. Nie mogę się doczekać, kiedy się przemoże i zacznie znowu chodzić po schodach. Wiem, że mu tam smutno. I mi smutno, że jemu smutno. Znowu pisanie jest tym, co nas dzieli.

Przez chwilę udaje mi się pisać. Rozpraszam się, czytając wiadomości o wojnie. Ksenia nudzi się. Zaczyna zachęcać do zabawy. Nie ma możliwości pisania. Rzucam jej piłkę. Woli wędkę ze sznurkiem. Dochodzi dziewiąta. Ksenia płacze i wciska łapki w okienka w drzwiach.

Zbiega za mną do kuchni. Odbieram telefon – spotkanie o dziesiątej odwołane. Kolejna kawa, też dla Dominiki. Wilku i Bambuś idą do ogrodu. Emma śpi. Gucio siedzi na stole wraz z Ksenią. Biorę kubki i idę na górę. Ksenia biegnie jak oszalała. Zapomniałem okularów. Ksenia towarzyszy mi w poszukiwaniach. Szaleńczo biega po schodach. Budzi się Mruk. Zaraz robi się niespokojnie – nastał czas jedzenia. Wilku tupta między moim pokojem a sypialnią. Jem paluszki i wegetariańskie kabanosy – Ksenia skacze po biurku.

* * *

Groza mnie zaczepia. Nie idź – mówi. Spogląda smutnie. Siadam, a ona wskakuje mi na kolana. Ugniata przez chwilę, po czym uklada się i zasypia. Proszę Dominikę, by podała mi książkę. Miałem inne plany, ale trudno odmówić kotce.

* * *

Mruk przytulony do ramienia. Salsia na piersi. Groza po drugiej stronie wtulona w bok. Gucio uginający brzuch. Nieśmiały Borys szukający miejsca. Wzdychający Wilku. Ksiana patrząca z parapetu. Normalna sytuacja przed snem. Już przed snem nie czytam, tylko głaszczę kotki.

* * *

Zasypiam wtulony w futro i budzę się wtulony w futro. Ślina kapie mi na usta, gdy Salsia mruczy, nachylając się nade mną. Mruk w nocy gryzie bezzębnymi dziąsłami, abym go miachał. Czuję wbijające się pazury. Zęby podgryzające delikatnie. Słyszę mruczenie. Ciepło innych ciał. Rozkoszne współbicie, w którym doskonale się rozumiemy.

Ale czasami, w tych wspólnych momentach, nawiedza mnie mroczne myśli.

Myśl o tym, że Salomea miała dużo szczęścia, że Dominika ją znalazła, że świat mógłby zostać pozbawiony tak dobrej istoty. Z trudem powstrzymuję łzy. Całuję koteczkę w mały pyszczek, ona kładzie mi łapkę na twarzy. Powoli wbija pazurki i mruży oczy.

Myślę o Mruku, że kiedyś go nie będzie. I nie wiem, jak zasnę bez jego mruczenia. Łzy lecą mi z oczu.

Patrzę na Bambusia i jego coraz bardziej siwe futerko. I wyobrażam sobie, że piłki nie będzie komu rzucić.

* * *

W bycie razem wpisane jest przemijanie. Wspólnie się starzejemy. Ksiania dorosła, trochę mniej mnie potrzebuje. Teraz Salomea wychodzi w okres młodzieńczy. Wilku łyka tabletki na serce, na stawy. Gucio i Mruko witaminki na wzmocnienie. Bambuś też na stawy, na sierść, bo mu się pazurki łamały.

* * *

Z Bambusiem na początku pandemii chodziliśmy na stary, poniemiecki cmentarz. Długi spacer. Bambuś wracał zmęczony. W drugim roku pandemii tylko do skrzyżowania. O połowę krótsza trasa. Pod koniec Bambuś dyszał, snuł się łapka za łapką. Teraz do połowy placu. O dwie trzecie krótsza trasa. Może nawet o trzy czwarte.

– Szybciej się męczy – mówię u weterynarza.

Chwila ciszy.

– Można go trochę odchudzić. Wyniki ma dobre.

Można. Chociaż nie przytył. Posiwiął.

Ulubione bieganie za piłką. Bambuś jest w stanie pobiec tylko dwa albo trzy razy. Kładzie się na trawie. Dyszy ciężko.

* * *

Coraz więcej wszyscy śpią. Najstarsi – Mruk, Bambuś – to zjeść, położyć się. Pobawić – ale chwilę. Nie za dużo. Ich ruchy nie są już takie sprawne. Ciało trochę sztywne. Krok jakby trochę ciężki.

* * *

Wieczorne karmienie. Ksenia chodzi po blacie i próbuje wyrwać mi kawałki mięsa, które studzę. Juliuszek stoi na ziemi, wyciąga chude łap-

ki, próbując dosięgnąć blatu i miauczo-skrzeczy. Wilku biega podenerwowany. Gucio siedzi na stole. Bambuś grzecznie siedzi na podłodze. Mruk pojawia się i majestatycznie przechadza. Potem Juliszek już nie miauczy, bo go nie ma. Borys z Ksenią na blacie. Borys mruczy i czeka. Ksenia chwyta mnie łapką za rękę. Bambuś dalej grzecznie siedzi. Wilku szczeka. Jamnik zatacza kręgi, tuptając mechanicznie. Rudzio w oddali dyszy niespokojny. Dzieciak próbuje wskoczyć na blat. Gucio czeka na stole. Mruk przychodzi albo nie – czasami czeka, aż dostanie miskę z mięsem do łóżka.

* * *

Czytam na dole. Bambuś zakłada przednie łapki na siebie i opiera na nich pyszczek. Przez chwilę mnie obserwuje spokojny. Zasypia i cicho pochrapuje. Dzieciak przybiega i kładzie mi się na piersi. Ociera o książkę. Groza niepewnie układa się w nogach. Potem wchodzi na oparcie sofy, na której leżę, i tam zasypia. Ksenia przychodzi, przygląda się i wychodzi. Dzieciak zeskakuje, a jego miejsce zajmuje nieśmiało Gucio. Borys wskakuje na drapak i tam się zawija w kulkę. Groza się budzi. zaczyna bawić poduszką. Wraca dzieciak zainteresowany zamieszaniem. Bambuś przewraca się na bok. Zasnął głęboko.

* * *

Sprawdzam, czy wszystko jest dobrze. Szukam każdego zwierzaka. Ja strażnik. Dopiero kiedy się upewnię, wracam do łóżka i zasypiam.

* * *

Dzieciaki się pochorowały. Prawie wszystkie. Strzykawki z lekami, tabletki w woreczkach, maści, opatrunki. Na lodówce liczne karteczki: co, komu, kiedy i ile. Podanie wszystkiego zajmuje ponad dwie godziny. Mam wrażenie, że to określa teraz nasze relacje. Koty nie są szczęśliwe. Ponuro spoglądają na nas po podaniu leków, glutają, syczą. Nasz dom to teraz małe sanatorium – sami pacjenci. Próbujemy im tłumaczyć, że to dla ich dobra. Mają chyba inne zdanie.

* * *

Leki to codzienność. Rano i wieczorem. Wzmacniające, na stawy, na serce, na nerwy, na sierść. Niektórzy się już przyzwyczaili. Taki nasz wspólny rytuał. A oni są dzielni pacjenci. Głaszczą Gucia i go chwaleń. Pręży się zadowolony.

* * *

Ciało tyle mówi. Tak często mówi – kocham. Nie mam co do tego wątpliwości – otwarcie na ranę, na ich zranienia, wytworzyło głęboko intymną więź. Trudno interpretować gesty dzieciaków inaczej. Juliuszkiem wtulającym się, Groza wtulającą się, Mruko, Gucio, Salsia, Bambuś, Wilku... Borys jest jeszcze nieśmiały. Jamnik nie wie, co się dzieje – wtula się w swoją mgłę.

* * *

Rano schodzę do kuchni, by zrobić kawę. Ksenia biegnie za mną. Skacze na szafkę i ociera się o szufladę, gdzie są ciasteczka. Gdy ją ignoruję, to siada na stole i krzyczy na mnie. Czasami wskakuje na blat, kładzie mi łapki na ramionach i daje buziaki. Najczęściej jednak krzyczy.

* * *

Upalnym latem siedzimy z ekipą pod starą, zdziczałą czereśnią. Bambuś co jakiś czas wciera się w trawę. Wilku wykopał sobie dziurkę pod jednym z krzeseł ogrodowych. Na drugim, na poduszce, śpi Mruk. Gucio i Ksenia podglądają sąsiadów. Później Borys będzie siedział na parapecie okna do piwnicy. Groza woli być w domu. Salsia za mała na wychodzenie. Borys czasami z nią zostaje. Biegają po mieszkaniu.

* * *

Groza i Ksenia się kłóca. Przychodzi Mruk. Siada między nimi. Unosi łapkę. Spór rozwiązany.

* * *

Mruś ma czasami sztywny krok. Ma zrośnięte trzy kręgi – efekt urazu. Widmo przeszłości.

„Dopóki mu nie przeszkadza, to nie ma problemu” – mówi weterynarz.

Już nie wskakuje na szafę. Kładzie się obok mnie na łóżku. Głaszczę go. Na futerku siwe włoski. Coś mnie ściska w gardle. Powstrzymuję łzy. Przypomina mi się Sugar⁷³. Wtulam się w Mruka. On mruczy.

* * *

Mówię do Dominiki: „Zobacz, mam komiks o Ksencie. O mądrym biało-czarnym kotku”.

Siadam do czytania. Mądry kotek ginie pod kołami samochodu. Następne kocie śmierci.

Komiks zostawia we mnie krwawe ślady pazurów.

Wtulam się w swoje kotki. Mruczają. Jest dobrze.

* * *

Czuję potrzebę, aby odwiedzić grób Juliuszka. Dziwne uczucie. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego. Cmentarzy nie odwiedzam. Dominika mówi, że to może dlatego, że wiemy, że nikt inny nie postawi tam świeczki, nie zadba o grób. Tylko my. Może. Może dlatego, że chcę spotkań, które wymagają wysiłku, poświęcenia czasu. Jakiegoś rodzaju rytuały, który zastąpi te, na które nie ma już miejsca. Nie wiem, ale pierwszy raz odczuwam potrzebę, aby jechać na grób.

Wizyta na grzebowisku czy na cmentarzu dla zwierząt przytłacza. Idziemy wśród grobów: obroża, która już nie obejmie psiej szyi, zabawka, którą nie pacnie żadna łapka, gumowa kość, której żadne zęby się nie zacisną, freesby, za którym nikt nie pobiegnie. Przy grobie Juliuszka przywiało pluszaka. Kolorowe wiatraczki się obracają, świeże i zwiędłe kwiaty, znicze, niektóre wygasłe. Cisza nad małymi grobami – niczym cmentarz dla dzieci.

⁷³ S. Baeken, Sugar. *Koci żywot*, Wydawnictwo timof i cisi współpracownicy, Warszawa 2015.

Wracam przytłoczony. Smutny. Znowu krwawię. Ciągłe tęsknię za Juliuszkiem. W naszej wspólnocie jest wyrwa – ona kieruje mnie ku żyjącym. Przypomina, że kiedyś ich też zabraknie. I nic tych, którzy odejdą, nie zastąpi.

* * *

Co nas splata
delikatność dotyku
troska jak jedwab
ślina na ustach
oddechy spokojne
leniwe spojrzenia
Spaja nas czas
który nie istnieje
wspólne zapachy
i sierść na ciele
Splata nas to
czym się stajemy
razem
każdy na własny sposób

Własność i narodowa tradycja

Idę przez miasto jak za dawnych czasów. Jest zima. Wczoraj padał śnieg. Gdzieś widać jego resztki. Skręcam w boczną uliczkę między kamienice i sklepy kojarzące się minioną epoką. Przedem sobą widzę chłopaka z szalikiem klubu piłkarskiego, który prowadzi na krótkiej smyczy psa. Młodego, chudego i który wygląda na lekko przestraszonego. Nic dziwnego. Sam widok też nie jest przyjemny: Chłopak co chwilę go ściąga, nie pozwalając na swobodne chodzenie. Gasi jego radość szarpnięciem smyczy. Słysząc krótki skowyt. Pies patrzy na swojego pana. Macha niepewnie ogonem. Szuka kontaktu. Chłopak go ignoruje. Ostro zwraca się do niego i znowu szarpie smyczą. Cała ta droga psa i człowieka jest manifestacją przemocy, która może wyglądać jak szkolenie, wychowanie.

Idę za nim i chcę coś powiedzieć. Zaciskam pięści. Patrzę na pieska oraz na chudego chłopaka. Młody mężczyzna, kibic-patriota – prawdziwy Polak, co widać po wyglądzie. I po zachowaniu. Zaciskam pięści – i nic nie mówię. Mijam ich i zastanawiam się, co mógłbym zrobić.

To przecież tradycyjne wychowanie to nic innego jak znęcanie się. Poza tym to jego pis. Chłopak nic innego nie robi, jak tylko uczy go chodzić na smyczy. Nie wykazuje przecież wobec niego nadmiaru agresji. Mógłbym coś powiedzieć, ale wątpię, by to coś zmieniło. Może nawet na gorsze.

Gdy tak idę, wyrzucając sobie obojętność i nie mogąc dojść do ładu, co należałoby zrobić, nasuwa mi się obraz z przeszłości:

Jestem u znajomego, starego hipisa, współtworzącego alternatywne społeczeństwo. Idziemy z wizytą do jego kolegi. W mieszkaniu jakoś ponuro, mrocznie. Masywne meble, elementy polskości. Czuję się nieswojo. W rogu pokoju leży pies – doberman. Ilekroć wstaje, ten ostro nakazuje mu leżeć. Pies słucha. A jego właściciel z dumą opowiada, jak uczył swojego chłopaka na pamięć *Pana Tadeusza*. Pasem go tłuł jak się mylił. To trzeba znać. To tradycja. I wylewa kilka łez nad upadkiem kształcenia i utratą narodowego dziedzictwa. Wiercę się na krześle. Nie tylko dlatego, że nie znam na pamięć wybitnego dzieła. W mieszkaniu jest jakoś gęsto. Facet naprzeciw czerwienieje na twarzy. Pies powoli podchodzi. Właściciel zaciska pięść i podsuwa mu pod pysk. Wymachuje

ją i wrzeszczy, że ma iść na miejsce. Pies chwilę się waha. Rozgląda się niepewnie. Z podkulonym ogonem idzie na swoje posłanie. Tradycja, mówi mężczyzna, potrząsając pięścią. Jest dumny z siebie. trochę go nosi. Gdyby jego syn był z nami, pewnie kazałby mu recytować *Pana Tadeusza*, tłukąc go pasem przy każdym zajknięciu i mobilizując do odpowiedniego tonu – tradycja, dziedzictwo, pusta butelka wódki na stole. Wychodzimy, a pies patrzy na nas smutno. Ani razu nie zamachał ogonem. Taki skulony, taki zastraszony – dobrze wychowany.

* * *

Rozmawiam z kimś z jakiejś organizacji prozwierzęcej. W naszym prawie zwierzę to rzecz. Można zostać oskarżonym o kradzież. Może się ktoś pojawić i odebrać. Mam kilka legalnych adopcji i kilka wprowadzeń się kotów. Zastanawiam się, jak można mówić o rzeczy, kiedy one same podjęły decyzję o zamieszkaniu u nas. I te rzeczy raczej nie najlepiej były traktowane – porzucone, schorowane, strauumatyzowane. Na razie nikt się po żadną zgubę nie zgłosił. Rzeczy się wyrzuca, gdy przestają być użyteczne, gdy zagracają przestrzeń... albo tak po prostu, przez nieuwagę, tak po prostu, to tylko rzeczy.

* * *

Nic nie powiedziałem. Wtedy, u tego kolesia, gdzie pies poruszał się skulony, siedział w kącie, widział zaciśniętą pięść i pewnie jej doświadczył. Tak jak dziecko pasa podczas recytowania wielkiego, narodowego wieszca.

Tradycja i własność – smutne spojrzenie psa, tego na ulicy i tego, w mrocznym domu polskim – łączą mi się z echemi dyskusji o ustawie o przemocy w rodzinie. Dzieci, psy, koty i kobiety stają się rzeczami, którymi rozporządza pan domu. I tej przemocowej hierarchii nie wolno naruszać, bo jest święta.

* * *

„Poraża (...) przeświadczenie o słuszności swojego postępowania. Odruch wstrętu moralnego budzi również skala reifikującej prze-

mocy. Konie były w tej relacji zredukowane do rangi ożywionego automatu posiadanego przez ludzi na własność. Przedmiotów zaś można dowolnie używać dla zabawy lub korzyści. Można je wymieniać, ubezpieczać, pozbywać się ich bądź je unicestwiać. Rzeczom nie przysługują żadne uprawnienia – ani naturalne, ani stanowane. Rzeczy nie cierpią, nie skarżą się i nie mają własnej woli. Nie potrafią też same bronić się przed trybunałem sprawiedliwości ani nie posiadają jakichkolwiek interesów. Jeśli kooperują z człowiekiem, to dlatego że zostały do współdziałania zmuszone i podporządkowują się mu ze strachu”⁷⁴.

* * *

„Co do kwestii wzrostu liczby przestępstw byłabym jednak ostrożna. Tegoroczny wynik jest moim zdaniem nie tyle rzeczywistym wzrostem ich liczby, ile wzrostem liczby spraw, które trafiają na wokandę. A to z kolei zasługa wzrostu pewnej społecznej świadomości i zaprzestania bagatelizowania sprawy”⁷⁵.

* * *

Wspomnienie. Szkoła podstawowa. Szatnia dla chłopców. Cuchnie testosteronem. Jeden chłopak opowiada, jak najlepiej przemyścić „szczeniaczka” na szkolną dyskotekę. Powtarza to określenie „szczeniaczek”, aby wykazać, jak obeznany jest w dorosłym słowniku. Do rozmowy wtrąca się twardziel-metalowiec. Też chce się popisać, że się zna, i mówi, że szczeniaczki najlepiej zabijać, biorąc pod but. Kolega patrzy na niego, a po chwili bezbarwnie odpowiada, że chodzi o flaszkę. Ale kto inny, przydupas jednego ze szkolnych dręczycieli, zachwyca się i opowiada o innych sposobach zabijania zwierząt. Próbujemy rozmawiać o przemycaniu wódki, ale euforia wgnieciona obrazem skręcania

⁷⁴ Z. Pucko, *O utracie...*, s. 212.

⁷⁵ J. Bieniek, *Liczba wyroków w sprawach o znęcanie się nad zwierzętami rośnie. Zmienia się społeczna świadomość, zmienia się wymiar sprawiedliwości*, <https://bezprawnik.pl/liczba-wyrokow-w-sprawach-o-znecanie-sie-nad-zwierzetami-ro-snie-zmienia-sie-spoeczna-swiadomosc-zmienia-sie-wymiar-sprawiedliwosci/> [2.05.2022].

karków małych piesków nas zagłusza. Twardziel-metalowiec wypina dumnie pierś i mówi, że on to i koty, i psy, i ptaki. Kolega, który mówił o 0,25, jest trochę zmieszany, jakby zbity z tropu – nie wiem, czy to dlatego, że nie może słyszeć tych opowieści, czy też z powodu tego, że został przyćmiony.

* * *

„W marcu [2018] za mężczyzną, który skatował szczeniaka Fijo po raz pierwszy prokuratura rozesłała listy gończe. Niespełna tydzień temu – bez żadnych dodatkowych wniosków – prokuratura po raz pierwszy, z urzędu – zaostrzyła zarzuty wobec matki i córki, które chciały utopić i ukamienować w worku pięciomiesięcznego Miśka”⁷⁶.

* * *

Przeglądanie, poszukiwanie materiałów, przyprawia mnie o mdłości. Fragmentom przytaczanych artykułów towarzyszyły zdjęcia.. Fotografie utkwily pod powiekami – sączy się z nich coś, coś, co sprawia, że człowiek brzmi paskudnie.

* * *

Jeden z obrazów wrył się szczególnie. Chodzi o porwanego i pozostawionego na śmierć chihuahua w pobliżu wysypiska. Nie tylko wyświetla mi się nieustannie, ale gdy patrzę na Wilka, również chihuahua, to zlewa mi się z obrazem skatowanego biedaczka. Coś mnie skręca. Wilku nie raz wytrąca mnie z równowagi, ale pomyśleć o skrzywdzeniu tego słodkiego demonka, drobnego diabełka, to jest coś, co wykracza poza wszelkie zrozumienie i wybaczenie.

* * *

⁷⁶ M. Zielińska, *Grzechy oprawców i państwa. Statystyki znęcania się nad zwierzętami wciąż zatrważają*, <https://fakty.tvn24.pl/ogladaj-online,60/grzechy-oprawcow-i-panstwa-statystyki-znecania-sie-nad-zwierzetami-wciaz-zatrwarzaja,864372.html> [2.05.2022].

Nie jestem w stanie zbierać materiałów na ten temat. Spoglądam na moje bezdomniaki, na porzucone, skrzywdzone istoty. Złączyło nas to, że byli zbędni. Teraz są niezastępowalni. Doświadczenie wielu z nich sprawia, że cenią ciepło ciała. Wtulamy się w siebie i nie ma świata.

Zakończenie

Książkę tę pisało mi się trudno. Nie ze względów technicznych, takich jak kwestia uporządkowania materiałów, rozwiązanie problemów, co wykorzystać, jak zorganizować narrację itd. Pisałem, krwawiąc, płacząc, z powodu tematu. Utrata, odchodzenie, śmierć – do dzisiaj nie mogę wracać do fragmentu o Juliuszku. Tworząc ostateczną wersję przed recenzjami, nawet go nie przeczytałem. Nie byłem w stanie.

Pisanie o utracie było też trudne z tego powodu, że koncentrowanie się na utracie uwrażliwiało na nią w życiu codziennym. Ogarniał mnie lęk – i pisałem szybko, aby nie doświadczyć w trakcie kolejnego odejścia.

Pisana jest więc stylem nerwowym. Szybkimi pociągnięciami długopisu. Mam nadzieję, że działa jak skalpel.

* * *

Pisanie jest nieskończone. Urwane. Nie można wypowiedzieć wszystkiego. Dalej jesteśmy razem – szczekamy i miauczmy nasze współbicie. Stajemy się dzicy.

* * *

Miałem pragnienie, mam pragnienie utrzymania pamięci po Juliuszku. To moje etyczne zobowiązanie. To moja polityczna misja.

* * *

Roland Barthes w dzienniku pisanym po śmierci matki kilkakrotnie mówi o potrzebie utrwalenia jej pamięci, zbudowania pomnika, o pragnieniu pisania o niej i niemożliwości pisania o czymkolwiek innym⁷⁷. Niektórzy autoetnografowie piszący o śmierci kogoś bliskiego również wyrażają to pragnienie utrwalania pamięci⁷⁸. J.M. Salvo mówi,

⁷⁷ R. Barthes, *Dziennik Żalobny*.

⁷⁸ M.L. Young, *Death Comes*, „Qualitative Inquiry”, 14 (6), 2008; D.I. Hanauer, *Mourning Writing: A Poetic Autoethnography on the Passing of My Father*, „Qualitative Inquiry”, 27(1), 2021.

że upamiętnianie to nasze etyczne zobowiązanie, które spełniamy przez opowiadanie historii⁷⁹.

Mnie też prześladowuje konieczność pisania, która nawiedzała Barthes'a. Pasja pisania, by upamiętniać. I tworzyć z nich wzory do naśladowania. Cała ta książka to próba ujawnienia tych, którzy są często niewidoczni albo źle postrzegani. Tych, których śmierć często jest nawet nie traktowana jako śmierć. I którzy są pozbawieni często ochrony. Ukazania tych wykluczonych, niewidocznych, tych, którym odbieramy twarz, jako wzorów do naśladowania, jako tych, od których możemy się uczyć. I tych, których życie jest ważne. Jako tych, którzy mają twarz i nas zobowiązują nie tylko po śmierci.

* * *

Świadomość śmierci stawia mnie w sytuacji bez wyjścia. Nie wiem, jak przetrwam kolejne odejścia – wolałbym ich nie doświadczać. To jest możliwe tylko wtedy, jeżeli umrę przed nimi. A tego boję się jeszcze bardziej. Nie własnej śmierci, ale tego, że zostawię ich – znowu samotnych, znowu bezdomnych.

Być świadkiem śmierci wszystkich swoich dzieci – coś niewyobrażalnego.

Mieć świadomość alternatywy – ich porzucenia – równie niewyobrażalne.

* * *

Utrwalanie pamięci. Utrwalanie. Tatuuję sobie Juliuszka i inne dzieciaki. Ostra igła rozcina skórę. Rany utrwalają ich podobizny. Noszę ich ze sobą, na ciele, wpisanych, póki żyją. Symbolicznie, podczas bolesnego rytuału.

* * *

Wpisanie w ciało. Ich podobizny na moich ramionach: ujawnienie złożenia. Tym się staję, z tym się staję. One mnie stwarzają.

⁷⁹ J.M. Salvo, *Reading Autoethnography*, Routledge, London–New York 2020.

Sławek mówi o dochodzeniu do siebie przez „zwierzę”⁸⁰. Jednak jego zwierzę jest abstrakcyjne, papierowe, ujęte w cudzysłowie. To intelektualna figura. Ja dochodzę do siebie, obcując z nie-ludźmi wszystkimi zmysłami. Zanurzając palce w sierści.

* * *

Humanizm odbierający nie-ludziom doświadczenie śmierci⁸¹ wykazuje się nieumiejętnością obserwacji świata. Do dziś nawiedzają mnie ostatnie chwile Juliuszka. To jak mimo złego stanu przyszedł się pożegnać – ostatni raz przytulić, tak że nie miałem wątpliwości, co do mnie mówi. Była w tym miłość, wdzięczność, tyle czułości w małym, kruchym ciele. I jeszcze to, jak spoglądał przez okno. Jak przeszedł się po domu. Ten ostatni przypływ sił, podczas którego po swojemu rozstawał się ze światem. I jeszcze ostatnie przed snem spojrzenie: „Nie martw się. Jest dobrze”.

To odchodzenie było jak jego życie wśród nas – spokojne, pogodzone. Miało w sobie lekkość jego chwiejnego kroku. Tą radość, której nie złamała choroba.

Juliuszek wiedział, że odchodzi. A gdy odszedł – wszyscy byliśmy w żałobie. Ludzie i nie-ludzie. Dom otulony milczącym smutkiem. Zanurzeni w tym samym nastroju.

* * *

„To tylko zwierzęta” – zdanie, które czyni nieczułym na cierpienie innych. Nie tylko odbiera prawo do śmierci, ale też prawo do życia. Ten podział, który usuwa z człowieczeństwa usuwa z obszaru żałoby, życia wartego opłakiwania i życia, które zasługuje na życie⁸². Humanizm ukazuje znowu swoje zbrodnicze oblicze i nieczułość. Tymczasem „twarz” trzeba rozumieć jako epifanię właściwą każdemu żyjącemu utworzeniowi. Zwłaszcza, że granica między człowiekiem a innymi gatunkami jest bardzo płynna. Możliwe nawet, że właśnie zezwierzęcenie twarzy stanowi polityczną strategię ochrony ludzi.

⁸⁰ T. Sławek, *Śladem zwierząt...*

⁸¹ Zob. A. Marzec, *Antropocień...*

⁸² J. Butler, *Prekarious life*, Verso, London–New York 2004.

„To tylko zwierzę” usuwa ze wspólnoty wiele bytów, od których jesteśmy zależni, z którymi jesteśmy powiązani, z którymi możemy tworzyć wspaniałe złożenia, która nas współtworzą. „To tylko zwierzę” pozwala przechodzić obojętnie obok cierpienia. „To tylko zwierzę” pozwala na okrucieństwo. „To tylko zwierzę” pozwala na zabijanie.

Odmówienie prawa do śmierci, wymazuje nieetyczne postępowanie. Pozwala oślepnąć na twarz i jej żądanie „nie zabijaj”. Stępując naszą wrażliwość, tworzy zbiory istnień gorszego rodzaju. Czasami do tego zbioru wpadnie jakaś kategoria ludzi. „Zdycha”, „pada” – zbrodnia zostaje rozgrzeszona. To, co jest jak zwierzę, jest w pełni zabijane, niegodne opłakiwania⁸³.

„To tylko zwierzę” należy odnieść do samego człowieka. Jest tylko zwierzęciem, jednym z wielu. Wtedy słowo „tylko” może zostać usunięte a w raz z nim podział intensyfikujący cierpienie, przynoszący śmierć zwierzętom – ludzkim i nie-ludzkim.

* * *

Marjorie Spiegel pokazuje związek między szowinizmem gatunkowym a rasizmem, uważając, że te same mechanizmy działały w przypadku zniewolenia czarnych i zwierząt⁸⁴. Lokowanie części osób w ramach natury, dzikości, stanu zwierzęcego pozwalało na niszczenie kultury, mordowanie i zniewalanie. Co ciekawe, uważa, że chronienie siebie przez konieczność udawadniania, że jest się człowiekiem nie kończy opresji. Tego typu strategia ochrony i walczenia o swoje prawa, „(...) w najlepszym razie, przynosi rezultaty tylko dla jednostek lub grup osób wspinających się na drabinie przez spychanie innych na dół”⁸⁵. Tymczasem potrzebujemy innego podejścia, jeżeli chcemy zminimalizować społeczne cierpienie. Odrzuca ono podział, w którym „my” chroni się przed oddzieleniem od „innych”, skazując tych ostatnich na przemoc i różne formy opresji. W innym podejściu pojawia się ogniskowanie oporu wobec cierpienia jako takiego i sprawiedliwości dla wszystkich. To drugie podejście musi zmierzyć się również z linią podziału na ludzi

⁸³ Zob. K. Gillespie, *Provocation from the Field: A Multispecies Doula Approach to Death and Dying*, „Animal Studies Journal”, 9(1), 2020.

⁸⁴ M. Spiegel, *The Dreeded Comparison*, Heretic Books, London. 1988.

⁸⁵ Ibidem, s. 16.

i zwierzęta⁸⁶. Dopiero zniesienie niewolnictwa zwierząt – usunięcie tego typu praktyk z naszej kultury – zabezpieczy też ludzi przed stawianiem się przedmiotem wyzysku, zniewolenia i innym formom przemocy⁸⁷.

Spiegel pyta, dlaczego nie należy traktować człowieka jako zwierzęcia, co jest takiego w nas wyjątkowego. Uważa, że wypływa to ze złego zrozumienia darwinizmu i arbitralnego przypisywania pewnym zdolnościom większej wagi niż innym⁸⁸. Utrzymywanie podziału między zwierzętami a ludźmi to z perspektywy nauk biologicznych przedświecie skazane na porażkę⁸⁹.

„To tylko zwierzę” nie może już dzielić, ale powinno łączyć. Uznanie śmierci „tylko zwierzęcia” jako wartego opłakiwania, to również uznanie życia za warte ochrony, troski, miłości. „Tylko zwierzę” to znieczulające stwierdzenie powinno być przekształcone w uwrażliwiające twierdzenie.

* * *

Jednym ze sposobów dzielenia jest odmawianie sprawstwa nie-ludziom. Pomijając nowożytną redukcję zwierząt do maszyn i narzędzi, to nawet badacze przesiąknięci współczuciem i uznaniem zwierząt za pomioty, prezentowali je jako biernych, „bezradnych i pozbawionych głosu”⁹⁰. Wywoływały współczucie, ale same w sobie nie miały sprawstwa, nie tworzyły zmian, nie działały na swój własny sposób. Mamy do czynienia z kreowaniem przez „naukowe”, „zachodnie” spojrzenie postaci pozbawionej głosu i nie potrafiącej działać, tylko dlatego, że nie działa i nie mówi w naszym języku. Niektórzy proponują, aby oddzielić sprawczość ludzką i nieludzką, przypisując zwierzętom zdolność Sprawczości Pierwotnej, ale nie Korporacyjnej⁹¹. Tymczasem,

⁸⁶ Ibidem, s. 17.

⁸⁷ Ibidem, s. 27-28.

⁸⁸ Ibidem, s. 19-23.

⁸⁹ R. Leakey, R. Lewin, *Szósta katastrofa*, tłum. J. Prószyński, Pruszyński i S-ka, Warszawa 1999, s. 102.

⁹⁰ J.C. Hribal, *Animals, Agency, and Class: Writing the History of Animals Below*, „Human Ecology Forum” 14(1), 2007, s. 102.

⁹¹ B. Carter, N. Charles, *Animals, Agency and Resistance*, „Journal for the Theory of Social Behaviour”, 43(3), 2013; M. Allen, E. von Essen, *Animal Resisters: On the Right of Resistance and Human Duties of Non-Return and Abolition*, „Journal for Critical Animal Studies”, 15(6), 2018.

sprawczość nie-ludzi nie podejmuje wysiłku politycznego kreowania pożądanego świata, a jedynie prezentuje indywidualny opór wobec struktur dominacji⁹². Jest ona niewystarczająca do wyzwolenia: „aby doprowadzić do zmiany antropocentrycznych relacji władzy, w które uwikłane są zwierzęta i ludzie, potrzebne są formy Sprawczości Korporacyjnej, które zależą od zdolności rozpoznawania i generalizowania wspólnych warunków”⁹³. Bogusławski, komentując Acher, stwierdza, że warto wprowadzić jeszcze jedną koncepcję sprawstwa – „poziomu zerowego dotyczącego ludzi i nie-ludzi”⁹⁴. Sprawstwo korporacyjne, typowo polityczne przypisuje jedynie ludziom, jednocześnie wskazując na ich etyczne moralne zobowiązanie wobec innych bytów.

Tego typu ujęcie jest bardzo humanistyczne. Kategoria Sprawczości Korporacyjnej nie jest niczym innym jak próbą uprzywilejowania ludzkich sposobów działania i hierarchizowania różnic. Jest ona o tyle niebezpieczna, że utrzymuje struktury dominacji, poprzez uznanie ich za właściwy i jedyny sposób organizowania życia, definiowania tego, co polityczne. Jest ona również nazbyt teoretyczna, nieuwzględniająca autonomicznych, realnych działań nie-ludzi. W przypadku Sprawczości Korporacyjnej mamy do czynienia z koncepcją teoretyczną, spojrzeniem od góry – „Agenci (tj. same zwierzęta) rozpuszczają się w pustej, teoretycznej kategorii”⁹⁵. Janson Hirbal przyjmuje perspektywę oddolną. Zauważa, że poza ludzkie zwierzęta nieustannie wykazują się ekonomicznym i politycznym sprawstwem. Opór wobec zniewolenia jest nieustanny. Nie-ludzie „[m]ają koncepcję wolności i pragną jej”⁹⁶. Hirbal nie różnicuje jakościowo sprawstwa ludzi i nie-ludzi. Wskazuje, że po prostu zwierzęta mają sprawczość, a ich formy oporu są tym, co jest również podejmowane przez grupy zmarginalizowane⁹⁷. Oporową sprawczość podkreśla też Eva Meijer: „Raz na jakiś czas krowa czy świnia uciekają z transportu do rzeźni. W wiadomościach pojawiają się niekiedy doniesienia o rolnikach lub członkach ich rodzin, którzy zostali podeptani lub napadnięci poprzez zwierzęta gospodarskie. (...) Idąc

⁹² B. Carter, N. Charles, *Animals...*, s. 333.

⁹³ *Ibidem*, s. 337.

⁹⁴ M.M. Bogusławski, *Wariacje (post)humanistyczne*, s. 113.

⁹⁵ J.C. Hribal, *Animals...*, s. 102.

⁹⁶ J. Hribal, *Fear of the Animal Planet. The Hidden History of Animal Resistance*, CounterPunch, Petrolia 2013.

⁹⁷ J.C. Hribal, *Animals...*

z wizytą do chlewu, usłyszysz, że nie powinieneś stać tyłem do świń. Chlewy i obory, maszyny do dojenia oraz samochody transportowe są zaprojektowane tak, żeby na opór zwierząt było jak najmniej miejsca⁹⁸. Zwierzęta podejmują akty oporu, niekiedy brutalne i krwawe, wobec swoich oprawców czy to w zoo, czy to w cyrkach, czy to w rzeźniach.

Meijer wskazuje również, że komunikacja polityczna między zwierzętami poza ludzkimi i ludźmi nieustannie zachodzi – o ile odrzuci się język ludzki jako normę⁹⁹ i o ile spojrzy się inaczej na politykę. Polityczne, zbiorowe działania zwierza są możliwe w ramach demokratycznych relacji¹⁰⁰.

Problem sprawczości i jego politycznych uwikłań należy jeszcze rozszerzyć o kwestię samej sprawczości ludzi. Butler wskazuje nam nieustannie na naszą niepełną sprawczość, na naszą zależność od innych bytów, innych rzeczy¹⁰¹. Złudzeniem jest nasze poczucie sprawstwa, nasze poczucie władzy nad światem, rozświetlone samym, czystym rozumem, w demokracji opartej na zachodniej logice.

Znikają kolejne granice. Dzielimy z nie-ludźmi nie tylko sprawstwo, ale też jego brak – powszechną zależność. Nie tylko człowiek jest bytem politycznym, ale również nie-ludzie. „tylko zwierzęcy” stan prowadzi nas do myślenia o wspólnocie w ramach wzajemnych zależności, wzajemnych słabości. Wspólnota cierpienia jest też wspólnotą polityczną – przemieniająca nasze myślenie o działaniu i (współ)działaniu.

* * *

Kruchość nie przemija. Nie ma momentu trwałości i odporności. Nie ma schronienia. (Trudna nauka życia z taką świadomością.) Są wyjścia poza czas – beczasowe chwile relacji pozbawionych odniesień do świata. mrużące zasklepienia. połączenia skóry i futra. Czysta komunikacja intensyfikująca współbycie. Te momenty są równie kruche – świat wchodzi z zegarami, obowiązkami. Raptownie przerywa namiętne złożenia.

⁹⁸ E. Meijer, *Język zwierząt*, s. 115-116.

⁹⁹ Ibidem, s. 207.

¹⁰⁰ Zob. T.E. Lewis, *Swarm Intelligence: Rethinking the Multitude from within the Transversal Commons*, „Culture, Theory and Critique”, 51(3), 2010.

¹⁰¹ J. Butler, *Precarious life*; eadem, *Zapiski o performatywnej teorii zgromadzenia*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015.

Bernd Heinrich sugeruje, że śmierć nie istnieje, lecz tylko życie w różnych formach. Nasze ciała stają się elementami innych żyć. „Powstaliśmy z życia i jesteśmy przejściem do innego życia. Powstaliśmy z nieporównywalnie bardziej cudownych roślin i zwierząt i w nie się obrócimy”¹⁰². Podobnym tropem idzie Ewa Domańska w *Nekros*¹⁰³. O ile ten typ nieśmiertelności, swoistego wiecznego rozpadu i trwania, może koić podejście do mojej śmierci, to z trudem jestem w stanie przełożyć je na innych.

Stanowienie elementu świata, bycie w różnych relacjach, nie odbiera osobniczego bycia – każdy nie-człowiek jest niepowtarzalny, jest pojedynczy. Jego śmierć-powrót do innej formy życia nie chroni przed stratą. Wieczne życie nie jest czymś pozbawionym żałoby. Nie jest radosne – może być co najwyżej melancholijne. Koncepcja wiecznego życia jaką odnajdujemy u Heinricha przypomina trochę „anonimowy strumień bycia [który] zalewa, zatapia podmiot, osobę lub rzecz”¹⁰⁴. Wieczność i życie są bezosobowe, nie ma w nich miejsca osobę, a tym samym na śmierć. „Jest to, jeśli wolno tak to ująć, niemożność śmierci, powszechność istnienia nawet w jego unicestwianiu”¹⁰⁵. Kiedy jednak wchodzi w relację, pojawiają się podmioty, imiona – konkretne mordki, niepowtarzalne dotknięcia. Wieczne życie abstrahuje od świadomości doświadczającej śmierci. A tym samym jest zbyt redukcyjne, by nam pomóc w żałobie, w naszych zmaganiach z utratą. Bogusławski, krytycznie odnosząc się do propozycji zawartej w *Nekros*, pisze, że „spłaszczenie świata do pola kłębiących się relacji traci z oczu wyjątkowość bytów i ich światów”¹⁰⁶.

Widmowe-materialne-niematerialne formy postbycia Juliuszka nie są tożsame z formami przed jego odejściem. Przerwane relacje nawiązują się inaczej – a po pozostałych zostają rany, a którymi musimy jakoś żyć¹⁰⁷. Wieczne życie jest okaleczone, jeżeli chcemy utrzymać

¹⁰² B. Heinrich, *Wieczne życie. O zwierzęcej formie śmierci*, tłum. M. Szczubiałka, Czarne, Wołowiec 2014, s. 9.

¹⁰³ E. Domańska, *Nekros*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2017.

¹⁰⁴ E. Lévinas, *Istniejący i istnienie*, tłum. J. Margański, Homini, Kraków 2006, s. 90.

¹⁰⁵ Ibidem, s. 96.

¹⁰⁶ M.M. Bogusławski, *Wariacje (post)humanistyczne*, s. 66.

¹⁰⁷ O tej istotnej inności między żywym a martwym zob. M.M. Bogusławski, *Wariacje (post)humanistyczne*, s. 65-66. Bogusławski broni ucieleśnionej pojedyn-

pojedynczość istnień, ich niepodmienialność. Jeżeli zredukujemy się do elementów, to rzeczywiście będą tylko inne kompozycje – wtedy też cierpienie odchodzenia, tragedia śmierci nie ma racji bytu. Tymczasem jednak tragedii śmierci doświadczają również poza ludzkie zwierzęta¹⁰⁸. Mają one imiona¹⁰⁹, nadające im konkretność, świadomość bycia w świecie wspólnym. Opłakują zmarłych, podtrzymują o nich pamięć¹¹⁰. Chciałbym podtrzymać tragedię, podtrzymać cierpienie – i nie tyle przed nim uciekać, ile wytrwać w konfrontacji, wytrwać w zranieniu. I na tej podstawie budować nowe światy. Wróć do tego jeszcze przy okazji opowiadania o epifanii kociej/psiej/gołębiej mordki.

Na zakończenie rozważań o wiecznym życiu chciałbym zwrócić uwagę, że cmentarze na zwierząt pojawiają się wraz ze zmianą stosunku do nich. Otaczane opieką znajdują również miejsce po śmierci – co stanowi wyraz głębi relacji, w jakie weszło się z nie-ludzkim zwierzęciem¹¹¹. Anonimowa śmierć właściwa jest rzeźnią, których trwanie może uzasadniać wygodna koncepcja wiecznego życia.

Uwagi o autoetnografii

Rozpocząłem pisanie, aby się uleczyć. Wielu reklamowało autoetnografię jako dobrą formę terapeutyczną¹¹². Też w to wierzyłem. Dlatego też gdy Juliuszek odszedł, pisałem jak szalony. Dwa dni bez

czości przed redukcją i wymazaniem jej – a tym samym odmowie śmierci, która sprawia, że wszystko można zabić. Wieczne życie może być usprawiedliwieniem wiecznej Treblinkii.

¹⁰⁸ Zob. C. Safina, *Poza słowami*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2018; T. Brooks, *Pribac, Animal Grief*, „Animal Studies Journal”, 2(2), 2013, <https://ro.uow.edu.au/asj/vol2/iss2/5>

¹⁰⁹ C. Safina, *Dzikość...*

¹¹⁰ F. De Waal, *Wiek empatii. Jak natura uczy nas życzliwości*, Copernicus Center Press, Kraków 2019; E.H. Radinger, *Mądrość wilków*, Czarna Owca, Warszawa 2019.

¹¹¹ L.A. Vocelle, *Miau...*; M.P. Pręgowski, *Największy, najukochańszy. Ostatnie pożegnanie opiekunów z psami*, [w:] *Pies też człowiek?*, red. M.P. Pręgowski, J. Włodarczyk, Wydawnictwo Katedra, Gdańsk 2014.

¹¹² Bliskie mojemu podejściu są też badania oparte na sztuce, które starają się być praktykami terapeutycznymi dodatkowo zanurzonymi w posthumanizmie/nowym materializmie: zob. J. Thomson, *Materializing Dying: Art and Mattering*, „Qualitative Inquiry”, 26(7), 2020, s. 716–723; B. Allegranti, J. Wyatt, *Wit-*

ustanku. Myślałem, że się uleczyłem. Byłem w błędzie. Jest to chyba jeden z mitów związanych z autoetnografią¹¹³.

Angela Matthews¹¹⁴ pisze o śmierci swojego syna. Stwierdza, że wykorzystuje autoetnografię do uleczenia siebie i że się jej udało powrócić do zdrowia. Jednocześnie zauważa, że gdy czytała zapiski, przygotowując publikację, znowu wszystko powróciło, cały ból, płynące łzy. Ten fakt, ponowne przeżycie utraty, przypomnienie wywołujące cierpienie, z którego pisanie miało wyleczyć, sprawia, że nie za bardzo mogę uwierzyć w jej uzdrowienie. Jest to chyba reklama autoetnografii, która nie znajduje pokrycia. Możliwe, że takie uzdrawiające pisanie jest nieustannym procesem, pisanem w nieustannym zagrożeniu nadejściem cienia śmierci¹¹⁵.

Ja nie jestem uleczony. Ale może też nie o uleczenie powinno chodzić?

Chciałbym zmienić ten cel. Przeformułować go w stronę podtrzymywania zranienia. Tak jak próbuję podtrzymać pamięć, tak samo chciałbym zostawić ranę otwartą. To może być moc autoetnografii – nie lecząc, czyni nas wrażliwymi i otwartymi. Nie pozwala powrócić do „normalności”, ale dystansuje wobec niej, przybliżając do cierpiących.

David Ian Hanauer, pisząc o śmierci ojca i używając poetyckiej autoetnografii, proponuje nam koncepcję „żałobnego pisania”, które ma pomóc w poradzeniu sobie z trudnymi problemami – m.in. z utratą. Zauważa on jednak, że po procesie pisania nie został uleczony. Ulgę przynosi utrwalenie ojca i dziadka na piśmie, że żyją w napisanym tekście¹¹⁶. Odczuwam podobny rodzaj ulgi – zaspokojenie wspomnianego pragnienia upamiętnienia, zapisania w pamięć. Rana wciąż jednak pozostaje otwarta. Uleczenie nie nadchodzi. Pisanie autoetnografii

nessing Loss: A Feminist Material-Discursive Account, „Qualitative Inquiry”, 20(4), 2014.

¹¹³ G. Akehurst, S. Scott, *Out of the blue and into it: Autoethnography, emotions and complicated grief*, „Qualitative Research” 2021, <https://doi.org/10.1177/14687941211033456>

¹¹⁴ A. Matthews, *Writing through grief: Using autoethnography to help process grief after the death of a loved one*, „Methodological Innovations”, 12(3), 2019.

¹¹⁵ Zob. A.W. Terry, *My Journey in Grief: A Mother's Experience Following the Death of Her Daughter*, „Qualitative Inquiry”, 18(4), 2012.

¹¹⁶ D.I. Hanauer, *Mourning Writing: A Poetic Autoethnography on the Passing of My Father*, „Qualitative Inquiry”, 27(1), 2021, s. 43.

pozwała mi podtrzymać pamięć oraz utrzymać ranę w stanie jątrzenia. To wszystko czyni mnie wrażliwszym, otwartym.

Pisanie nie uwalnia, ale sprawia, że jesteśmy nawiedzani. Widmowa obecność nas nieustannie nachodzi, stawia pytania – i zmusza do ponownego pisania. Poszukiwania sposobów „reagowania na pytającą, uporczywą, nie zawsze wygodną świadomość jego, wciąż nowej i zaskakującej obecności”¹¹⁷.

Pisząc tę autoetnografię, nie uleczyłem się, ale zmieniłem. Odnalazłem się niekiedy tak upodmiotowiony, że budziło to mój opór. Nie chciałem siebie takim widzieć. A przed pisaniem miałem mglisty obraz. Pisanie wyostrzyło rysy, postawiło mnie przed lustrem – każało wykonać prace, by stać się bardziej zdziżałym. Tak, ta reklama autoetnografii znajduje pokrycie. Jest to metoda, która może stanowić narzędzie autotransformacji. Oczywiście nie-ludzie mieli tutaj znaczny wkład w moje stawanie się innym.

Próbowałem w tej książce wytworzyć autoetnografię raniącą: mnie jako piszącego. To się udało. Mam przecież blizny na skórze. Ale też czytelników – kimkolwiek oni będą. I w tym też sensie myślałem o moim projekcie jako wpisującym się w krytyczne badania jakościowe¹¹⁸. Pisanie jako interwencja w kulturę, która wciąż wyklucza nie-ludzi¹¹⁹, rozdzielając na to, co ludzkie, i co nie-ludzkie, pomimo że wyjątkowość człowieka jest podkopywana ze wszystkich stron¹²⁰. Ten mit, to kulturowe cięcie, legitymizuje przemoc wobec innych. Mam nadzieję, że moje pisanie trochę się przyczyniło do podważania tego mitu.

W stronę wspólnoty cierpienia

Nie jest to koncepcja filozoficzna ani wysublimowana spekulacja. Pisząc o wspólnocie opartej na cierpieniu, poruszam się na poziomie ucieleśnionego doświadczenia, w cynicznym sposobie uprawiania

¹¹⁷ J. Wyatt, *Fathers, Sons, Loss, and the Search for the Question*, „Qualitative Inquiry”, 18(2), 2021, s. 162.

¹¹⁸ N.K. Denzin. *Critical Qualitative Inquiry*, „Qualitative Inquiry”, 23(1), 2017.

¹¹⁹ M. Środa, *Inny, obcy, wykluczony*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2020.

¹²⁰ Zob. chociażby F. De Waal, *Bystre zwierzę*, Copernicus Center Press, Kraków 2018.

filozofii – gdzie anegdota i uczenie się od zwierząt stanowią podstawę myślenia programowo stroniącego od teorii. Można powiedzieć, że definicja takiej wspólnoty zawarta jest w przytoczonych opowieściach.

Opowieści nie są skończone, tak i koncepcja te nie jest skończona. Z konieczności pozostaje w formie szkicu, niewyrażona do końca, tak jak nie można do końca wyrazić naszego doświadczenia. Nie ma ona zasad, praw wydawania dowodów obywatelstwa, mechanizmów wykluczania i włączania, które można sformalizować w prostych i jasnych zdaniach. Nie da się też ich zawrzeć w aktach prawnych. Można się w nią tylko wczuć, odpowiednio nastroić.

Nie znaczy to, że odmawiam wartości koncepcji Sue Donaldson i Willa Kymlicki¹²¹. Jest to bardzo ważny głos, mogący polepszyć życie zwierząt. To dla mnie głos tak oczywisty, że powinien przełożyć się na konkretne rozwiązania prawne. Niemniej, są to formalne rozważania, wspólnotę ujmujące w formalno-prawny sposób. Moje rozważania są poza prawem, jednocześnie gorąco wspierając wszelkie działania dążące do ochrony prawnej, objęcia prawem nie-ludzi. Biorąc pod uwagę, że jesteśmy dominującym gatunkiem, to od nas zależy, czy powstrzymamy zinstytucjonalizowane cierpienie zwierząt pozaludzkich. Nie piszę więc o wspólnocie w kontekście praw, jednocześnie uważam, że rozszerzanie prawa na nie-ludzi jest konieczne¹²².

Nie odmawiam również znaczenie refleksji „humanitarnej” w posthumanizmie¹²³. Postulowanie rozwijania wrażliwości na los zwierząt jest bardzo istotne. Przeciwdziałanie cierpieniom, zwłaszcza zawinionym przez człowieka, też. Jest to bardzo bliskie mojej praktyce – próbach dania schronienia, ocalenia wykluczonych, porzuconych. W moim podejściu jednak wrażliwość działa jeszcze bardziej podskórnice.

Można powiedzieć, że podstawą jest empatia, która wywodzi się z nie-ludzkiego świata i nas zaraża emocjami, tym samym nas splatając¹²⁴. Jesteśmy zainfekowani smutkiem, melancholią wynikłą z utraty, otwartą raną, co sprawia, że jesteśmy wrażliwi: wylewamy się na świat,

¹²¹ S. Donaldson, W. Kymlicka, *Zoopolis*, Oficyna 21, Warszawa 2018.

¹²² O prawach zwierząt mamy szeroką dyskusję. Zob. P. Waldau, *Co każdy powinien wiedzieć. Prawa zwierząt*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2021; P. Singer, *Wyzwolenie zwierząt*, Marginesy, Warszawa 2018; *W obronie zwierząt*, red. P. Singer, Czarna Owca, Warszawa 2021.

¹²³ M. Obrycka, *W stronę posthumanizmu*, Adam Marszałek, Toruń 2020.

¹²⁴ F. De Waal, *Wiek empatii*.

a świat wlewa się w nas. Nie czyniąc nas odpornymi, ale ciągle chorymi, kruchymi, w swojej przemijalności, w swojej niesamodzielności, w tych splotach, które tak łatwo się rozpadają.

Rana pulsuje jak wspólnota, Jej kruchość nie odnosi się do stabilności układu, bo ten jest czymś nieustannie transformującym się, nieustannie negocjowanym. Wspólnota, o której opowiadam, ulegała licznym konfiguracjom – nowe osoby rozbijały struktury, które potem się stabilizowały. Czasami były infekowane przez zewnętrznych przybyszów, jak w przypadku grzyba u Gucia, które siały zamęt, raniły, ale na ranę otwarte nie były. Relacje są dynamiczne, ale dążące do koegzystencji. Pokojowego współlistnienia – przynajmniej przez większość czasu.

Jeden plus jeden to więcej niż dwa¹²⁵. W symbiozie nie można redukować złożenia do elementów. Wspólnota jest takim symbiotycznym nastrojem. Poharataną wielością.

Rana uczy nas delikatności. Zranienie przybliża, ale i oddala, tworząc zindywidualizowane obszary autonomii określonych elementów. Dystanse mogą ulegać zmianie pod wpływem negocjowania – wymaga to jednak wielkiego wyczucia, uwagi respektującej zindywidualizowane zranienia. Zranienia nie są traktowane jako problem wymagający uleczenia, ale jako element „osobowości”.

Wspólnota oparta na cierpieniu jest wspólnotą melancholijną, zepsutą i nigdzie nieidącą. Przemawia ona tym rodzajem kruchości, o którym wspomina Maliszewski¹²⁶. Nie pragnie sukcesu w tym świecie, ale jest nie z tego świata. Wartości świata kapitalistycznego do niej nie przemawiają. Jak i marsze wspólnot narodowych czy ideologicznych. Tupta ona we własnym rytmie – raczej bez celu, który sytuowałby się poza samym celebrowaniem współbycia.

Rana, melancholia dystansuje – ale nie od świata i innych, ale od złudnych rozkoszy, oszukańczego blasku dnia i złotej monety podstawionej za słońce. To właśnie wspólnota, która mówi jak Diogenes do Aleksandra – „Odsłoń mi słońce”. To jest efekt zranienia, efekt utraty.

Utrata zmienia nasze spojrzenie. Zraniony oddalam się od społecznej gry. Spoglądałam z daleka na zabiegany tłum. Wiele rzeczy traci znaczenie.

¹²⁵ M-A. Selosse, *Nigdy osobno*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.

¹²⁶ K. Maliszewski, *Bez-silna edukacja...*; zob. też moje uwagi co do przywoływanej książki: O. Szwabowski, *Anim(al)izacja i pedagogie Bestii. Pedagogika krytyczna w 2050 roku*, „Parejza”, 15(1), 2021..

Odwracam wzrok w stronę innych zranionych, gdzie samo współtrwanie jest tym, co ma znaczenie. Jest w tym pewne zastygnięcie. Nie tyle skostnienie, co raczej odmowa rozwoju, bazującego na potępieniu naszego sposobu bycia. Nie ma z czego wyrastać, nie ma do czego dążyć – nie ma sensu pogardliwie wypierać się siebie. To bezrozwojowa akceptacja swojej choroby, kruchości, tymczasowości, niedoskonałości.

Bezczelowa i zepsuta. Porzucona jako coś nie do wykorzystania, nie do przyswojenia przez społeczne mechanizmy wyzysku. Również opierająca się pedagogicznej przemocy kwestionowania stanu bycia i brutalności ucłowieczania¹²⁷. Wspólnota będąca rodzajem odpadu, zepchnięta na margines, poza rwącym nurtem akumulacji i dewastacji.

Nie ma ocalenia. Nie ma nic do naprawienia. Ta wspólnota nie wymaga. Pozwala trwać. Na swoich obrzeżach. Jak w przypadku Jamnika, który tupta w swojej krainie, za mgłą, daleko od wszystkich, chociaż w tej samej przestrzeni. Nikt poza Rudziem go nie rusza. Przechodzą obok. Czasami powąchają z ciekawości. Nie wykorzystują swojej przewagi. Starość czeka każdego. Wszyscy jesteśmy krusi. Wszyscy możemy zagubić się we mgle.

Do wspólnoty wkracza się przez ukazanie rany i dostrzeganie rany. Reszta to społeczne współuczucie się siebie. W komunikacji poza ludzkim rozumem i językiem. Bardziej cieleśnie, w iskrzeniu między skórą a futrem.

Butler wskazuje na to, że cielesna obecność powiązana jest z podatnością na zranienie¹²⁸, jak i na nasze zależności od innych. Cieleśność wiąże się z kruchością. Otwiera też na inną politykę – antywojenną¹²⁹. Borys, którego wzięliśmy ze strefy wojny, zajął się troską o nowe życie. Zaopiekował się małą Salsią. Wspólnota cierpienia jest polityczna na poziomie samych mikropraktyk. Wsparta na świadomości podatności na zranienie. I tym samym przeciwstawiająca się iluzji twardości podmiotu wpisanej w neoliberalizm, który dzięki temu założeniu intensyfikuje przekorność społeczną¹³⁰.

¹²⁷ O przemocy humanizmu i jego wychowania zob. M. Stirner, *Jedyny i jego własność*. Stirner odrzuca ucłowieczenie, człowieczeństwo i wolnościowo łączy się z tym, co jako zwierzęce było poniżane i wykluczane. Towarzystwem tej drogi jest ciało.

¹²⁸ J. Butler, *Prekarious life*.

¹²⁹ Ibidem, s. 29.

¹³⁰ J. Butler, *For and Against Precarity*, „TIDAL”, 1, 2011.

Zawsze jesteśmy w jakiejś wspólnotcie, jesteśmy wewnątrz. Są jednak różne jej formy – dominująca wspólnota, to ta, która poszła szlakiem szympansa, a nie bonobo¹³¹. To wspólnota silna, twarda, konkurencyjna i bezwzględna. Pozbawiona otwarcia na wrażliwość, – silna wspólnota¹³². Ten rodzaj wspólnoty, gdzie dominuje małpa, z jej cwaniactwem i okrucieństwem¹³³. Podporządkowanych pod kapitał, którzy nie potrafią śnić, ale chcą jedynie intensyfikowania cierpienia, nędzy, której doświadczają¹³⁴ jako „dobre podmioty”¹³⁵ – maszerujące z pustym oczami, bez wyobraźni.

Wspólnota cierpienia jest odcięciem się od tego rodzaju życia zbiorowego – cofana, zraniona, kryje się poza dominującym spojrzeniem podporządkowującym. Styka się ze wspólnotą silnych tylko z konieczności – tego rodzaju relacje są zatruwające. Można odnieść wrażenie lepkości. Wtedy inne istoty ciebie ratują, mrużąc i łaszcząc się, szczekając i biegając – wprowadzają w inny świat innych wartości.

Nie-ludzka wspólnota cierpienia nie jest wspólnotą grodzącą, wspólnotą zasieków, wytyczonych granic. Tego typu mury przecinające podwórka na osiedlu, utrudniające poruszanie się, ale tworzące iluzje bezpieczeństwa przed innymi ludzkimi bestiami to element kapitalistycznej wspólnoty: własność i niedoboru, w którym utrzymuje się podporządkowanych. Kocie ścieżki przecinają granicę i tworzą się swobodnie. Koty przeskakują płoty, wspinają się na mury.

Wspólnota cierpienia ma bardziej nomadyczny charakter. Jej kruchość i nieustanne rozpadanie sprawia, że raczej należy mówić o czasowniku, o stawaniu-się, o nieskończonym procesie – budowania i rozpadania, który splata się w nierozróżnialności. Wiecznie otwarta przez ranę.

Rana na szyi Fokusa sprawiła, że ojciec już go nigdy nie przywiązywał do łańcucha. Rak Fokusa sprawił, że mógł mieszkać w domu. Otwarcie na jego rany, jego kruchość, zmieniły podejście ojca, jego

¹³¹ F. De Waal, *Bonobo i ateista*, Copernicus Center Press, Kraków 2018, B. Hare, V. Woods, *Przetrwają najżyźliwsi*.

¹³² K. Maliszewski, *Bez-silna edukacja...*

¹³³ Nawiązuję do metafory małpy z książki: M. Rowlands, *Filozof i wilk. Czego może nas nauczyć dzikość o miłości, śmierci i szczęściu*, W.A.B., Warszawa 2011.

¹³⁴ M. Chollet, *Tyrania rzeczywistości*, Wydawnictwo Książka i Prasa, Warszawa 2013.

¹³⁵ L. Althusser, *Ideologie i aparaty ideologiczne państwa*, „Nowa Krytyka”, dostęp: http://www.nowakrytyka.pl/pl/Ksiazki/Ksiazki_on-line/?id=888

kulturowe nastawienie do psów. A gdy Fokus odszedł to płakał – i już go nie zastąpił kolejnym owczarkiem.

Też spoglądałem inaczej na Fokusa – już jako kruchego. Nie bałem się. Nie wiem jednak, czy to było przełomowe. Nie wiem dokładnie, co mnie otworzyło na wspólnotę cierpienia. Napisałem tyle i wciąż nie mogę zlokalizować momentu – może to były momenty. Momenty wejścia, momenty wycofania się. Momenty zasklepiania się i oddzielania zabliznioną, twardą skórą. Myślę, że to raczej proces. Niemniej, zawsze byłem bliski lasowi, zwierzętom. Miejsce zamieszkania temu sprzyjało – działki na skraju lasu. Mało rówieśników, a po sprawie z Szaruchem, gdy broniłem go, wymachując sztachetą, gdy rzucałem się z pięściami na starszych chłopaków, liczba kolegów się zmniejszyła.

Pamiętam bezsenne noce z Sonią, gdy płacząc, próbowałem ulżyć jej w cierpieniu. Pamiętam niechęć do morderców zwących się myśliwymi. Pamiętam, gdy po jakimś spojrzeniu na rybę przestałem je łowić – bo nawet jak je wypuszczałem, to jednak raniłem haczykiem.

Zasklepiłem się, bo czasami ilość cierpienia stawała się nieznośna. Robiłem się twardy, szorstki, bo bliski byłem rozpadu. Wracalem do tej wspólnoty, do nie-ludzi. To z miłości do nich odszedłem z kościoła. Podczas pierwszej spowiedzi wyznałem z trudem, że męczyłem mrówki. Ksiądz się obruszył, że to nie grzech, żebym mówił coś poważnego. Więcej nie poszedłem już do spowiedzi.

Moją świątynię znalazłem wśród nie-ludzi – zwłaszcza tych porzuconych, wygnanych, niezauważanych. Świat może się bez nich, bez nas obejść – i my, jak tylko możemy, się bez niego obchodzimy.

Spotkania mnie zmieniają – bycie z nie-ludźmi w jednej wspólnocie jest transformujące. To moi nauczyciele stawania-się-innym. Największym chyba nauczycielem był Juliuszek. Wcześniej Bambuś uczył mnie czytania ran, otwierania się na niewysłowione doświadczenia, które ciężą niczym ponury cień. I tylko w tym cieniu możliwe jest ponowne połączenie. Nie-ludzka wspólnota cierpienia jest samouczącym się splotem.

Co najważniejsze, nie jest tak, że ocala się jedynie „słabszych”. To nie tylko my, ludzie, ich ratujemy. Często one ocalają nas. Codziennie się odnajduję w cielesnym obcowaniu razem. I chociaż są sytuacje, gdy jestem zmęczony wspólnotą, to jednak nie byłbym w stanie poza nią funkcjonować. Nie-ludzie znają moje rany, okładają je futerkiem, liżą szorstkim językiem, wtulają główki – bo razem jakoś to będzie.

Wspólnota cierpienia nie jest oparta na jakiejś idei. Nie ma tutaj nic, co by ujednolicało, wiązało elementy, dopasowując do jakiejś normy, do jakiejś jedno(myślności). Jeżeli tworzy jakieś ciało, to jest ono monstrualne, w stanie rozkładu. W tym sensie nie jest też do opisanego w sensie właściwości. Cierpienie nie jest czymś abstrakcyjnym, nie jest pojęciem, ale jest ucieleśnionym, zróżnicowanym doświadczeniem. To wspólnota dotknięta i dotykająca się. Magicznych rytuałów, w których wielbi się boskość bycia razem. W którym przekracza się siebie, gatunki i inne bariery. Dla człowieka dotyk innego może mieć transformujący i terapeutyczny wymiar. Domknięcie gołębia, dotknięcie Juliuszka, codzienne dotykane współmieszkańców. Doświadczenia życia. „Kapustek podszedł i miauknął. Przyciągnąłem go do siebie. poczułem pod palcami miękkie, aksamitne futerko. I ciepło. Czyli nadal żyłem”¹³⁶. Dotyk, który przywraca. Dotyk, który komunikuje i splata¹³⁷.

Wspólnota cierpienia wyłania się w doświadczeniu twarzy i płynącego z tego zobowiązania. Kiedy zobaczyłem Juliuszka chudego, chwiejącego się na łapkach, słabego i schorowanego, zdobył on nade mną władzę, zobowiązał mnie do pomocy – przemówił, a ja odpowiedziałem. Odpowiedziałem na spojrzenie Bambusia. Dominika na spojrzenie Mruka i Gucia. Potem na spojrzenie Grozy. Wszystkie nasze odpowiedzi na epifanie mordki dały nam nową władzę – „władzę przyjmowania, dawania, gościnności, władzę szczodrych rąk”¹³⁸. W zamian Inni przynieśli sens do mojego świata. Stali się moimi nauczycielami, moim wsparciem – naszym – we wspólnocie, która nie redukuje do Toż-Samego, ale pozwala rozkwitać każdemu w komunikacji i wzajemnym stawianiu się.

Twarz, zauważa Butler, jest uzmysłowieniem prekarności innego, jak i samego życia¹³⁹. Otwarcie na kruchość wraz z etycznym zobowiązaniem

¹³⁶ G. Kawamura, *A gdyby tak ze świata zniknęły koty*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021, s. 34.

¹³⁷ K.T. Konecki, *Touching and Gesture Exchange as an Element of Emotional Bond Construction. Application of Visual Sociology in the Research on Interaction between Humans and Animals [93 paragraphs]*, „Forum Qualitative Sozialforschung / Forum: Qualitative Social Research”, 9(3), Art. 33, 2008, <http://nbn-resolving.de/urn:nbn:de:0114-fqs0803337>

¹³⁸ E. Lévinas, *Całość i nieskończoność*, tłum. M. Kowalska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002, s. 241.

¹³⁹ J. Butler, *Precarious life*, s. 134.

wiązaniem. Przy czym „twarz nie jest wyłącznie ludzką twarzą”¹⁴⁰. Pozwala to wyjść poza problem humanizacji i tworzenia hierarchii bytów. W nie-ludzkiej wspólnotcie wszystkie są kruche, wszystkie mówią „nie zabijaj”¹⁴¹. Jednocześnie każdemu dając możliwość mówienia i bycia na swój właściwy sobie sposób.

Twarz innego, jego mordka, wyzwoliła mnie z dominujących form socjalizacji. Jest ona postoporowa. „Opór wpisuje się jeszcze w krąg Toż-Samego. Negujący człowiek i negowana rzeczywistość zakładają się nawzajem, tworząc system, to znaczy całość”¹⁴². Dopiero Inny wskazuje mi inne sposoby (współ)bycia i pozwala się wydobyć, przekroczyć świata w swoim wezwaniu, które jest pokrytycznie pedagogiczne. Nie-ludzka twarz może nauczyć mnie być inaczej – to cyniczny zwrot w stronę uczenia się od zwierząt i czerpania z ich mądrości.

Ważne, że ta wspólnota nie jest wspólnotą cierpiącą. Czerpiąc naukę do kotów¹⁴³, ma w sobie spokój melancholii, jej radość i wieczność wspólnej chwili. Celebryjąc kruchość, nie celebrytuje śmierci i przemijania, ale moment współbycia. Tej nie-ludzkiej beztroski, która czyni uważnym na innych, na świat. Zakorzenia w życiu, w doświadczeniu, które nie poszukuje szczęścia i sensu poza sobą, ale spełnia się we wspólnym trwaniu.

Wspólnota, którą opisuję, może wydawać się zbyt rodzinna. To tylko zwierzęta, które wkroczyły do mojego domu. Jednak jest ona szersza. Wiemy, że nie jesteśmy w stanie ocalić wszystkich, pomóc każdemu potrzebującemu. Co miesiąc wspieramy bezdomne koty, zaopatrując karmicielki w karmę. Stawiamy budki, by miały gdzie się chronić. To może mało, ale jest to jakiś rodzaj relacji. To też wskazuje, że potrzebujemy zinstytucjonalizowanych mechanizmów wspierania bezdomności zwierząt. Tymczasem opiera się to na działaniach wo-

¹⁴⁰ Ibidem, s. 141.

¹⁴¹ Pewnej nocy, gdy jechałem do pracy, spotkałem przed domem szczura. Zauważyliśmy siebie w ostatniej chwili. Był bliżej niż na długość wyciągniętej ręki. Nie lubię szczurów. Dreszcz obrzydzenia przeszedł przez ciało. Nim zdążyłem pomyśleć, jak zareagować, zobaczyłem szczurzą twarz. Wyłoniła się z półmroku panującego na dworze. Usłyszałem wyraźnie – „nie zabijaj”. Szczur przez chwilę jeszcze patrzył – widziałem oczy, które przemawiały. Nie mogłem odpowiedzieć inaczej. Każdy z nas poszedł w swoją stronę.

¹⁴² E. Lévinas, *Całość...*, s. 28.

¹⁴³ J. Gray, *Kocia filozofia*.

lontariuszy, małych fundacji wspieranych przez wrażliwe osoby. Ten nadmiar cierpienia należy usunąć kolektywną pracą z wykorzystaniem publicznych funduszy.

Piszę o tych, którzy są u mnie w domu – bo tym udało się pomóc. Niektórych nie byłoby na świecie – Mruka, którego odratowaliśmy, gdy porzucony dogorywał gdzieś na wiosce; Salsie, która była zbyt mała, by poradzić sobie w dzikim, mrocznym lesie. Nie wiem, jak inne. Dlatego o nich piszę – bo z nimi też jestem na co dzień, ciesząc się każdą chwilą. Ci, którzy pozostali na ulicy – ich cierpienie, zwłaszcza w kocioświecie, jest niewysłowione. W Polsce pomoc spoczywa na barkach fundacji, pojedynczych ludzi – tych bohaterów, którym może poświęcę następną książkę.

Można powiedzieć, że piszę o nie-ludziach, którzy stają się członkami międzygatunkowej rodziny¹⁴⁴, czyli tych, którzy znajdują się po jasnej stronie świata-życia (*Lifeworld*) w opozycji do ciemnej strony świata-śmierci (*Deadworld*), który też usuwany jest z tego, co widzialne¹⁴⁵. Świat-śmierci kreowany przez ludzi jest cieniem, który kładzie się na błogości nie-ludzkiej wspólnoty. Masowe mordowanie zwierząt pozaludzkich w schroniskach, tych porzuconych, tych bezdomnych, jest

¹⁴⁴ Zob. A. Simpson-Laurent, *Just Like Family: How Companion Animals Joined the Household*. NYU Press, New York 2021. W świecie-życia nie-ludzie są traktowani jako członkowie rodziny, niczym dzieci. Maks Chutorński po lekturze szkicu tej książki stwierdził, że opisane relacje przypominają typową rodzinę, że ja jestem ojcem, a towarzyszące mi zwierzęta nie będące ludźmi ujmowane są jak dzieci. Niekiedy tak nazywam towarzyszące mi osobniki, niekiedy ujmuję się jako tatuś, i niekiedy mówię o rodzinie. Niemniej, sprawa jest bardziej skomplikowana. Wspólnota może być rodziną, ale międzygatunkowość czyni ją monstrualną. Dzieci zresztą też takie są (zob. o dziecku D. Gruntkowska, O. Szwabowski, *Dziecko jako byt pogranicza. Romantyczne ujęcie dziecka w kontekście edukacji, „Filozoficzne Problemy Edukacji”*, 4, 2021). Towarzysze mojego życia nie są redukowania do jakiejś wizji dziecka, ale traktowani w swej pojedynczości jako sprawcze istoty negocjujące to, jak są traktowane. Nie są „udzieciniane” czy infantyilizowane. Są” wprowadzane otoczone opieką, co wynika nie tylko z etycznego zobowiązania spotkania, ale również z faktu udomowienia. To jest relacja ustanowiona społecznie. Z kolei bycie dzieckiem nie-ludzi nie jest dane społecznie. I nie musi odtwarzać roli społecznie ustanowionej. Z tego powodu mówienie o pewnej wspólnoty jest bardziej adekwatne niż o rodzinie, które niesie ze sobą zbyt wiele znaczeń nieadekwatnych dla relacji nie-(tylko)-ludzkich.

¹⁴⁵ K.T. Konecki, *Lifeworld and Deathworld in Human and Nonhuman Animal Relationships*, „Symbolic Interaction”, 45(3), 2022.

kolejną społeczną raną. Konieczność systemowych rozwiązań pojawia się zwłaszcza w kontekście tym, że nie-ludzie trafiają do schronisk z powodu utraty pracy przez opiekuna, jego choroby, bezdomności¹⁴⁶. Kruchość może otwierać na świat-śmierci, a nie na świat-życia. Taka kruchość sprawia, jak zauważa Butler, że potrzeba społecznych instytucji chroniących przed rozpadem – nie na zasadzie wyparcia prekarność, ale przez akceptację jej i utrzymywanie w świecie-życia.

Innym problemem wspólnoty cierpiącej jest to, że pojawiają się w niej martwe zwierzęta. W puszkach, w garnkach – już pocięte, już bez twarzy. My przestaliśmy jeść mięso, aby nie wspierać instytucji opartych na cierpieniu innych istot. Niemniej rozumiem konieczność karmienia nie-ludzi mięsem. Pojawia się jednak pytanie, czy nie tworzymy wtedy hierarchii na tych, którzy mogą cierpieć, i na tych, których ocaliliśmy. Na lepsze i gorsze zwierzęta. Jest to bez wątpienia problem – kolejny wymagający systemowego rozwiązania. Chciałbym mieć alternatywę i nie wspierać straszliwego przemysłu mięsnego. Wydaje się, że propozycje Sue Donaldson i Willa Kymlicki¹⁴⁷ ponownie ukazują swoją konieczność, to, jak bardzo potrzebujemy określonych ram dla funkcjonowania wspólnoty. Potrzebujemy zoopolis, aby móc stawać się wraz z nie-ludźmi bez tworzenia podziałów i wymazywania innych nie-ludzi. Tych w ubojniach, rzeźniach, farmach¹⁴⁸. Tych mordowanych w schroniskach¹⁴⁹. Tych opuszczonych na ulicach. Tych *animal sacer* narażonych na przemoc bezkarnych ludzi¹⁵⁰.

Ostatnia kwestia to problem narzucania własnych wartości światowi zwierząt poza ludzkich. Czy nasza etyka nie stanowi próby koloni-

¹⁴⁶ Ibidem. Zob. K.M. Guenther, *The Lives and Deaths of Shelter Animals*. Stanford University Press, Stanford 2020.

¹⁴⁷ Zwłaszcza kwestia karmienia domowych zwierząt. Proponowane przez nich wykorzystanie zwłok wydaje się sensowną opcją. S. Donaldson, W. Kymlicka, *Zoopolis*.

¹⁴⁸ Zob. J.S. Foer, *Zjedanie zwierząt*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019; J. Kapela, *Polskie mięso*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2018.

¹⁴⁹ Zob. K.M. Guenther, *The Lives and Deaths...*

¹⁵⁰ 23.03.2023, czyli w dniu, gdy kończyłem tę książkę, organizacja „Koty spod bloku” poinformowała na Facebooku, że budki dla kotów zniknęły, zaś one same zostały wytrute. Tylko dwa przeżyły. Przemiany myślenia o „nas” – o naszej wątpliwej wyjątkowości, o innych zwierzętach, muszą ulec jak najszybszej przemianie. To pedagogiczne zadanie dla każdego publicznego intelektualisty i wrażliwego edukatora.

zowania świata innych bytów? Możliwe, że opierając się na epifanii twarzy, wymazuję tak naprawdę kocią/psią mordkę. Stoję na stanowisku, że moralność jest nie tyle zewnętrzna, ile jest zawarta w samym stawaniu się, wpisana w ewolucje i ewoluująca wraz z rozwojem zróżnicowanych bytów¹⁵¹. Wspólnota ta nie opiera się na zewnętrznej moralności, na Wartościach czy wartościach, które są na nią narzucane.

Widzę, jak Juliuszek biegnie radośnie na chudych łapkach.
Przeskakuje przez furtkę. A ja go chwytam.

¹⁵¹ Zob. P. Kropotkin, *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju*, Oficyna Bractwa Trojka, Poznań 2006; F. De Waal, *Wiek empatii...*; B. Hare, V. Woods, *Przetrwają najżyliczliwsi*. Tej moralności często zresztą uczymy się od nie-ludzi: „Cała ewolucja kultury opiera się na współpracy, a ludzie właśnie od psów nauczyli się tego, jak współpracować z osobami, z którymi nie są spokrewnieni” (T. Grandin, K. Johnson, *Zrozumieć zwierzęta*, s. 378).

Zdjęcia

Zdjęcie 1. Mruczysław i Salomea podczas czytania książki o zwierzętach



Zdjęcie 2. Borys i Ksenia



Zdjęcie 3. Borys i Salomea podczas zabawy na łóżku



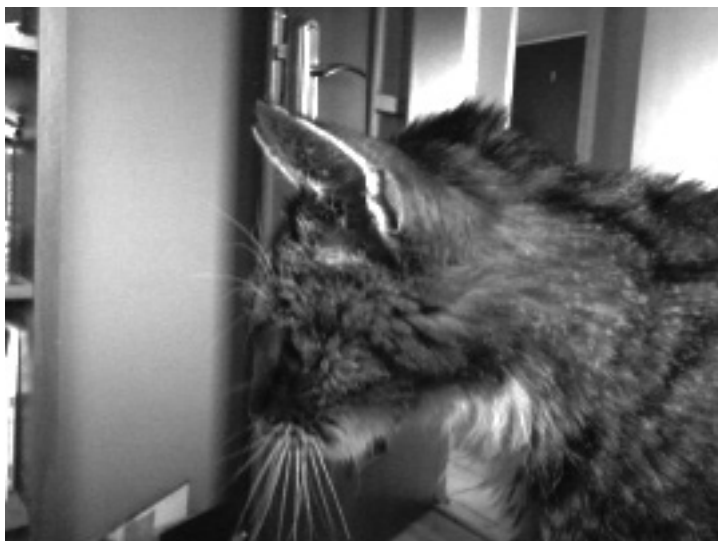
Zdjęcie 4. Grób Juliuszka



Zdjęcie 5. Juliuszek na kwarantannie. Tuż po tym, gdy został zabrany z ulicy



Zdjęcie 6. Juliuszek u mnie na kolanach po kwarantannie



Zdjęcie 7. Bambuś i Wilku w sypialni



Zdjęcie 8. Mruk i Groza



Zdjęcie 9. Wspólne zabawy



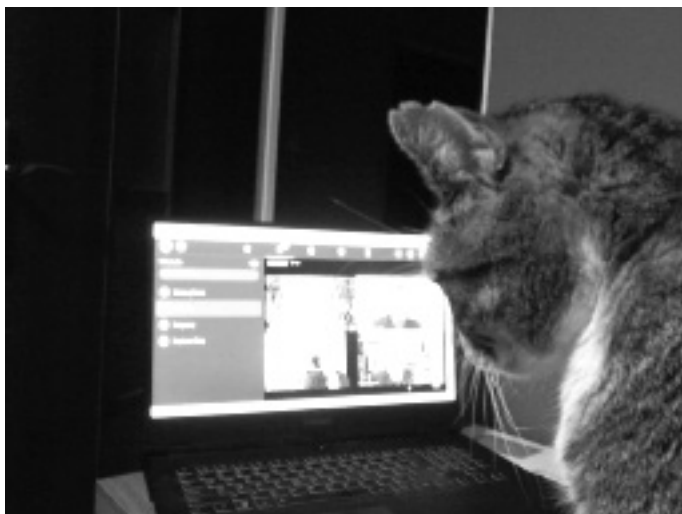
Zdjęcie 10. Ja z Ksenią na spacerze



Zdjęcie 11. Gucio i Wilku



Zdjęcie 12. Groza podczas wykładu online



Zdjęcie 13-15. Kocie tatuaże. Wykonanie Weronika Korbał, fot. Weronika Korbał







Zdjęcie 16. W oczekiwaniu na śniadanie



Zdjęcie 17. Wilku po diagnozie serca



Zdjęcie 18. Bambuś i Rudzio



Podziękowania

Pragnę podziękować za uwagi i komentarze Maksowi Chutorzańskiemu, Colette Szczepaniak, Rafałowi Włodarczykowi, Marcinowi Marii Bogusławskiemu. Dariuszowi Kubinowskiemu za słowa wsparcia. Recenzentowi Krzysztofowi T. Koneckiemu za uwagi i podpowiedzi.

Bibliografia

- Adams, T.E., Jones, S.H., Ellis, C., *Autoethnography*, Oxford University Press, Oxford–New York 2015.
- Akehurst, G., Scott, S., *Out of the blue and into it: Autoethnography, emotions and complicated grief*, „Qualitative Research”, 23(2), 2021, <https://doi.org/10.1177/146879412111033456>
- Allegranti, B., Wyatt, J., *Witnessing Loss: A Feminist Material-Discursive Account*, „Qualitative Inquiry”, 20 (4), 2014.
- Allen, M., von Essen, E., *Animal Resisters: On the Right of Resistance and Human Duties of Non-Return and Abolition*, „Journal for Critical Animal Studies”, 15(6), 2018.
- Althusser, L., *Ideologie i aparaty ideologiczne państwa*, „Nowa Krytyka”, dostęp: pson-Laurent, A. *Just Like Family: How Companion Animals Joined the Household*, New York University Press, New York 2021.
- Baeken, S., *Sugar. Koci żywot*, Wydawnictwo timof i cisi współnicy, Warszawa 2015.
- Barthes, R., *Dziennik Żalobny*, Wydawnictwo Eperons-Ostrogi, Kraków 2019.
- Bekoff, M., *Manifest zwierząt*, Marginesy, Warszawa 2019.
- Bezprawnik, <https://bezprawnik.pl/liczba-wyrokow-w-sprawach-o-znecanie-sie-nad-zwierzetami-rosnie-zmienia-sie-spoeczna-swiadomosc-zmienia-sie-wymiar-sprawiedliwosci/>
- Bochner, A.P., Ellis, C., *Evocative Autoethnography. Writing Lives and Telling Stories*, Routledge, New York–London 2016.
- Bogusławski, M.M., *Wariacje (post)humanistyczne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2020.
- Bradshaw, J., *Zrozumieć psa*, Czarna Owca, Warszawa 2020.
- Braidotti, R., *Po człowieku*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2014.
- Brooks, T., *Pribac, Animal Grief*, „Animal Studies Journal”, 2(2), 2013.
- Butler, J., *For and Against Precarity*, „TIDAL”, 1, 2011.
- Butler, J., *Precarious life*, Verso, London–New York 2004.
- Butler, J., *Zapiski o performatywnej teorii zgromadzenia*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015.
- Carter, B., Charles, N., *Animals, Agency and Resistance*, „Journal for the Theory of Social Behaviour”, 43(3), 2013.
- Chollet, M., *Tyrania rzeczywistości*, Wydawnictwo Książka i Prasa, Warszawa 2013.

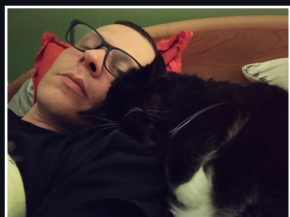
- Chutorański, M., *Nie (tylko) ludzkie wymiary edukacji. W stronę pedagogiki nieantropocentrycznej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2020.
- Cotzee, J.M., *Foe*, tłum. M. Konikowska, Znak, Kraków 2007.
- De Waal F., *Bonobo i ateista*, Copernicus Center Press, Kraków 2018.
- De Waal F., *Bystre zwierzę*, Copernicus Center Press, Kraków 2018.
- De Waal, F., *Wiek empatii. Jak natura uczy nas życzliwości*, Copernicus Center Press, Kraków 2019.
- Deleuze, G., Guattari, F., *Tysiąc plateau*, Wydawnictwo bęc zmiana, Warszawa 2015.
- Denzin N.K., *Critical Qualitative Inquiry*, „Qualitative Inquiry”, 23(1), 2017.
- Denzin, N.K., *Performance Autoethnography. Critical Pedagogy and the Politics of Culture*. Routledge, London–New York 2018.
- Denzin, N.K., *The dead of data?*, „Cultural Studies ↔ Critical Methodologies”, 13, 2013.
- Domańska, E., *Nekros*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2017.
- Donaldson, S., Kymlicka, W., *Zoopolis*, Oficyna 21, Warszawa 2018.
- Dudley D.R., *A History of Cynicism*, Methuen And Company Limited, London 1937.
- Ellis, C., *Evocative Autoethnography: Writing Emotionally about Our Lives [w:] Representation and the Text: Re-Framing the Narrative Voice*, red. W.G. Tierney, Y.S. Lincoln, State University of New York Press, New York 1997.
- Ellis, C., *The ethnographic I. A methodological novel about autoethnography*, Left Coast Press, Walnut Creek 2004.
- Esposito, R., *Pojęcia polityczne*, UNIVERSITAS, Kraków 2015.
- Foer, J.S., *Zjadanie zwierząt*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019.
- François B., *Elokwencja sardynki*, tłum. E. Janota, Post Factum, Katowice 2020.
- Galaxy, J., *Kocie mojo, czyli jak być opiekunem szczęśliwego kota*, Sine Qua Non, Kraków 2019.
- Gale, K., Wyatt, J., *Autoethnography and Activism: Movement, Intensity, and Potential*, „Qualitative Inquiry”, 25(6), 2019.
- Gillespie, K., *Provocation from the Field: A Multispecies Doula Approach to Death and Dying*, „Animal Studies Journal”, 9(1), 2020.
- Goode, D., *Playing with My Dog Katie*, Purdue University Press, West Lafayette 2007.
- Grandin T., Johnson, C., *Zwierzęta czynią nas ludźmi*, Media Rodzina, Skórzewo k. Poznania, 2011.

- Grandin, T., Johnson, K., *Zrozumieć zwierzęta*, Media Rodzina, Skórzewo k. Poznania 2011.
- Gray, J., *Kocia filozofia*, Fundacja Kultura Liberalna, Warszawa 2022.
- Gruntkowska, D., Szwabowski, O., *Dziecko jako byt pogranicza. Romantyczne ujęcie dziecka w kontekście edukacji*, „Filozoficzne Problemy Edukacji”, 4, 2021.
- Guenther, K.M., *The Lives and Deaths of Shelter Animals*, Stanford University Press, Stanford 2020.
- Gutiérrez, G., *Teologia wyzwolenia*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1976.
- Hanauer, D.I., *Mourning Writing: A Poetic Autoethnography on the Passing of My Father*, „Qualitative Inquiry”, 27(1), 2021.
- Haraway, D., *Manifest gatunków stowarzyszonych*, [w:] *Teorie wyrotowe*, red. A. Gajewska, tłum. J. Bednerek, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2012.
- Hare, B., Woods, V., *Przetrwają najzyczliwsi*, tłum. K. Kalinowski, Copernicus Center Press, Kraków 2022.
- Heinrich, B., *Wieczne życie. O zwierzęcej formie śmierci*, tłum. M. Szczubiałka, Czarne, Wołowiec 2014.
- Henriksen L., Meldgaard Kjær K., Blønd M., Cohn M., Cakici B., Douglas-Jones R., Ferreira P., Feshak V., Kaur Gahoonia S., Sandbukt S., *Writing bodies and bodies of text: Thinking vulnerability through monsters*, „Gender, Work & Organization”, 29(2), 2022.
- Hribal, J.C. *Animals, Agency, and Class: Writing the History of Animals Below*, „Human Ecology Forum”, 14(1), 2007, s. 102.
- Hribal, J., *Fear of the Animal Planet. The Hidden History of Animal Resistance*, CounterPunch, Petrolia 2013.
- Kapela, J., *Polskie mięso*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2018.
- Kawamura, G., *A gdyby tak ze świata zniknęły koty*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021.
- Kluz-Knopek, U., *PlayDead.info*, słowo/obraz terytoria, Gdańsk, b.r.w.
- Konecki, K.T., *Empathy! So What?*, „Przegląd Socjologii Jakościowej”, t. XVIII, nr 4, 2022.
- Konecki, K.T., *Lifeworld and Deathworld in Human and Nonhuman Animal Relationships*, „Symbolic Interaction”, 45(3), s. 449-460, <https://doi.org/10.1002/symb.590>
- Konecki, K.T., *Ludzie i ich zwierzęta*, Scholar, Warszawa 2005.
- Konecki, K.T., *Touching and Gesture Exchange as an Element of of Emotional Bond Construction. Application of Visual Sociology in the Research on Interaction between Humans and Animals* [93 paragraphs]. „Forum

- Qualitative Sozialforschung / Forum: Qualitative Social Research”, vol. 9(3), <http://nbn-resolving.de/urn:nbn:de:0114-fqs0803337>
- Körner, J., *Nasi bracia pies i kot*, W.A.B., Warszawa 1999.
- Kropotkin, P., *Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju*, Oficyna Bractwa Trojka, Poznań 2006.
- Lahman, M.K.E., *The Dead Chick*, „Qualitative Inquiry”, 25(9-10), 2019.
- Leakey, R., Lewin, R., *Szósta katastrofa*, tłum. J. Prószyński, Pruszyński i S-ka, Warszawa 1999.
- Lévinas, E., *Calość i nieskończoność*, tłum. M. Kowalska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2002.
- Lévinas, E., *Istniejący i istnienie*, tłum. J. Margański, Homini, Kraków 2006.
- Lewis, T.E., *Swarm Intelligence: Rethinking the Multitude from within the Transversal Commons*, „Culture, Theory and Critique”, 51(3), 2010.
- Lorenz, K., *Rozmowy ze zwierzętami*, tłum. B. Tarnas, W.A.B., Warszawa 2014.
- Maliszewski, K., *Bez-silna edukacja. O kształceniu kruchego*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.
- Marzec, A., *Antropocień.. Filozofia i estetyka po końcu świata*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2021.
- Massumi, B., *Semblance and event: Activist philosophy and the occurrent arts*, The MIT Press, Cambridge 2011.
- Matsuoka, A., Sorenson, J., *Introduction*, [w:] *Critical Anial Studies*, Trans-Species Social Justice, London–New York 2018
- Matthews, A., *Writing through grief: Using autoethnography to help process grief after the death of a loved one*, „Methodological Innovations”, s, 12(3), 2019.
- Meijer, E., *Język zwierząt*, Marginesy, Warszawa 2021.
- Melville, H., *Kopista Bartleby. Historia z Wall Street*, tłum. A. Szostkiewicz, Warszawa 2009.
- Muhr L.,Rehn A., *On Gendered Technologies and Cyborg Writing*, „Gender, Work and Organization”, 22(2), 2015.
- Obyrcka, M., *W stronę posthumanizmu*, Adam Marszałek, Toruń 2020.
- Pławski, M., Szwabowski, O., Szczepaniak, C., Wężniejewska, P., *Friendly writing as non-inquiry: the problems of collective autoethnographic writing about collective autoethnographic writing*, „Qualitative Inquiry”, 25(9–10), 2019.
- Podgórnjak A., *Realizm magiczny jako strategia postkolonialna – recenzja*, „Er(r)go”, nr 8, z. 1, 2004.
- Pręgowski, M.P., *Największy, najukochańszy. Ostatnie pożegnanie opiekunów z psami*, [w:] *Pies też człowiek?*, red. M.P. Pręgowski, J. Włodarczyk, Wydawnictwo Katedra, Gdańsk 2014.

- Pucko, Z., *O utracie. Szkice filozoficzne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2021.
- Radinger, E.H., *Mądrość wilków*, Czarna Owca, Warszawa 2019.
- Riley, D., *Time Lived. Without Its Flow Pan*, Macmillan, London 2019.
- Rogowska-Stangret M., *Być ze świata, słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2021.
- Rogowska-Stangret, M., *Opowiedzieć świat inaczej. O praktykowaniu utopii w antropocenie*, [w:] ZOEpolis. *Budując wspólnotę ludzko-nie-ludzka, bęc zmiana*, Warszawa 2020.
- Rowlands, M., *Filozof i wilk. Czego może nas nauczyć dzikość o miłości, śmierci i szczęściu*, W.A.B., Warszawa 2011.
- Safina, C., *Dzikość. Jak kultury zwierzęce wychowują rodziny, tworzą piękno i osiągają pokój*, tłum. A. Wojtasik, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2021.
- Safina, C., *Poza słowami*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2018.
- Salvo, J.M., *Reading Autoethnography*, Routledge, London–New York 2020.
- Selosse, M-A., *Nigdy osobno*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019.
- Shea, L., *The Cynic Enlightenment. Diogenes in the Salon*, Johns Hopkins University Press, Baltimore 2010.
- Singer, P., *Wyzwolenie zwierząt*, Marginesy, Warszawa 2018.
- Sławek, T., *Śladem zwierząt. O dochodzeniu do siebie, słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2020.
- Spiegel, M., *The Dreeded Comparison*, Heretic Books, London 1988.
- Stirner, M., *Jedyny i jego własność*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1995.
- Szwabowski, O., *Anim(al)izacja i pedagogie Bestii. Pedagogika krytyczna w 2050 roku*, „Parezja”, 15(1), 2021.
- Szwabowski, O., *Nawiedzenie, czyli efekty Bartleby’ego*, Scholar, Warszawa 2023.
- Środa, M., *Inny, obcy, wykluczony, słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2020.
- Terry, A., *My Journey in Grief: A Mother’s Experience Following the Death of Her Daughter*, „Qualitative Inquiry”, 18(4), 2012.
- Thomson, J., *Materializing Dying: Art and Mattering*. „Qualitative Inquiry”, 26(7), 2020.
- Vocelle, L.A., *Miau. Kompletna historia kota*, Marginesy, Warszawa 2022.
- Waldau, P., *Co każdy powinien wiedzieć. Prawa zwierząt*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2021.
- Węźniejewska, P., Szwabowski, O., Szczepaniak, C., Pławski, M., *The praise of collective autoethnography*, „Cultural Studies ↔ – Critical Methodologies”, 20(4), 2020, s. 336-349.
- W obronie zwierząt*, red. P. Singer, Czarna Owca, Warszawa 2021.

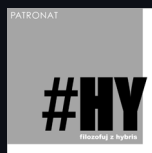
- Wyatt, J., *Fathers, Sons, Loss, and the Search for the Question*, „Qualitative Inquiry”, 18(2), 2021.
- Wyatt, T.D., *Zachowania zwierząt*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2022.
- Young, M.L., *Death Comes*, „Qualitative Inquiry”, 14 (6), 2008.
- Zielińska, M., *Grzechy oprawców i państwa. Statystyki znęcania się nad zwierzętami wciąż zatrwają*, <https://fakty.tvn24.pl/ogladaj-online,60/grzechy-oprawcow-i-panstwa-statystyki-znecania-sie-nad-zwierzetami-wciaz-zatrwarzaja,864372.html>



Oskar Szwabowski, doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Pomorskiego w Słupsku, Instytut Pedagogiki. Pracował wcześniej na Uniwersytecie Szczecińskim. Zajmuje się filozofią edukacji, autoetnografią, dydaktyką, pedagogicznie zorientowanymi studiami kulturowymi oraz edukacją wyższą. Autor licznych artykułów w czasopismach krajowych i międzynarodowych. Opublikował ostatnio książkę *Nekrofilna produkcja akademicka i pieśni partyzantów* (Wrocław, 2019), *Zaczerpne wprowadzenie do filozofii edukacji* (Szczecin, 2022) i *Nawiedzenie, czyli efekty Bartleby'ego* (Warszawa 2023). Píše poezję i opowiadania. Szczęśliwy ojciec sześciu kotów i trzech psów.

Lektura książki, niełatwa, zmusza do refleksji przeżyciowej i to jest jej wartość. Ale wartością jest także otwarte postawienie sprawy ranienia przez pisanie jako elementu tworzenia wspólnoty, jest to wspólnota cierpienia, która nie zawsze jest uświadamiana lub poddawana refleksji. (...) Najślabi uczą nas najwięcej. Cierpiący transformują nas, taki jest przekaz pedagogiczny tej pracy.

prof. dr hab. Krzysztof T. Konecki
fragment recenzji



ISBN 978-83-68006-01-8
DOI 10.48226/978-83-68006-01-8